

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/312

1973



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- Cz. MIŁOSZ : **JĘZYK, NARODY**
W. A. ZBYSZEWSKI : **SIKORSKI**
BRUKSELCZYK : **BIAŁE NOCE W HELSINKACH**
A. KRUCZEK : **SUŁTAN-GALIJEW — PO 50-CIU LATACH**
D. MORAWSKI : **KORESPONDENCJA Z RZYMU**
A. ŻAK : **OŚWIATA W POLSCE**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Język, narody</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	19
	<i>Konkurs Instytutu J. Piłsudskiego</i> ..	30
W. A. Zbyszewski:	<i>Sikorski</i>	31

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Polska „Westpolitik”</i>	45
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	56
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	67

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Sułtan-Galijew — po 50-ciu latach</i> ..	78
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	88
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	94

K R A J

Andrzej Żak:	<i>Oświata w Polsce</i>	97
Zakopiańczyk:	<i>Palenie książek w PRL</i>	108

POLEMIKI

Leszek Kołakowski:	<i>Siła filozofii czy filozofia siłacza</i>	110
Witold Wirpsza:	<i>Notatki polemiczne</i>	116



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	122
--------------	----------------------------	-----

SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE

Adam Bromberg:	<i>Encyklopedyści (2) oraz o „kulturze otwartej”</i>	123
----------------	--	-----

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Bilard</i>	129
Czesław Dobek:	<i>Jeszcze o „Cudownej melinie”</i>	132
Witold Zahorski:	<i>Dwa wcielenia Strumpha</i>	134
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	138
—	<i>Wydawnictwa Instytutu Literackiego — na składzie</i>	140



—	<i>Wydarzenia miesiąca (wraz z kronikami amerykańską i kanadyjską i „Z ostatniej chwili”</i>	144
---	--	-----



W. H. Bniński, Z. Celichowski, J. G. Görlich, Sz. Laks, Wł. Odojewski, H. Przybrowski, P. Szandruk:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
Redakcja:	<i>Odpowiedź p. L. Moczulskiemu</i>	159
J. Szygowski, St. Borowski, Z. K. Dąbrowski, „Dziennik Związkowy”:	<i>W sprawie Grażyny Nowak</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1973

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

American Educational Society, Inc., Springfield, Mass. (USA)	F. 80,00
Czytelnik z Polski, dziękując za artykuły J. Mieroszewskiego ..	F. 20,00
Wacław H. Bniński, Waszyngton D.C.	F. 100,00
H. S., Londyn	F. 230,00
Stefan Kwiatkowski, Birmingham (Wielka Brytania)	F. 100,00
Stanisław Skorupiński, Windsor, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 40,00
Dr Jan Sokołowski, Sztokholm, po raz drugi	F. 500,00
Juliusz S. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz ósmy ..	F. 127,00

DZIĘKUJEMY!

OD REDAKCJI

Przez zapomnienie w nrze 7/310-8/311 *Kultury*, przy artykule K. Wójcickiego pt. *Poezja i fakty*, nie zaznaczyliśmy, że artykuł ten był wydrukowany bez wiedzy i zgody autora — co niniejszym prostujemy.

DO CZYTELNIKÓW W W. BRYTANII

Zawiadamiamy uprzejmie, że z dniem 1 lipca rb. przedstawicielstwo *KULTURY*, *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* i wydawnictw Instytutu Literackiego objęła księgarnia:

ORBIS BOOKS (LONDON), Ltd.
66, KENWAY ROAD,
LONDON, S.W.5. ORD.
Tel.: 01-370-2210.

Zaznaczamy jednocześnie, że do czasu unormowania sytuacji monetarnej cena naszych książek obliczana jest według ceny francuskiej przy zastosowaniu przelicznika 1 £ = F. 10,00.

PRENUMERATY *KULTURY* I *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* POZOSTAJĄ BEZ ZMIANY.

Imprimé en France.

Język, narody

Londyńskie *Wiadomości* złożyły zaszczytny dowód tolerancji, publikując w końcu 1972 i w początku 1973 roku serię artykułów dla polskiego czytelnika niemiłych. Autorem ich jest Jan Darowski, polski poeta, tłumacz polskich poetów na angielski, tudzież, z zawodu, angielski drukarz. Artykuły jego są napaścią na dzieje całej Słowiańszczyzny i dzieje Polski, i to od strony *języka*. Nie pretendując do dokładności w odtwarzaniu jego wywodów, co nie byłoby możliwe, bo tło urazowe jest w nich zbyt widoczne, ograniczmy się do zarysu. Według Darowskiego nieuchwytnie cechy każdej zbiorowości wyrażają się w języku, jakim ta się posługuje, i z kolei język wyznacza pułap kulturalny jaki zdoła ona osiągnąć. Rozwój Europy wskazuje na współzawodnicstwo grup językowych, z których jedne przegrywają, inne wygrywają. Tak więc np. przegrana Celtów — Irlandczyków i Walijczyków — tłumaczy się tym, że język gaelicki ze swojej natury nie był przygotowany do wchłaniania złożonych pojęć i jako instrument nie mógł się równać ze znakomicie giętkim językiem angielskim. Żeby wydać sąd o Słowianach, wystarczy ucho, bo języki słowiańskie, z ich zbitkami syczących spółgłosek, z ich wielosylabowymi słowami, są koślawe i nieporadne, a już całkowicie chybiają kiedy trzeba nimi posłużyć się w pracy intelektu, bo ściągają myśl w dół, „do budy rzeczownika”. Odgadnąć z nich można słowiańskie lenistwo, niezdolność jednostki do myślenia na własny rachunek, skłonność do ulegania gromadnym popędom, stąd też te słowianofilstwa, mesjanizmy, panslawizmy itd. Słowianie potrzebują filozofii „która by za nich myślała”, toteż nie jest przypadkiem, że wszyscy znaleźli się w jednym ideologicznym obozie, obdarzonym filozofią materialistyczną. Ta działa z niezawodną monotonią, jak zegar z kukułką, i nic z niej twór-

czego Słowianie nie potrafili zrobić. „Nawet ci, którzy ją tam najzacieklej zwalczają, nie są aż tak znowu inni. Cała *ich* myśl wydaje się sprowadzać do podobnie w końcu bezmyślnej, podobnie bezkrytycznie i sloganowo uczepionej innego ideologicznego płotu, totalnej negacji materializmu. Poza taką krytyką, na żadne indywidualne, metafizyczne myślenie nikogo tam nie stać”.

Język polski („chrząszcz brzmi w trzcinie”) odbiera powagę spotkaniu człowieka z życiem, bo na słowa w innych językach uroczyste „nałożył czapkę błazeńską” swoich *ś, é, sz* i *cz*. Amor, love, Liebe jako *miłość!* Mors, death, Todt jako *śmierć!* Bonheur, happiness jako *szczęście!* Według Darowskiego brak klarowności dźwiękowej świadczy o nieuniknionej, u tych, którzy danym językiem mówią, nie-klarowności pojęciowej. „Tak że każda dyskusja przeobraża się rychło i nieuchronnie jakby we wzajemne ziryutowane przekrzykiwanie się, w spór, w kłótnię otwartą, w deptanie drugiej indywidualności i odbieranie jej prawa do głosu. Język nasz jakoś nie pozwala doświadczyć tej radości i wyczynku, jaki się ma w porozumieniu z drugim, suwerennym człowiekiem, a który Anglosasi mają niemal stale w swoim wypożyczonym i ekonomicznym, szanującym nerwy mówcy i rozmówcy sotto voce języku”.

Zabierając się z kolei do tragedii historycznych, które miały Polaków wypaczyć, Darowski powiada: nieprawda. Żadne przytaczane przez nich powody nie wytrzymują, jego zdaniem, krytyki. Mieli wolność, mieli duże państwo i na nic się to im nie przydało. Kultury swojej stworzyć nie zdołali, bo tej mierniki są materialne. Od 1496 roku przystępują do gnębienia chłopów i do kampanii przeciwko miastom, wskutek czego kurczy się stopniowo podstawa kultury materialnej. Jezuici? Ależ właśnie Jezuici kształcili we Francji Kartezjusza. Niszczące wojny siedemnastego wieku? Ależ Europa Zachodnia bez ustanku była rozdzielana przez wojny a nie przeszkadzało to doskonaleniu techniki i twórczości we wszystkich dziedzinach. Zniszczenia spowodowane przez Wojnę Trzydziestoletnią były nie mniejsze niż skutki szwedzkiego najazdu ale nie ustawała w ich czasie twórcza działalność. A w parę dziesiątków lat nie zostało po zniszczeniach śladu, bo cały zachód Europy zawsze cechowała mrówcza pracowitość.

Jeżeli dobrze rozumiem Darowskiego, język niejako streszcza te niezliczone genetyczne, geograficzne, społeczne czynniki, które działały w życiu pokoleń danej wspólnoty. Stąd też nie da się spytać odpowiedzialności na jedną klasę, np. na szlachtę, skoro tym przecie językiem mówiła i całą jej obyczajowość ten język narzucał. Jeżeli trudno rozstrzygnąć co tutaj jest kurą a co jajkiem, to w każdym razie jajko zniesione przez kurę — czyli język,

jest czymś najbardziej dotykającym i cechy jego możemy badać. Polski język zdolny jest udźwignąć skromną tylko dozę pojęć abstrakcyjnych bez popadania w niezrozumiały bełkot, nie pozwala też na prawdziwe porozumienie pomiędzy ludźmi, w nim też trzeba szukać właściwych powodów wieki trwającej polskiej niewydolności technicznej.

Artykuły Darowskiego, bardzo pobudzające, są aktem przekory wobec plemiennych obrzędów, próbą wyzwolenia. Niemniej, chce on czy nie chce, należą do rodzaju lubianych przez Słowianina samobiczowań. Poza obszarem Słowiańszczyzny pytanie: „Dlaczego nie jesteśmy kim być powinniśmy” jest znacznie rzadziej zadawane, choć ci co znają arabski zapewne by temu zaprzeczyli, wnieśliby też chyba swoją poprawkę czytelniczy prasy łańcisko-amerykańskiej. O cechach narodowych można nieskończenie, bo są to — jak powiadał Paul Valéry — *les choses vagues*, rzeczy mgliste. Ale byłoby krzywdą dla Darowskiego, gdyby ktoś oburzył się na niego i krzyknął, że chce nas uwięzić w determinizmie językowym, niewiele lepszym niż determinizm rasowy. Ze szczerzej desperacji zrodzone, jego artykuły nawołują do opamiętania, godzą we wszystkich, którzy dziś po polsku mówią i piszą.

Skoro używa się polskiego, nie pozostaje nic innego jak powiedzieć sobie: *One must make the best of things* czyli trzeba zrobić co się da. Jeżeli porzekadła są mądrością narodów, francuski tego odpowiednik jest bardziej obrazowy, choć nie świadczy pochlebnie o zwięzłości języka zachodnich Aten: *Où la chèvre est attachée il faut qu'elle brouste* czyli: tam gdzie koza jest uwiązana niech trawę gryzie. Inna maksyma, niestety też angielska, może być użyteczna. Kiedy ktoś jest bardzo ze swego losu niezadowolony, mówi mu się: *Count your blessings* czyli: policz dary jakie dostałeś, ceń co masz.

Angielski nie może służyć za wzorzec przy ocenie innych języków, bo jest to język-hybryda, po podboju Wyspy Brytyjskiej przez Normanów ulepiony, tak że właściwa mu jest dwutorowość. Z normañskiej francuszczyzny przejął wyrazy na oznaczenie abstrakcyjnych pojęć i po tym torze idąc łatwo przyswaja sobie wyrazy nowe. Dość znamienita jest zresztą granica jakiej w tym zakresie nie zdołał przekroczyć, bo np. *l'être*, byt, *le devenir* stawanie się, *la durée*, trwanie, nie znajdują zadawalających równoznaczników w *being*, *becoming*, *duration*. Drugi tor, anglosaski, zapewnia mu szorstkie rytmy, słusznie cenione przez jego poetów, zwięzłość i trzeźwość. Obfitość jednosylabowych czasow-

ników (*do, bring, make, speed, switch, catch etc.*) jest szczególnie przydatna w cywilizacji technicznej, bo przy ich pomocy określa się czynności nowe, nie tradycyjne. Zarazem te słowa-do-wszystkiego zjadają substancję języka, co przy braku zdrobnień i odrywaniu się od świata przyrody coraz bardziej angielski ochładza, i bez przesady można go nazwać językiem, na którym leży piętno ludzkiej samotności.

Odrywanie się od przyrody zauważamy nie tylko w angielskim. Stary francuski był niezwykle bogaty w słowa na oznaczenie rolniczych prac, zmian pogody, roślin, zwierząt, polowania, ale przed tym nawet nim zmienił się styl życia, rządy literackich salonów i czuwającej nad poprawnością Akademii wyгнаły mnóstwo tych wyrazów w domenę gwary i nikt ich dziś nawet nie rozumie. Ale francuski ma przynajmniej rodzaj żeński i rodzaj męski, natomiast w angielskim rodzaj nijaki (*it*) stosowany do prawie wszystkiego z wyjątkiem ludzi, z góry niejako odejście od przyrody ułatwia. Najpiękniejszą cechą języków słowiańskich jest silna osobowość roślin i zwierząt, ale także przedmiotów. Brzoza, dąb, pług, siekiera to o wiele więcej niż *birch, oak, plough, axe*. I gdzież w angielskim różnica między *obłokiem* i *chmurą*, między *lisem* i *liszką*, między *drogą* i *gościńcem*, między *strumieniem* i *strugą*? A i różnica rodzajowa między *żalem* i *troską*, *snem* i *marą*, *losem* i *dolą* jest nie do pogardzenia.

Każdy język nosi zaród jemu tylko właściwych chorób i czym innym jest zagrożony. Z języków słowiańskich polski najwcześniej osiągnął dojrzałość literacką i w szesnastym wieku, kiedy Leopolda, Kalwiniści, Arianie, i wreszcie Jakub Wujek, tłumacz Biblię, jest to już język dobrze ukształtowany. Ale też literackość będzie jego piętą Achillesa. To co się z nim dzieje w następnym stuleciu, siedemnastym, jest ciekawe jako wzór powtarzający się do dzisiaj. Słownictwo jego prawie nie wzbogaca się zapożyczeniami z mowy ludowej i np. komiczne intermedia w gwarze podkreślają dystans pomiędzy wykształconymi i „gburami”. Polski „poprawny” pozostanie językiem szlachty, następnie inteligencji — aż wreszcie prasa i telewizja narzuca go wszystkim, zacierając różnice dialektów. Próby sięgnięcia do „mowy gminu” są rzadko udane. Umiął to robić Trembecki, umiał Mickiewicz, choć tu można długo rozmyślać nad dziwnym zrzędzeniem losu: oto „ludowość” Mickiewicza polega na tym, że wywodził się z drobnej szlachty W. Księżstwa Litewskiego i z mowy tego to gminu czerpał. Natomiast późniejsze próby ludowości chłopskiej u Wyspiańskiego, Kasprowicza, Reymonta dają ten tylko wynik, że odczuwamy wtedy ich język jako wręcz okropny. A lud miejski? Humor Wiecha ostatecznie niezbyt różny od humoru sie-

demnastowiecznych intermediów, oparty jest na poczuciu społecznej wyższości.

W siedemnanastym wieku zaczyna się gwałtowne wchłanianie wyrazów obcych i to przeważnie bez widocznej potrzeby. Łacińskie słowa wydają się wtedy bardziej wytworne niż ich polskie odpowiedniki. Ta skłonność o czymś świadczy, może o puszeniu się, może o lenistwie. Później, w ciągu paru dziesięcioleci przy końcu wieku osiemnastego, ludzie Oświecenia dokonują olbrzymiej roboty oczyszczając język i nigdy nie dosyć powtarzać na jak wielką zasługują wdzięczność. Jeżeli jednak z epoki stanisławowskiej przeniesiemy się w dzień dzisiejszy, spostrzeżemy, że przeznaczenie czyha i że nie łatwo jest oswobodzić się ze starych nałogów. Pomijając już dziennikarstwo, które zasługiwałoby na rozdział osobny, wystarczy wziąć do ręki książki i traktaty licznych polskich świątłych humanistów, żeby popaść w długo trwające zdumienie. Czytają oni swoich francuskich, angielskich, amerykańskich kolegów i nie chcą pozostać w tyle, co widocznie nie daje się inaczej osiągnąć niż kiedy żywcem przenosi się słowa z francuszczyzny i z angielszczyzny, a w miarę możliwości i z greki, dlatego chyba żeby było niezwykle. Przykładów wystarczyłoby na całe strony. Pierwsze z brzegu. Co to znaczy „*sytuacja awaryjna*”? „*Paradygmaty stabilne*”? (I co miałyby znaczyć „*paradygmaty niestabilne*”? Dlaczego „*twórczość ekstremalnie tendencyjna*”? Dlaczego „*sformalizowana struktura instytutu*”? Dlaczego „*anegdota projektuje styl*”? A czerpię to z artykułu polonisty, profesora, wychowawcy młodzieży. Może oni nie czują już jak to dziwne, może się przyzwyczaili? A ich szlachecki praszczur czy wiedział, że nie trzeba mieszać polszczyzny i łaciny? I czym są lepsi ci niby rozgarnięci humaniści od biednych „Polacks” w Ameryce, którzy „*parkują karę i idą do storu*”?

Stanisław Lem wydał parę lat temu książkę o *science fiction* i książka ta ma same zalety, prócz jednej, bo nie po polsku jest napisana. Ponieważ zdarza mi się czytywać takie pisma jak *Scientific American* czy nawet *Science*, potrafię jego zdania zrozumieć, choć niezupełnie, bo mieszanina słowiańskiej składni i dziwołogów obcego słownictwa nazbyt już jest osobliwa. Zgódźmy się, że istnieje język zawodowy w różnych dziedzinach, posługujący się wszędzie tymi samymi terminami. Każdy jednak humanista (a Lem nim chyba jest) ma pewne obowiązki wobec tych co go czytają.

Nie chodzi bynajmniej o jakiś wariacki puryzm, bo bez wyrazów obcego pochodzenia nie potrafimy się obejść. Chodzi o to że nie zachowuje się miary i że są objawy czegoś co wypada nazwać małą energią języka. Prawdopodobnie język jest energiczny kiedy zmagają się z rzeczami i pojęciami próbując je nazwać,

mało energiczny kiedy mowa owija się dokoła mowy i mowę przedrzeźnia. Porównanie francuskiego sprzed stu lat i dzisiaj dostarcza przykładu na zmniejszenie się językowej energii, ale polskiemu to stale groziło i zdobywał się na wigor w krótkich tylko okresach. Chorobą jego jest gadulstwo („*Bo to wicie jo tok lubie godoć, ino nie wim co*”, jak powiadał pewien góral), co sprowadza się ostatecznie do niedostatku cnót intelektualnych. Gdyby np. Cieszkowski napisał grube tomy swego *Ojcie Nasz* związłym i dobitnym językiem byłoby to wartościowe dzieło, niestety wodnistość jego zdań doprowadza czytelnika do rozpacz. W siedemnastym wieku wierszowano zapamiętałe, obfity ten dorobek jest jednak przeważnie tylko gadulstwem. Ilość wierszy, głównie patriotycznych, napisanych w dziewiętnastym wieku jest zawrotna i warto byłoby zbadać czy w innych językach tak samo przedstawia się stosunek ilościowy mowy-szumu do nielicznych utworów prawdziwie poetyckich.

Można wysunąć argument, że nie mieszkając w Polsce nie powinno się w tej sprawie zabierać głosu, bo język jest przecie czymś żywym i bez ustanku się zmienia. Z pewnością się zmienia, ale nie wiadomo czy na lepsze. Ktoś, kto jak Darowski musi w życiu codziennym ciągle przerzucać się z angielskiego do polskiego i odwrotnie, jest wyczulony na niektóre skłonności polszczyzny przez ludzi w Polsce rzadko dostrzegane i sądu jego nie trzeba lekceważyć. Nikt przy tym nie zdaje się rozumieć, że właśnie takie przyglądanie się własnemu językowi niejako z boku należy do obowiązków krytyki literackiej. Że tak się dzieje na emigracji, gdzie krytyki literackiej prawie nie ma, trudno się dziwić, ale w Polsce, gdzie kochają się w przeróżnych cienkościach, mnóstwo wychowanków polonistyki zaszczepia w swoich artykułach wszelkie zagraniczne mody, nie wpadając jakoś na pomysły, że istnieje możliwość krytyki rodzimej, która by jaki taki porządek w domu zaprowadziła.

Krytyka taka musiałaby swoje narzędzia sama przygotować, bo pożyczyć ich zza granicy nie sposób, skoro każdy język ma jemu tylko właściwe utrapienia. Następnie, te narzędzia stosując, przystąpiłaby do zbadania kiedy i gdzie, u jakich pisarzy, polski zdobywa się na energię w jemu dostępnych granicach, oraz kiedy i gdzie tę energię traci. Granice są wyznaczone przez zbiegi sięczących spółgłosek, wielosylabowość słów i stały akcent na przedostatniej sylabie, tak że silna rytmiczność zdania jest bardzo trudna do osiągnięcia. Czekają tutaj liczne odkrycia i niespodzianki. Może się np. okazać, że polski z okolic roku 1400 był na dobrym tropie i że obiecywał więcej niż następne stulecia spełniły. Porównajmy gęsty rytm *Psalterza Puławskiego* z ospałą budową zdań w *Piśmie Świętym* Wydawnictwa Pallotinum, 1965.

Psalterz Puławski:

Błogostawiony mąż, jen nie szedł po radzie niemiłościwych i na drodze grzesznych nie stał i na stolcu nagłego spadnienia nie siedział.

Ale w zakonie bożem wola jego i w zakonie jego będzie myśleć we dnie i w nocy.

A będzie jako drzewo, jes szczepione jest podług ciekących wód, jes owoc swój da w czas swój.

A i list jego nie spadnie i wszystko cokoli uczyni, zdarzy się.

Pallotinum:

*Błogostawiony mąż,
który za radą niezbożnych nie idzie,
nie wchodzi na drogę grzeszników,
nie siada w kole szyderców
Lecz w prawie Pana rozkosz znajduje,
nad prawem Jego myśli dniem i nocą.
Jest on jako drzewo
zasadzone nad strugami wody,
które wydaje owoc w swoim czasie,
a liście jego nie więdną —
i co uczyni, pomyślnie wypada.*

Psalterz Puławski:

*Uczynił w sądzie stolec swój i on będzie sądził okrąg
ziemie w sprawiedliwości, będzie sądził lud w prawdzie.*

*I udzielan jest Gospodzin uciecha ubogiemu, pomocnik
w przygodach i zamięcie.*

*I nadziewać się będą w tobie ci, co znają imię twoje,
bo ty nie zastał jes szukających ciebie, Gospodnie.*

Pallotinum:

*... na sąd swą stolicę ustawił.
I sprawiedliwie sam będzie świat sądził,
narodom bezstronnie porozstrzyga sprawy.
I będzie Pan ucieczką dla uciśnionego,
ucieczką dogodną w czasach utrapienia.
I zaufają Tobie znający Twe imię,
bo nie opuszczasz, Panie, tych co cię szukają.*

Rozbiór akcentów i intonacji w obu przekładach pozwoliłby ustalić skąd siła pierwszego, słabość drugiego, nie wyjaśniłby jednak dlaczego nieznaną zakonnik sprzed lat bez mała sześcioletniej pisał po polsku niż jego następcą. Zestawienie to nie wychodzi na korzyść dzisiejszej polszczyzny i nasuwa wątpliwości co do liturgii nabożeństw odprawianych w tak osłabionym języku. Ale nie tylko stare Biblie są lepsze. W ogóle może się okazać, że polski czytelnik łudzi się kiedy jest przekonany, że podstawowe dzieła pisane naszej cywilizacji są mu dostępne w przekładach. Krytyka literacka godna tego imienia musiałaby się zająć tą niemalże polską specjalnością, jaką są *przekłady pozorne* z wielkim nakładem pracy płodzone w okresach językowo niekorzystnych i nawet dość dokładne, ale nudne i właściwie nieczytelne. *Borskiej Komedii* Dantego i *Fausta* Goethego w polskiej wersji tak dobrze jak nie ma, a obyczaj tłumaczenia greckich i łacińskich poetów rymowanym wierszem sylabicznym, niegdyś uprawniany, przysporzył naszemu stuleciu sporo suchego drewna, które tę tylko ma zasługę, że zabiera miejsce na półkach bibliotek. Pozorne przekłady są szkodliwe, bo dają złudzenie obcowania z tradycją, choć w istocie są szkołą nieuwagi i pobieżności.

Każdy język przechodzi przez urodzajne i nieurodzajne fazy, zdarza mu się też trafiać w ślepe ulice. Tak więc np. piszący po angielsku wystrzegają się wszystkiego, w słownictwie czy w układzie zdania, co zanadto trąci erą wiktoriańską. I zapewne skłania do tego nie przymus mody, ale odczucie, że pozwalano sobie wtedy na zbyt wiele odstępstw od głównego nurtu czy kanonu, ku któremu zmierza sam geniusz języka. Bo kanon istnieje — czy też powinien istnieć. Polski, bogaty, ciepły i kapryśny, z tym właśnie ma największe trudności. Jest to język wyjątkowo mało *ustawiony*, i tutaj Gombrowicz — za swoje wzory obierając Paskę i Sienkiewicza — postępował słusznie. Ale iluż pisarzy dwudziestego wieku dbało o kanon? Niewiele. Ogromna luka w polskiej kulturze, nie pierwsza, stąd pochodzi, że około roku 1900 myślowy przełom nie mógł być właściwie przeżyty. Wszystko znali, wszystko czytali, i Nietzschego, i Baudelaire'a i francuskich symbolistów, ale w papkę im się to pod piórem zamieniało. W tej próbie ujęcia nowych intelektualnych treści polski przegrywał, bo dowolnością składni uwiedzeni, wyobrazili sobie, że wszystko wolno. Jakimż pisarzami byłiby Przybyszewski, Kasprowicz, Tetmajer, Miciński, Berent, gdyby na miarę swoich uczuciowych napięć i przemysłów zagospodarowali język! Czy też te przemyslenia okazały się za słabe, znów kura i jajko. Tak czy owak, muzeum, a kto wie czy nie muzeum już wtedy kiedy ich dzieła się rodziły. A Żeromski (którego *Dzienniki* przygnębiają i zawstydzają) czy dlatego przegrywał, że dał się porwać „żywio-

łowi języka”, wyrządzając temu językowi wiele szkody, czy też dlatego dał się porwać, że miał za mało do powiedzenia?

Krytyka zna blaski i nędze Młodej Polski, ale oby się tak nie zdarzyło, że nasi potomni, oglądając się wstecz, na nasze dziesięciolecie, papkę tylko tam znajdą. Gdyż i wtedy, za Młodej Polski, przez chwilę urzekła czytającą publiczność głębia i barwa ówczesnej poezji i prozy. Prawdziwa krytyka o jakiej myślę starałaby się ustalić hierarchię nie-jednodniową, bo język jest nie na jeden dzień i nie na jedno pokolenie. Pewnie, to przykre, że polski z roku 1400 czy w *Nowym Testamencie* Wujka z roku 1593 jednością i dostojeństwem nad dzisiejszym góruje. Ale zadaniem krytyki byłoby rozróżnić współistniejące ze sobą w dzisiejszym czasie językowe skłonności, z których jedne niosą jakąś obietnicę, inne żadnej. Jest prawo danego języka i jest rzeczywistość, jakakolwiek, duchowa czy fizyczna, która wymyka się nam i stawia opór. Za zdrowy wolno uważać język jeżeli, nie wykraczając poza swoje prawo, jest dzielnym zapaśnikiem i stara się tę rzeczywistość uchwycić. Prawda jest jego higieną. Natomiast słowa dziwiące się słowom, zdania pokazujące zdaniom „zyg-zyg marcheweczka”, ironiczne zabawy poetów-lingwistów, parodia, persyflaż, mogą mieć zalety tam tylko, gdzie kanon języka jest nienaruszony. Powój musi mieć o co się opłacać. Nie wyklucone, że przy pomocy odpowiednich pojęciowych narzędzi dałoby się określić na czym polega „powojowość” polskiego, której objawem jest zapewne i słowo bez ustanku drwiące z siebie i gadulstwo i sroczą łapczywość na obce słowa-błyskotki.

Dzisiejsze przemiany językowe są miejskie. Żaden Skansen, w żadnym kraju, nie potrafi uratować chłopskich gwar. To tak jak ze sztuką ludową, dzisiaj już tylko podrabianą. Eskimosi jeżdżą saniami motorowymi i rzeźbiąc na zamówienie „prymitywy” bardzo tego nie lubią, bo gdyby mogli, woleliby przedstawiać w rzeźbie swoje sanie i strzelby „jak żywe”. Skoro zamknął się ten rozdział, warto byłoby teraz rozważyć, dlaczego pierwiastki ludowe tak słabo polski język naznaczyły. Przedział społeczny nie wszystko tu tłumaczy i nasuwa się podejrzenie, że przesądziły o tym niedostatki samych gwar, ich szelestliwość, ich słaba artykulacja rytmiczna, co bodajże potwierdzają utwory literatów chłopskiego pochodzenia. W dwudziestym wieku muzyka robi nowy użytek z ludowych motywów (Strawiński, Bartok, Szymanowski), podobnie poezja. Jednakże żaden z polskich poetów, którzy napisali piękne i niezapomniane wiersze podnoszące wiejskość niejako w wyższy wymiar, z wioski się nie wywodził. Są to: Leśmian, częściowo (i pod Leśmiana wpływem) Tuwim, Tytus Czyżewski, Józef Czechowicz. Natomiast całkiem słabo w tym względzie z Kasprowiczem i Przybosiem. Dokoła Przybosia krytycy,

którzy widzą drzewa a nie widzą lasu, narobili tyle szumu, że żadne dziecko nie ośmiela się wykrzyknąć: król jest nagi. Ale przecie, niezależnie od wartości jego wierszy w obrębie poetyckiego laboratorium, są one zjawiskiem poronnym, tego rzędu co *Zywe Kamienie Berenta*.

Krytyka z rozmyślenia nad prawami jednego języka poczęta nie dałaby się uwieść podziałom na szkoły i kierunki, bo linia podziału pomiędzy wigorem i niemocą przebiega środkiem różnych szkół czy grup. Za kryterium obrałaby językową sprawność (sprawność alpinisty). W naszym stuleciu z tą sprawnością nie jest tak źle, jeżeli zdołano napisać po polsku pewną ilość książek wybitnych i jeżeli powstały w nim arcydzieła przekładu, takie jak Rabelais Boya czy Laurence Sterne Krystyny Tarnowskiej. Niemniej niebezpieczeństwa są tak widoczne, że ten rodzaj krytyki byłby wręcz konieczny. Choć nie trzeba się łudzić, pewnie to są tylko marzenia.



Gdyby *Pamiętnik Wileński** ukazał się dziesięć czy piętnaście lat temu, mniejsza byłaby jego wartość. Wyrosło już pokolenie, dla którego książka ta, jeżeli trafi do jego rąk, musi być dziwem nad dziwy. I teraz, kiedy coraz trudniej o egzotykę odległych lądów, wysp i oceanów, można doradzić tę książkę dwudziestolatkom, jeżeli prawdziwej egzotyki szukają. Zarazem to zbiorowe dzieło może skłonić do sprawdzenia poglądów na „wspominkarstwo”. Spory o zachowaną w pamięci przeszłość jako tworzywo toczyły się w naszym stuleciu przeważnie z powodu Prousta. Marksista Georg Lukacs, dokonując karkołomnych wysiłków, żeby uzasadnić swoją teorię realistycznej literatury, niechętnie do Prousta był usposobiony. W swoim szkicu *Ideologia modernizmu* przejmuje niektóre sądy Waltera Benjamina i ustala różnicę pomiędzy wydarzeniem przeżywanym, które jest skończone a przynajmniej „zamknięte na poziomie doświadczenia” i wydarzeniem przypomnianym, które jest nieskończone i może prowadzić do wszystkiego co je poprzedziło i co po nim nastąpiło. Innymi słowy, w czasie subiektywnym zacierają się wyraźne, ostre zarysy rzeczywistości, jest ona dowolnie tasowana i przerabiana. Jednakże Lukacs trochę zanadto sobie tutaj zadanie ułatwia. Istnieje stara tradycja według której właśnie oderwanie się od teraźniejszości z jej namiętnościami pozwala na bezinteresowną kontemplację, co według niejednego filozofa jest samą istotą sztuki. Simone Weil (wysoko Prousta ceniła) powiada: „Dystans jest

duszą piękna”. Powiada też: „Kontemplacja czasu jest kluczem do życia ludzkiego. Jest to niesprowadzalna do niczego tajemnica, do której żadna nauka nie ma dostępu”. Mocą przeznaczeń polskiego piśmiennictwa największe jego dzieło, *Pan Tadeusz*, w przeszłość jest zwrócone, przebywa w subiektywnym czasie wspomnienia. Kraj rodzinny przemieniony w nim został i upiększony, bo już nie do tego co jest przynależał, ale do tego co było. Oddalenie dało tutaj korzyści artystyczne, choć bywa, że daje i inne.

Autorzy których prace składają się na *Pamiętnik Wileński* piszą o swojej utraconej ojczyźnie, toteż jeżeli czas to i owo w ich pamięci złagodził nie trzeba im tego mieć za złe. Na ogół jednak widać u nich ogromny wysiłek bezstronnego przedstawienia spraw wielce zawiłych, przede wszystkim, rzecz jasna, narodowościowych. Najwięcej danych przynosi szkic samego redaktora, Kazimierza Okulicza „Brzask, dzień i zmierzch na ziemiach Litwy historycznej” jak i Wiktora Sukiennickiego „Między Niemcami i Rosją”. Ponieważ ojczyzna była wielonarodowościowa, losom poszczególnych grup poświęcają swoje szkice Dawid Fajnhauz („Ludność żydowska na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego”), Waław Panucewicz („Odrodzenie Białorusi i jej współczesne perspektywy”), Wiesław Antoni Lasocki („O litewskich Tatarach”), Szymon Szyszman („Zamek nadjeziorny w Trokach i jego obrońcy” — o Karaimach). Uderza nieobecność autorów, których językiem rodzinnym jest litewski. Jeżeli jednak litewscy literaci odrzucili, jak mi wiadomo, zaproszenie do współpracy, nie można odmówić słuszności ich decyzji. *Pamiętnik* nie jest jednolity i, jak pozwalają wnioskować niektóre zawarte w nim wypowiedzi, poszczególni współpracownicy reprezentują dość różne stanowiska. Z jednymi Litwini łatwo doszliby do porozumienia, występując obok innych naraziliby się na zarzut, że zawierają niejasne alianse. Ci inni nie zdają się być świadomi niektórych swoich odruchów, czyli są jak pan Jourdain który nie wiedział, że mówi prozą. Mgiełka oddalenia i pewna rzewność właściwa wspomnieniom mogą niekiedy wytwarzać pozór zgody tam gdzie naprawdę zgody nie ma.

W dziewiętnastym wieku Rosjanie ogromnie współczuli cierpieniom południowych Słowian walczących o niepodległość. Krokodyle łzy nad ich dolą wylewali i słowianofile i nawet Turgieniew — w tym samym czasie kiedy miłująca wszelką słowiańskość Rosja wieszała Polaków na szubienicach i gnała ich masami na Sybir. Ten przykład nacjonalistycznych podwójnych miar jest wyjątkowo jaskrawy, ale zgodny z ogólnym prawidłem narodowej samo-ułudy. Stosując się do tego prawidła Polacy nigdy nie mogli zrozumieć o co Litwini mają do nich pretensję. Polonizacja Litwy zdawała się należeć do porządku rzeczy i kto Waszkisa zamieniał

* *Pamiętnik Wileński*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972, str. 455.

na Waszkiewicza, sądził, że wyświadcza mu dobrodziejstwo. Niestety, czy raczej na szczęście, Litwini nie mogą tak jasno przedstawić swojej krzywdy jak Polacy to mogą w stosunku do Rosjan. Gdy polonizacja, jeżeli pominiemy niektóre wydarzenia krótkiego dwudziestolecia 1918-1939, nie była wynikiem jakichś świadomych zamiarów i uprawiali ją nie żaden przybysz z Polski ale spolonizowani Litwini. Wielkie Księstwo Litewskie było zdumiewającym przykładem przegranej *języka*. Jeżeli trudno brać dosłownie Darowskiego kiedy tłumaczy niepowodzenia Irlandczyków i Walijszczyków ich gaelickim, to coś w tym jednak jest. Najstarszy język indoeuropejski — rozkosz lingwistów, bo od sanskrytu do niego tylko krok — litewski płacił cenę swego konserwatywności i to na długo zanim polski pojawił się na tym obszarze. Językiem urzędowym rozległego państwa założonego przez litewskich wojowników był ruski. Choć tu znowu zagadka. Nie uwłaczając Białorusinom, wypada zauważyć, że ten język niezliczonych testamentów, aktów kupna-sprzedazy, nadań, darowizn, mało białoruski przypomina. Przydarzyło mu się to, co przydarzyłoby się polskiemu gdyby zniknął jako język pisany i odrodził się w postaci mazurzącej gwary. Ruski w W. Księstwie służył nie tylko do celów urzędowych, miał swój przekład Biblii, Franciszka Skoryny, oraz początki literatury, zarówno poezji jak prozy, i około stu lat z polskim współzawodniczył, coraz bardziej ulegając jego wpływowi, aż wreszcie po prostu wyszedł z użytku.

Pamiętnik Wileński nie jest świadectwem złożonym przez „Polaków z Wilna”, skoro treścią prac nadających mu ton (Okulicz, Sukiennicki) jest dramat przeszłości, przypadający nie na lata drugiej wojny światowej ale na pierwsze dwie dekady dwudziestego wieku. A tak to mniej więcej wygląda, w streszczeniu: „Siedzieliśmy w kraju naszych pra-pradziadów, Litwą nazywaliśmy naszą ojczyznę a siebie Litwinami. Tacy z nas byli Polacy jak Anglicy z mówiących po angielsku mieszkańców Dublina. Niezbyt u nas było przyjęte mieszać się przez małżeństwa z tamtymi, z Korony. Przybyszów z Polski było wśród nas mało, więcej z Niemiec, ze Szkocji, czy Tatarów. Zazdrośnie strzeżliśmy swojej odrębności, jako że my to my, a oni to oni, i kiedy naszego Mickiewicza przeżywali nieokrzesanym litewskim niedźwiedziem, sami uznawali tę naszą odrębność. Aż nastał wiek dwudziesty i oznaczał on koniec naszej ojczyzny. Jedni przyszli do nas i powiedzieli: — Jeżeli jesteście Litwini, to dlaczego zamiast mówić mową przodków mówicie po polsku? Albo zaczniecie mówić po litewsku, albo będziecie zdrajcami narodu. Drudzy przyszli do nas i powiedzieli: — Jeżeli mówicie po polsku, to nie jesteście Litwini i jeżeli za Litwinów będziecie się uważać, będziecie zdrajcami narodu”. Ten to dramat, bynajmniej nie fikcyjny, aż

nadto rzeczywisty, został w *Pamiętniku* wyraźnie pokazany i on to właśnie przesądza o egzotyce dzieła. Dzisiejszy polski czytelnik już nie wie, że byli ludzie, którzy to boleśnie przeżywali, i że znaleźli się wśród nich tacy, co stawiali opór naciskom z obu stron, broniąc prawa do bycia mówiącym po polsku Litwinem. Pomyłką byłoby widzieć w tym tylko fanaberię, pomyłką też byłoby zatrzymywać się na poziomie rozumowań i argumentów, choć oporni mogli powołać się na pewną ciągłość, skoro narodowy ruch litewski miał swoich protoplastów w ludziach polskiej formacji, takich jak biskup żmudzki Melchior Giedroyc, jak Teodor Narbutt, Dyonizy Paszkiewicz, Ludwik Jucewicz. Głębiej niż argumenty znalazłoby się instynktowny lęk przed wszystkim co niósł wiek dwudziesty, przed zamknięciem w *kotuchu*, czyli kurniku państw „narodowych” z urzędu. Co prawda ani profesor Michał Romer w Kownie ani Ludwik Abramowicz i grupa *Przełądu Wileńskiego* nie zyskali wielu zwolenników, zresztą w Wilnie jakikolwiek program roztopiał się w nieokreślonej „krajowości” także dlatego, że „nasz człowiek”, Piłsudski, był twórcą niepodległej Polski i „nasz człowiek”, Narutowicz, jej pierwszym prezydentem. Tak czy owak, rozwiązanie irlandzkie nie było możliwe. Większość spolonizowanych Litwinów z niepodległą Litwą nie chciała mieć nic wspólnego i dotyczy to nie tylko ludności Wilna. W samym środku Litwy gniazdowej, nad Niewiążą, drobna szlachta z okolic Wędziagoły (Vendigala) proklamuje w roku 1918 swoją „Republikę Wędziagolską”, a tuż obok siedząca szlachta Laudy (potomkowie drobnego bojarstwa, osadzonego tam przez W. Księcia w czternastym wieku dla obrony zamków nadniemeńskich) w ciągu całego okresu 1918-1939 do nowego litewskiego państwa odnosi się niechętnie.

Być może spór o Wilno i krótkotrwały żywot państwa zwanego Litwą Środkową najbardziej kogoś zainteresuje, ale był to ostatecznie wynik daleko w przeszłość sięgających przemian. Zresztą tytuł *Pamiętnik Wileński* jest niezupełnie dokładny, bo mówi się w nim i o Mińszczyźnie i o Polesiu czyli o całym kraju, który dziś nie ma nazwy, a który niegdyś był Wielkim Księstwem z Wilnem jako stolicą. Posądzanie jednak redaktora o chęć sentymentalnego powrotu do „idei jagiellońskiej” nie byłoby uprawiane, i to mimo otwierającej tom fotografii, która przedstawia herb z roku 1636 na zewnętrznej ścianie Bazyliki wileńskiej: orzeł z pogonią. Cała książka jest właściwie dumaniem nad daremnością ludzkich nadziei i uroszczeń, przekreślanych przez wyroki historii. Zaprasza też nie tyle do spekulacji politycznych („co by było gdyby”) ile do zastanowienia się jakie będą skutki tego co się stało, zwłaszcza dla polskiego języka i polskiej literatury. Należy sobie uświadomić, że przestał istnieć cały naród czy

plemię „Litwinów” w cudzoziemiu. Plemię to obyczajowością swoją różniło się poważnie od Polaków, inne też miało wady i zalety. Niezbyt wiele cech „polskiego charakteru narodowego” dałoby się w nim odnaleźć. Poza tym wyczuwalne jest jego inne poczucie językowe, i to zarówno w mowie potocznej jak w słowie piśmianym. Niewykluczone, że przyczyniło się do tego stałe sąsiedztwo innych języków, litewskiego i białoruskiego. Nie są to właściwości łatwo uchwytne, ale badacz, który zdobyłby się na trochę trudu natrafiłby zapewne na rytm zdania wspólny pisarzom pochodzącym z Litwy historycznej, a przynajmniej na podobną u nich wszystkich „uwagę składniową”. Ostatni Mohikanie tego plemienia są niezwykle czynni po roku 1945 w Polsce i na emigracji, i to nie tylko jako członkowie „grupy wileńskiej”. Dzięki nim głównie powstaje w Polsce katolickie środowisko intelektualne dokoła Uniwersytetu w Lublinie i *Tygodnika Powszechnego* (Czesław Zgorzelski, Irena Sławińska, Stanisław Stomma, Antoni Gołubiew), przez „Litwina” jest redagowana paryska *Kultura*, a samo nazwisko redaktora *Pamiętnika* kończące się na *icz* przypomina o całej plejadzie uzdolnionych *iczów*, znanych najpierw z redagowanego przez Kazimierza Okulicza *Kuriera Wileńskiego*, z redagowanego przez Stanisława Mackiewicza *Słowa* i ze spisu wykładów Uniwersytetu Stefana Batorego (Staniewicz, Meysztowicz, Swianiewicz, Mackiewicz Józef oraz wielu innych). Ale szczerp nie ma przyszłości, bo w jedno terytorium był wrośnięty, jak wiedzą wszyscy, których Wilno naznaczyło.

Polska literatura ma dzisiaj swoje sanktuaria za granicą — nad Niemnem, w wileńskiej Celi Konrada — i w znacznym stopniu żyje mitem Litwy magiczno-poetyckiej. Mit ten datuje się od Mickiewicza i urasta powoli. Jeszcze Norwidowi jest on obcy, skoro ten wywodzi swój rodowód, zgodnie z romantyczną modą, od jakichś fantastycznych Skandynawów, podczas kiedy nazwisko Norvidas albo Narvidas jest całkiem pospolite na samej północy Żmudzi (jak mnie objaśnił historyk litewski J. Dainauskas, zresztą sam znalazłem Narwidów i Norwidajtisów w zbiorach starych dokumentów). Następnie nad tym mitem pracuje Kraszewski, a z całej Trylogii Sienkiewicza najbardziej określony terytorialnie jest powiat kiejdański (mit gniazda), na nacjonalistyczną polską modłę co prawda spreparowany. Litewski separatyzm księcia Radziwiłła, jego kalwinizm i jego przejście na stronę Szwedów połączone są we wzorce zdrady, tak że zdrada jest już jakby zawarta w każdym z tych składników, podczas kiedy zaścianki Laudy dostarczają wzoru katolika *ergo* Polaka i patrioty. Za późniejsze w powiecie kiejdańskim narodowościowe kłótnie (Wędziagoła i Lauda) Sienkiewicz ponosi niemałą odpowiedzialność. W dwudziestym wieku mit jest już dobrze zako-

rzeniony, wsparty legendą Józefa Piłsudskiego, a wskazują na to liczne wiersze poetów *Skamandra*, autobiografia Gombrowicza (*Rozmowy z Dominikiem de Roux*) szcycącego się swoim żmudzkiem pochodzeniem, czy Litwa groteskowo-baśniowa w utworach St. Ign. Witkiewicza. Wygląda na to, że jak centralnym a niedosiężnym miejscem w *Paniu Tadeuszu* jest Matecznik, tak wyobraźnia polskiej literatury całą Litwę za swój Matecznik obrała, co może nie tak niezwykle, bo wkład do niej Litwy jest bodaj większy niż Irlandii do literatury angielskiej, choć ten jest nie mały: Swift, Burke, Oscar Wilde, Bernard Shaw, W. B. Yeats, Joyce. Samo już zniknięcie inteligencji pochodzenia żydowskiego i litewsko-szlacheckiego musi zupełnie zmienić charakter polskiego piśmiennictwa. Co się stanie z mitem, czy powoli się rozwieje, czy i jakim ulegnie przekształceniom, trudno wyrokować. W każdym razie Polacy powinni chyba odnosić się do Litwinów ze szczególną życzliwością i szacunkiem, bo oni to są, w warunkach jak najcięższych, strażnikami „pamiętek kościoła” i przechowują klucze do sanktuarium.

Wspomnienia o Wilnie, w *Pamiętniku* zawarte pozwalają uchwycić coś z atmosfery miasta, nie dostarczają jednak odpowiedzi na pytanie skąd wzięła się wyjątkowa jego kulturalna płodność w latach 1918-1939, dostrzegalna zresztą nie wtedy, nieco później, u tych których wychowało Wilno. Gdzie szukać przyczyn? W architekturze? W kościołach i świątyniach różnych wyznań? W rozlegającej się na ulicach mieszance języków? W rozmnożonych łóżach masońskich? W murach uniwersytetu, tak różnego od innych ówczesnych polskich uniwersytetów? Czy też po prostu w „aurze”, gdzieś z początków dziewiętnastego stulecia? Dlaczego, beznadziejnie prowincjonalni, byliśmy jednak jakby mniej prowincjonalni niż gdzie indziej wychowani nasi rówieśnicy, bardziej otwarci na „innych” czy międzynarodowi? Brak odpowiedzi na to nie może być zarzutem. Moi wileńscy przyjaciele mieszkający w Polsce próbują mnie namówić do napisania książki o Wilnie, która by pomogła wyjaśnić czemu z ówczesnego Wilna wyszło tylu ludzi dzielnego ducha. Ale musiałaby to być księga żywotów, a do tego trzeba byłoby przeprowadzić dużo rozmów w wielu krajach, nie wyłączając Polski i Izraela, oraz usłyszeć niejedną „wieść gminną”. Trudno o to na brzegach Pacyfiku.

Życiu studenckiej młodzieży i życiu literackiemu Wilna udzieleno w *Pamiętniku* sporo uwagi ale chyba nie dosyć. Józef Bujnowski w swoim szkicu „Obraz międzywojennej literatury wileńskiej” stara się o jak największą rzetelność, nikogo nie chce pominąć, otrzymujemy jednak raczej katalog niż wprowadzenie w dynamikę zjawisk. Pomija co prawda postać, która była może

zbyt skromna żeby zasłużyć na wzmiankę, niemniej posiada dzisiaj znaczenie symbolu, bo taka osobistość mogła urodzić się i działać tylko na skrzyżowaniu kultur. Był to poeta nazwiskiem Aron Pirmas ogłaszający swoje wiersze na łamach *Zagarów*. Biografie jego wolno ułożyć jak kto sobie życzy, bo nigdy nie istniał. Powołali go do życia dwaj poeci-żagaryści, Teodor Bujnicki i niżej podpisany. Bujnicki miał wielką łatwość pióra i talent do wierszy humorystycznych, znał też dobrze poezję rosyjską dziewiętnastego wieku (co, poza Wilnem, było wówczas rzadkością) i bawił się czytaniem głośno aforyzmów oraz wierszyków Koźmy Prutkowa, mędrca, który był tworem literackich figlarzy, braci Żemczuznikow — tych, z kolei, natchnęła postać Monsieur Prudhomme w literaturze francuskiej. Stąd też pomysł Bujnickiego, a nazwisko Aron Pirmas, podobnie jak tytuł pisma *Zagary* to już wkład mój, przybysza z rdzennej Litwy. Pirmas znaczy po litewsku Pierwszy i ów to Aron Pierwszy w jednym ze swoich utworów określał siebie jako „amalgamat Żyda i Litwina” — ale zarazem przede po polsku pisał. Niestety trzeba stwierdzić, że możliwości tej kilku-narodowej postaci nie zostały wykorzystane i że dorobek Pirmasa jest szczupły. Wielka szkoda, że różne kłopoty osobiste, których nie brakło, zmusiły nas do zaprzestania tej zabawy.

Prowincjonalne Wilno zastanawia swoim kulturalnym bogactwem i chcąc dać tego obraz nie należałoby ograniczać się do literatury wileńskiej w języku polskim. Równocześnie, przy rozmaitych wzajemnych wpływach i przepłotach, pisano i drukowano w yidish, po hebrajsku, po litewsku, po białorusku. Gąszcz to nazwisk, grup, politycznych problemów, jak zresztą, raczej nie od literackiej strony, z książki można się dowiedzieć.

Być może *Pamiętnik* będą czytać ludzie starzy szukający w nim śladów swojej młodości. Jest on jednak przede wszystkim dziełem dla ludzi młodych, zwłaszcza jeżeli mają zainteresowania historyczne. Prawdziwa skarbnica wiadomości na jakie nigdzie indziej nie natrafiają. To omówienie jest bardzo niepełne, bo każda prawie z prac składających się na to *symposium* domaga się osobnych rozważań. Celem moim było przywrócić coś z właściwej hierarchii: złe by było gdyby ważność takich wydarzeń jak ukazanie się tomu ułożonego przez Okulicza została niedoceniona.

Czesław MIŁOSZ

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 18 maja 1973

Bardzo dobre *Życie Jesienina* Elwiry Watała i Wiktora Woroszyńskiego, bogate, żywo napisane, inteligentnie wyważone. Jesienin, na krótko przed śmiercią, do Fiodora Raskolnikowa: „Czasem przychodzi mi do głowy, żeby odebrać sobie życie i chociażby w ten sposób zwrócić uwagę na ciężką sytuację literatury”. Naturalnie, jak w każdym samobójstwie, sznur upleciony był z różnych włókien, nie wystarczyłaby do założenia go sobie na szyję „ciężka sytuacja literatury”. Ale tracić jej z oczu nie wolno. *Samyj jarostnyj poputczik*, a w jednym wierszu wręcz „bolszewik”, otworzył 27 grudnia 1925 roku czarną serię. „Oddam wam całą duszę, Maju, Październiku, tylko mej liry miłej oddać wam nie mogę”. Naiwny, desperacki cyrograf! Szukając w nim ostatniego ratunku, Jesienin wiedział już przecież że „przeżywamy epokę zabijania jednostki jako czegoś żywego”, że żaden prawdziwy poeta nie oderwie liry od duszy. W grudniowy poranek, w hotelu *Angleterre* w Leningradzie, po bezużytecznym cyrografie przyszła kolej na pożegnalny wiersz napisany krwią.

Watała i Woroszyński przytaczają urywki artykułu Bucharina w *Prawdzie* ze stycznia 1927 roku. Artykuł nazywał się *Złośliwe uwagi* i był generalną rozprawą z „jesieninowszczyzną”: „Poezja kształtuje charakter... Jeżeli i dawniej odpychające było kokietowanie inteligentną ślamazarnością, bezsilnością, bezwolnością, żalonym sflaczeniem, to wprost nie podobna go tolerować w naszych czasach, kiedy potrzebne są zupełnie inne charakter, energiczne i stanowcze, nie zaś szmaty, które pora wyrzucić na śmietnik”. Bucharin czuł się wtedy silny i prężny u boku Stalina w walce ze „zjednoczoną opozycją”. Pamiętał ten tekst, gdy po

latach i jego zabierano się „wyrzucić na śmietnik”, gdy wzdychał do Dziesięciorga Przykazań w paryskim spotkaniu z Nikołajewskim, a potem w więzieniu moskiewskim przekazywał Ajchenwaldowi swój mistyczny prawie „testament duchowy”? Szkoda że autorzy *Życia Jesienina* przegapili, albo musieli pominąć, jeden istotny szczegół: artykuł Bucharina stanowił pośrednią odpowiedź na artykuł Trockiego *Pamięci Sergieja Jesienina* w tejże *Prawdzie* ze stycznia 1926 roku. W przeddzień swego „wyrzucenia na śmietnik” Trocki z większym zrozumieniem pochylał się nad grobem poety: „Był skrajnie intymnym lirykiem. Nasza epoka natomiast nie jest liryczna. W tym tkwi *główna* przyczyna, dla której dobrowolnie i tak wcześnie odszedł od nas i od swojej epoki Jesienin... Nie, nie był obcy rewolucji, nie pasował do niej. On — intymny, tkliwy, liryczny; ona — publiczna, epicka, katastroficzna. Dlatego krótkie życie poety skończyło się katastrofą... Do kogo zwracał się krwią Jesienin w godzinie śmierci? Być może do kogoś, kto jeszcze się nie urodził, do człowieka nadchodzącej epoki, którą jedni przygotowują bojami, a on przygotowywał pieśniami. Zginął, gdyż nie przystawał do rewolucji. Lecz w imię przyszłości rewolucja usynowi go na zawsze”.

„W imię przyszłości” Majakowski zareplikował na pożegnalne strofy Jesienina gromkim i zamaszystym wierszem. Zachowała się adnotacja Gorkiego na jego marginesie w egzemplarzu pośmiertnego wydania poezji wybranych Majakowskiego: „Po czym sam się zastrzelił”. W środowisku artystycznym, zwłaszcza młodszym, wybuchła epidemia samobójstw. Zatamowała ją Wielki Terror, przenosząc konflikt „epickiego” z „lirycznym” do lochów Łubianki, za kraty więzień i druty obozów. Tragedia „epoki zabijania jednostki jako czegoś żywego” nie odmówiła sobie symetrycznej klamry: w roku 1925 na sznurze od walizki powiesił się niezdolny do życia w rewolucyjnej ojczyźnie Jesienin, w roku 1941 na sznurze od walizki powiesiła się po powrocie z emigracji do kraju Cwietajewa.

19 maja

W motczanji twojego uchoda uprek niewyskazannyj jest’. Tę linijkę przepisałem niegdyś w moim dzienniku z wiersza Pasternaka na śmierć Cwietajewoj. Świeży *Wiestnik* paryski drukuje listy Pasternaka do żony. 10 września 1941 roku rano: „Wczoraj w nocy Fiedin powiedział mi, że odebrała sobie życie Maryna. Nie chce mi się wierzyć. Gdzieś blisko was, w Czistopolu czy Jełabudze... Jeśli to prawda, to jaka potworność! I jaka spada na

mnie wina!... Nigdy sobie tego nie daruję. W ostatnim roku przestałem się nią interesować, odszedłem od niej, nie narzucałem jej się, jak gdybym zapomniał zupełnie... Ach, dlaczego to zrobiłem!”.

Niebywały list z roku 1954: „Dopuszczam myśl, że uporczywym milczeniem Nina (Tabidze) przygotowuje może niespodziankę i zjawi się nagle, bez uprzedzenia, razem z Tycjanem (Tabidze). Wczoraj zaszedł Fiedin i opowiedział nieoczekiwane rzeczy. Rozpatrują na nowo „sprawę” Babla i są dowody, że żyje i wyjdzie na wolność. Fiedin twierdzi że widział Czerenca, którego wszyscy uważali za rozstrzelanego. Czemu nie miałyby się to samo zdarzyć z Tycjanem i Pilniakiem?”.

Tycjana Tabidze rozstrzelano w roku 1937, wkrótce po aresztowaniu. Babla aresztowano w roku 1937, zgnojono w 1941. Pilniaka rozstrzelano w 37 lub 38. Jeszcze po piętnastu przeszło latach trwały złudzenia i nadzieje, najmniejsza wiadomość nie przeniknęła na zewnątrz. Historia „rewolucji publicznej, epickiej, katastroficznej” jest historią tajności, nie bez kozery rozdział obecny zaczął się od „tajnego raportu”. Trzeba to sobie wciąż w duchu powtarzać, nawet czytając takich pisarzy jak Pasternak, Sołżenicyn czy Nadieżda Mandelsztam.

25 maja

Kiedy wspominałem raz w dzienniku o politycznej dwuznaczności albo w najlepszym wypadku mętności Tomasza Manna, W. (wyborny tłumacz *Doktora Faustusa*) uznał to nieomalże za obrazę majestatu. Datę 5 kwietnia 1937 roku nosi list Manna do Związku Pisarzy Sowieckich. Zaproszono go do wzięcia udziału w książkowym sympozjone dla upamiętnienia dwudziestej rocznicy narodzin ZSSR. Zaczął odpowiedź od kokieteryjnego uniku: czcigodni panowie, jakiegoż domagacie się ode mnie zuchwalego ryzyka, odsłonić własne sympatie komunistyczne, co mówię: choćby tylko socjalistyczne, oznacza dziś w Europie narazić się na męczeństwo, na prześladowania, rozpętać przeciw sobie kampanię nienawiści, o jakiej szanowni panowie nie macie nawet pojęcia... Ta brednia (było przecież dokładnie na odwrót, moda na komunizantwo wśród „duchowych przewodników Europy” dosięgnęła w owych latach paroksyzmu) podlana jest mannowskim, uroczyście-zjełczałym, sosem retorycznym. Nie, nie życzy broń Boże narodowi niemieckiemu dyktatury komunistycznej po upadku dyktatury hitlerowskiej, ale musi w imię uczci-

wości intelektualnej przyznać, że dyktatura dyktaturze nierówna. „W głębi mojej istoty potrafię rozróżnić. Doskonale mogę sobie wyobrazić dyktaturę w służbie człowieka i przyszłości, w służbie prawdy i sprawiedliwości, zamiast dyktatury kłamstwa i zbrodni”. Czytając powyższy fragment apostołskiej epistoły, czcigodni panowie w Moskwie zapłoneli pewnie rumieńczykiem dumy, skoro z kontekstu wynikało jasno do której kategorii należy *ich* dyktatura. Czekąca dalej adresatów obfitsza jeszcze dawka miodu. „Ze rewolucja rosyjska zrobiła i robi wielkie rzeczy dla duchowego podniesienia narodu rosyjskiego, jest już obecnie faktem niewątpliwym, i bardzo być może że kiedyś jej dzieło głębokiej ludzkiej reformy zostanie ocenione nie niżej od dzieła rewolucji francuskich... Nie ma dziś świeższej, żywniejszej, bogatszej w treść idei, niż idea wolności. Lecz królować winna wolność świadoma, pełna poczucia własnej godności, oparta na humanizmie po męsku gotowym do walki: krzepka demokracja społeczna, zarysowana przez młodą konstytucję sowiecką, demokracja którą — tuszę sobie — zdołają wprowadzić w życie naród rosyjski i wszystkie inne narody”.

Pisarze, wybitni pisarze, purpuraci literatury, złote pióra... W kadzidlany dymie chodziło prawdopodobnie o to, by książki Manna wydawano w Rosji. W 59 lub 60 roku odbył się w Frankfurcie międzynarodowy zjazd PEN, na którym miano rozważyć możliwość zawieszenia w prawach członkowskich oddziału budapestzteńskiego aż do chwili zwolnienia z więzień pisarzy węgierskich aresztowanych po powstaniu. Wiadomo było z góry że nowym prezesem organizacji zostanie Moravia, od niego więc zależało najwięcej. Przyjechałem do Frankfurtu w przeddzień otwarcia obrad, wieczorkiem zaszedłem do piwiarni obok hotelu. Traf chciał, że w pół godziny później zjawił się w piwiarni Moravia i przysiadł się do mojego stolika. Zdarzyło mu się „coś zgoła niewiarygodnego”. Wczoraj zatelefonował do niego w Rzymie radca kulturalny ambasady sowieckiej, zaprosił go na kolację i podzielił się z nim „dobrą nowiną”: w Moskwie postanowiono dać *nihil obstat* przekładom tych jego powieści i nowel, które cenzura dotychczas utraçała ze względu na „swoisty purytanizm sowiecki”. Jak pan myśli — poszturchiwał mnie łokciem Moravia, przymrużywszy filuternie oko — co to może znaczyć? Odpowiedział sobie sam na swoje pytanie w ostatnim dniu kongresu frankfurckiego, przeważając szalę dyskusji na stronę „nie mieszania się do wewnętrznych spraw węgierskich”.

Kwestia gustu oczywiście, ale postawiony wobec konieczności wyboru wolę przymrużone spryciarsko oko Moravii od namaszczonej obłudy Manna.

31 maja

Na wystawie Sutina zanotowałem w katalogu: „Wszystko się chwieje, rozpada, gnije, reszta to udawanie”. W domu zajrzałem do malarskiego tomu Czapskiego. Zdanie Sutina ze szkicu o nim, który Czapski zatytułował *Derwisz*: „Chowamy się za trupami, po co ta zabawa w chowanego, jesteśmy stoczeni strachem, i tak potwór nas pożre”.

Derwisz? Prędzej mistyk wpatrzony w czaszkę, z tradycyjnego wizerunku, z podpisem u dołu: *vanitas vanitatum*. W katalogu uwaga Élie Faure o Sutinie z roku 1929: „Jest jednym z rzadkich malarzy religijnych jakich znał świat, gdyż jego materia jest jedną z najbardziej cielesnych jakie wyraziło malarstwo”. Można się z tym zgodzić pod warunkiem, że genialne, przejmujące widzenie nietrwałości i dekompozycji materii stanowi kod tęsknoty do ascezy spirytualnej. Nie chować się, nie udawać, spoglądać do ascezy spirytualnej. Nie chować się, gdzieś poza musi być coś czystsze i wiecznego. Sutin nigdy nie dotarł poza, ale w natężeniu jego wzroku tkwi tak ogromna i wspaniała samowiedza, że z materii w rozpadzie, ze śmierci zagnieżdżonej w życiu, wydobywa się jak gdyby daleki odbłask nieuchwytnego światła. Na jego wielkiej wystawie uczestniczy się z biciem serca (nie ma powodu wstydzić się oklepanego określenia) w gwałtownym, wściekłym, zapamiętałym pojedynku artysty z „potworem”. Co u Rembrandta było spokojnym i harmonijnym procesem, rozłożonym na etapy dojrzewania, Sutin zagaścił w opowieści o kilku właściwie tonach i nieodpartej dramatyczności.

Neapol, 6 czerwca

Ojciec barnabita C., największy we Włoszech znawca Plotyna. Kilka miesięcy temu miał wylew krwi do mózgu, niedawno przewieziono go z kliniki do mieszkania siostry w górnym Neapolu. Wybrałem się do niego dziś wczesnym popołudniem.

Siedział w fotelu lekko odwrócony od okna, z którego widać było całą zatokę: leniwy słoneczny dzień, mnóstwo kolorowych zastygłych żaglówek, statki powoli sunące ku wyspom. Zdawał się uradowany wizytą, chociaż dostrzegłem natychmiast w jego twarzy cień przestachu. Przez pierwsze pół godziny zabawiał się erudycyjnymi ćwiczeniami pamięci, w czym łatwo odgadywało się głośny ciąg dalszy nieustannej, obsesyjnej kontroli sprawności

mózgu. Nieostrożnie poprosiłem o powtórzenie tytułu jakiejś książki. Prawą zdrową ręką sięgnął po bloczek z przyczepionym doń ołówkiem, położył go sobie na kolanach, z trudem nagryzmołił parę liter, potem zerknął na lewą bezwładnie zwisającą rękę i zrezygnowany zakrył bloczek dłonią. Do końca wizyty nie mógł już opanować rozdrażnienia, rozmowa się nie kleiła, wydłużały się pauzy milczenia. Gdy w odruchu ucieczki zagapiłem się na zatokę, odchylił krótko głowę w tym samym kierunku i obrzucił mnie spojrzeniem, w którym była pustka bólu. Chwila słabości okupiona szeptem przy pożegnaniu: *Sto bene, sto sempre meglio*.

7 czerwca

Biedni księża z *Russia Cristiana*, dobrze zorientowani w problematyce sowieckiej, tracą stopniowo cierpliwość wobec siedmiomilowych kroków watykańskiej *Ostpolitik*. Poprzedni numer utworzyli gniewnym komentarzem *Świadectwo powierzchowności*. Przedmiotem ataku są dwaj nowi podróżnicy do Rosji: monsignor Renzulli, wikariusz generalny diecezji Avellino, i boss chrześcijańskich związków zawodowych Villa. Wschodnie pątnikowanie wychowanków pary Montini-Casaroli przyniosło znakomite rezultaty. Monsignor: „Wszystko czego się dowiedziałem i co widziałem pozwala mi bez wahania stwierdzić, że w ZSSR szanowana jest w praktyce wolność sumienia i obrządku, że nie istnieje tam nietolerancja religijna... Za jedną z najdonioślejszych zdobyczy państwa sowieckiego uważam sukcesy na polu kultury. Nie chodzi o wysoki poziom nauczania powszechnego, czy o przepełnione wciąż muzea. Istotny jest fakt, że w kraju Sowietów panuje system, umożliwiający ludziom prawdziwe docenianie walorów kulturalnych i duchowych, oraz korzystanie z nich”. Boss: „Wprost nie do wiary jak w kraju tak rozległym, zamieszkałym przez dziesiątki narodów, został wzorowo rozwiązany problem narodowościowy”.

W świeżym numerze dwumiesięcznik z Bergamo (miejsce urodzenia Jana XXIII) wzywa pątników, żeby zabierali ze sobą przynajmniej do Rosji w celach rozdawnictwa egzemplarze Ewangelii. Apel napomyka o „pewnym żarliwym katoliku”, który grzecznie odmówił zabrania egzemplarza: „Chcę pojechać do Rosji z czystymi rękami”. Redaktorzy *Russia Cristiana* wołają o pomoc do nieba: „Nie wiedzieliśmy, że Ewangelia może zabrudzić ręce!”. Ale i ze strony nieba nie spodziewają się widać rychłej interwencji, bo apel zamykają zdaniem Sołżenicyna: „A nad wszystkim bożkami wisi niebo strachu”.

8 czerwca

Dopiero wieczorem, segregując resztki zaległej poczty, trafiłem na wydany przez rzymską stację PAN tekst odczytu Iwaszkiewicza. Nazywa się to pompatycznie *Les Clefs — La Littérature Polonaise et l'Italie*. Pocziwy profesor Biliński tak we wstępie przedstawia prelegenta: „Zarówno jego potężne dzieło jak jego monumentalna postać przywodzą mi na myśl posąg Jowisza dłuta Fidiasza; bóg wyrzeźbiony był na siedząco i opowiadało się że gdyby się podniósł, przebiłby głową dach świątyni olimpijskiej; w ten oto sposób widzę Jarosława Iwaszkiewicza w naszej skromnej sali, która ma gościć współczesnego Jowisza literatury polskiej”.

W samym tekście coś dla mnie: *Une visite rendue il y a une quinzaine d'années à Benedetto Croce m'a convaincu que ce grand homme, doublé d'un plus grand esprit, ne savait que fort peu de choses sur nous et ne s'intéressait que très superficiellement au pays dont un ressortissant devait épouser sa fille*.

Mówiąc szczerze, byłoby znacznie lepiej gdyby współczesny Jowisz literatury polskiej nie podnosił się w ogóle z miejsca by z hukiem, przebić głową dach świątyni olimpijskiej w skromnej salce na *Vicolo Doria*, ale skoro się stało, i skoro w jego monumentalnej łapie widzę nie boski grom i nie potężny klucz lecz mały wytrych, wolno mi chyba w moim dzienniczku kilka słów zapisać o tej fidiaszowej scenie dla ubogich.

Znam z relacji przebieg „wizyty” Iwaszkiewicza w Neapolu. Było to na krótko przed śmiercią Crocego (umarł w listopadzie 1952 roku). Stary filozof neapolitański, bardzo już schorowany i słaby, nie przyjmował wtedy prawie nikogo (z tego okresu pochodzi jego piękny *Soliloquio*, zaczynający się od słów *Sto morendo*). Gość z Polski tak był natarczywy w swych prośbach, że zrobiono dla niego wyjątek. Wprowadzono go do pokoju Crocego, rozmowa ograniczyła się do wymiany konwencjonalnych uprzejmości, po pięciu minutach osoba towarzysząca Iwaszkiewiczowi dała znak że dosyć. W roku 1953 Iwaszkiewicz, z okazji jednej z licznych w jego życiu dat jubileuszowych, ogłosił (w formie kartek z dziennika) opis tej „wizyty” na łamach pewnego tygodnika warszawskiego: czyste obrzydlistwo, wywatowane plotkami i historyjkami z magła. Niebawem zmieniły się czasy, przestało być w modzie prostackie oblewanie pomyjami liberalizmu europejskiego, mówiono mi że Iwaszkiewicz wstydzi się swego wy czynu. Spotkałem go u Reny Jeleńskiej w Rzymie w „epoce po-

październikowej”: nagłym atakiem amnezji pokrył epizod neapolitański, rozplątywał się w uśmiechach i duserach, zaszczycił mnie nawet pytaniem o „koleżeńskie rady” jako nowowybrany prezes ZLP. Amnezja nie trwała zbyt długo. Nieszczęsny opis „wizyty” u Crocego ukazał się, za zgodą autora, w jakimś francuskim piśmie komunistycznym. W parę tygodni później dostałem od Iwaszkiewicza list z Sycylii. Sumitował się i bił w piersi, błagał o przekazanie jego przeproszeń „gdzie należy”. Jeden szczególnie *passus* tego listu utkwiał mi w pamięci: w okropnych latach „kultu jednostki” był Iwaszkiewicz w tak złym stanie nerwów, że posunął się wręcz do napisania paszkwilu na Artura Rubinsteina; na szczęście przyjaciele w porę wstrzymali rękę gotową postać tekst do druku.

Jowiszu, Jowiszu, zaliż nie roztropniej siedzieć cicho na olimpijskim tronie literatury polskiej?

10 czerwca

W związku z moim wybrzydzeniem się na *Ostatnie tango K.* pisze: „Zrozumiałeś oczywiście, że zarzut pornografii jest nonsensem. Ale to nie o pornografię chodzi. Chodzi raczej o *obecność mitu* w redukcyjnej dzisiejszej pustyni. Brando i Schneider to (być może) zubożenie mitów Nerval, Novalisa, Hölderlina, nawet Bretona, ale to jednak *ostatnia tama* przeciw skinneryzmom i innym nowym wspaniałym światom. Nie (mimo paru niezręczności dydaktycznych), to nie filozofia, to odarty ze skóry schemat *miłości*”.

Kto ma rację? K., który odkrył w filmie „obecność mitu” i „odarty ze skóry schemat miłości”? Czy ja, który pośmiałem się nad Bertoluccim i jego filozofijką za trzy grosze? Niech arbitrem będzie Norman Mailer, autor długiego jak soliter artykułu o *Tangu* w *New York Review of Books*. Film uważa za wydarzenie historyczne, więc nie jest z pewnością uprzedzony. Nie podoba mu się jedno: że sceny kopulacyjne są symulowane a nie rzeczywiste, co w widzu wywołuje takie uczucie jakby obserwował operację „bez odsłonięcia noża chirurgicznego”, lub „*western* bez udziału koni”. Mankament duży, nie na tyle jednak Bogu dzięki poważny, by zamazać właśnie filozofię *Tanga*. Jakąż ona, ta filozofia? „Brando bierze gówno które w nim jest i podrzuca je nam. Jak audytorium to lubi! Przyszło tu, by je gównem obsmarowano. Nie dziwota, że świat przeżywa groźbę pollucji. Istnieje jakieś głębokie, dwudziestowieczne zaburzenie w eliminacji wydzielin. Brando genialnie to chwyta. Raz za razem mówi

w tym filmie, że jedyna droga do miłości prowadzi przez wyskoczenie z gówna, które jest w nas samych”. Wrażliwe ucho dosłysz również w *Tangu* precyzyjny *message* przewodni, zwińczenie motywów kopulacyjnych i koprofaliicznych: „Wyrolujmy Pana Boga”.

Nie tylko trudno się w tym dopatrzeć „obecności mitu” i „odartego ze skóry schematu miłości”, ale rzekoma „ostatnia tama przeciw nowym wspaniałym światom” okazuje się pseudofilozoficznym ściekiem, wiodącym prosto w ich kierunku.

Co w niczym nie narusza faktu, że włoski zakaz wyświetlania *Tanga* wolno nazwać pomnikiem hipokryzji. Bez żadnych przeszkód dopuszcza się tu dziesiątki szmir produkowanych w Hong-Kongu, których wyłączną racją bytu jest pochwała gwałtu. Działanie środków masowego przekazu najcelniej trafia w nerw gwałtu. Czytam w dzisiejszej gazecie, że *The Godfather* obiegił świat z dość elokwentnym wynikiem: dwadzieścia siedem wypadków dekapitacji koni.

18 czerwca

Talent Mary McCarthy rozkwita, ilekroć jej twórczość używają tematy amerykańskie; wędnie w zetknięciu z innymi sprawami. Wystarczy porównać partie amerykańskie i francuskie w *Birds of America*; albo inteligentną książeczkę o Amerykanach w południowym Wietnamie i mizerny reportażyk z Hanoi. Było do przewidzenia, że drapieżnica wysunie swoje pazurki ku Watergate. Wczorajszy pierwszy odcinek wiele obiecuje. Zwłaszcza zakończenie, w którym Jeb Magruder występuje jako klasyczny okaz *moral idiocy*. Świetna, zdumiewająco bezbłędna definicja! Lecz należałoby tak rozszerzyć jej pakowność, by zmieściła cały nixonowski *establishment*, łącznie z „machiavellicznym” księciem i „metternichowskim” doradcą księcia.

Dragonea, 1 lipca

Napić się ciszy, pić ją długimi haustami, obmyć się nią dokładnie, jeszcze i jeszcze, dniem i nocą. Tym jest Dragonea po Neapolu. Susza trwa od końca kwietnia, ani kropli deszczu, tylko po zmierzchu słychać szybkie i ukradkowe posikiwanie wężami na polach, a przecież wschód słońca zapala dolinę pełną soczystej, ciemnej zieleni.

Dziś ciszę przzerwano, wsią przeciągnęła procesja: z Dragonei do Padovani, potem w górę do Jaconti i znów na dragonejski

ryncek. Orkiestra strażacka jak z obrazu Waliszewskiego, posąg Madonny ze wstążkami niesiony przez zmieniających się mężczyzn, dwa sznury po obu stronach szosy: czarno ubranych kobiet i biało ubranych dzieci, ryk megafonów z kościoła po tamtej stronie wąwozu, owcze kłaczki dymu na niebie po wybuchach fajferwerków. Ziemię wyprażoną zmocz nam, Panie. Wieczorem sztuczny pożar zamku w Cava, widoczny w promieniu dziesiątków kilometrów, o ileż ładniejszy od podobnych imprez w ciasnych i dusznych murach Neapolu, blisko godzinna ulewa barwnych wodotrysków świetlnych na rozległym, aksamitnym tle.

Wczoraj, wracając z zakupów, zboczyłem do *Santuario di San Vincenzo*. W skrzydle dobudowanym do jedenastowiecznego kościoła rząd okien o uchylonych żaluzjach, za nimi (myślałem) milczenie zakonników w celach, tym głuchsze im bardziej przysypywało je piłowanie cykad. Przypadkowy przechodzień wytrącił mnie ze złudzenia: klasztor jest opuszczony, opactwo w Cava oddało w dzierżawę teren przyklasztorny chłopu z sąsiedniego gospodarstwa.

3 lipca

Powieść umarła, to pewne. Na co? Na atrofię *Lust zu fabulieren*. Skąd ta atrofia? Z niemożności widzenia losów ludzkich w jedynym kontekście, który pobudza wyobraźnię narratora: rozwijającej się mitycznie historii. Wątek się rwie, miga w strzępach, wypryska ze skotłowanego strumienia i natychmiast tonie, umyka formie, drwi z potrzeby oddechu w opowiadaniu, wpędza w chorobę zadyszki, jak w filmie bez montażu lub bełkocie pijaka. Z bełkotem graniczą coraz częściej rozmowy, do bełkotu wdraża telewizja, bełkot serwują gazety. Cokolwiek żalobni luminarze krytyki literackiej wykoncypują nad powieścią na marach, sprowadzi się w ostatecznej instancji do zaniku smaku a więc i umiejętności „fabulacji”. Nowoczesny prozaik, zziąjany i z rozbieganym nieprzytomnie spojrzeniem, usiłuje się ratować oczami w śłup: kontempluje w jałowym otępieniu otaczające go przedmioty, świdruje zmatowiałym wzrokiem własny pępek. Rezultatem są utwory, które w niedalekiej przyszłości będzie się zapewne drukować na rolkach papieru higienicznego, gdyż ich zdolność przykucia uwagi czytelnika nie przekracza paru minut spędzanych codziennie w miejscu przymusowego odosobnienia.

Powieść umarła, ale co jakiś czas cudownie zmartwychwstaje. Pisarz kolumbijski Gabriel Garcia Marquez, nigdy o nim dotąd nie słyszałem. O *Stu latach samotności*, pochłoniętych w ciągu

doby, potrafię na gorąco zanotować tylko tyle, ile po słowie „koniec” przysługuje każdej żywej powieści: nie ma i nie powinno być zasadniczej różnicy między radością opowiadającego i radością czytającego. Niezwykły Kolumbijczyk jest w gruncie rzeczy bardzo zwykły, to raczej jego współczesnym kolegom po piórze zabrakło wiary w istnienie *dziejów* człowieka (na w pół prawdziwych, na w pół bajecznych).

6 lipca

W *Survey* dialog Urbana z Ota Szikiem. Urban powołuje się na Silonego: „Komunizm nie przekonuje nas jako filozofia życiowa, ponieważ nie ma nam nic do powiedzenia o problemie śmierci”. W 68 roku Urban poprosił Lukacsa o skomentowanie tej refleksji. Marksistowski mędrzec z Budapesztu wzruszył ramionami: „Komunizm nie szuka wyjaśnienia dla problemu Siloniego, uważając go za nie-problem. Religia stanowi zastępczą kompensację życia poronionego: *Śmierć Iwana Iljicza* Tołstoja jest ilustracją tezy, że sekret dobrego życia tkwi w wrażliwej, celowej i racjonalnej egzystencji”. Szik nie kwapi się zbyt do podzyrowania opinii Lukacsa: „Trzeba przyznać, że odwrotowi religii towarzyszy moralna próżnia, której chwilowo nie zdołaliśmy wypełnić”.

Co mnie tu interesuje, to nie pogląd komunizmu na „poronione” i „dobre” życie czy na „nie-problem” śmierci, zważywszy że „filozofia” komunizmu jest dziś czymś zgoła nieistniejącym, zwłaszcza po zgonie Lukacsa (którego Domenach słusznie nazwał w nekrologu „ostatnim filozofem komunistycznym biorącym siebie i swoją myśl na serio”). Ale, u Boga, Lukacs uchodził a może uchodzi jeszcze za wielkiego, subtelnego znawcę literatury! I takie powierzchowne bałamuctwo o noweli Tołstoja!

7 lipca

„Gdybanie” jest dość smutnym nałogiem pokonanych, posiada jednak tę zaletę, że „po gdybaniu ich poznać je”. Stykałem się wielokrotnie z przypuszczeniem, że inwazję Czechosłowacji zahamowałaby wyraźna deklaracja Dubczeka o woli oporu zbrojnego w obronie „nowego kursu”, do upadłego jakoby nalegał na to Kriegel. Dżilasowi zawdzięczam informację o jedynej radzie, jaką Tito dał Dubczekowi w Pradze: ogłosił powszechną mobilizację; gdy Dubczek radę odrzucił, Tito uznał swoją wizytę za bezprzedmiotową a dalszy bieg wypadków za wiadomy z góry. Szik, w dia-

logu z Urbanem, jest innego zdanie: żadnego pomachiwania bronią, należało po prostu zwołać XIV kongres partii w kwietniu 1968 roku, kiedy Rosjanie wciąż głowili się co robić i musieliby skapitulować wobec faktu dokonanej pełnej legalizacji „praskiej wiosny”. Dlaczego Moskwa dałaby za wygraną po kongresie, a nie dała za wygraną przed nim, pozostanie tajemnicą „ojca czeskiej reformy gospodarczej”. Imaginacja Szika nie sięga do pojęcia „kongresu kontrrewolucyjnego”? Z tego „gdybania”, w którym mało widać wysiłku przeniknięcia mentalności „starszego brata”, chleba nie będzie.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

KONKURS INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie ogłasza Konkurs na artykuł-esej na temat:

JÓZEF PIŁSUDSKI

na tle walki o wolność i budowę niepodległej Polski,
w oczach młodych pokoleń Polaków i Polek.

Konkurs otwarty dla kandydatów w wieku 18 do 30 lat.

Prace nigdzie nie drukowane, pomieszczone w ramach 20 do 30 stron maszynopisu małego wymiaru („quarto”) z podwójnym odstępem; winny być ujęte niekoniecznie w formie traktatu historycznego, ale wyrażać ocenę autora, z podkreśleniem okresów z życia Marszałka Piłsudskiego, które autor pragnie uwypuklić.

Do pracy, oznaczonej godłem, należy załączyć zaklejoną kopertę z imieniem i nazwiskiem autora, adresem i krótką notatką biograficzną (rok i miejsce urodzenia, studia lub zawód).

Termin nadsyłania prac, na adres:

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, 238 KING ST., LONDON, W.6.
upływa 30 kwietnia 1974 roku.

Nagrody: I-sza — £. 100.00; II-ga — £. 60.00; III-cia — £. 45.00;
IV-ta — £. 15.00; V-ta — £. 15.00; VI-ta — £. 15.00.

Bibliografię związaną z epoką Józefa Piłsudskiego posiadają Instytuty Józefa Piłsudskiego w Londynie i w Nowym Jorku (J. Piłsudski Institute, 381, Park Avenue South, New York, N.Y., 10016., U.S.A.).

Sikorski

Za naszego najbardziej zasłużonego i pożytecznego krytyka w okresie międzywojennym uważam Boya. „Odbrązowienie”, choćby tak częściowe i tak fragmentaryczne jak te, które Boy usiłował przeprowadzić w stosunku do niektórych przynajmniej z naszych uznanych wielkości, wydaje mi się operacją absolutnie konieczną dla higieny naszej literatury i naszej krytyki, która choruje na „brązowienie” à outrance, i w stosunku do Roman-tyków, i tym bardziej w stosunku do pisarzy czasowo nam bliższych. Z głęboką radością powitałem nieśmiałe próby Stanisława Balińskiego, który odważył się uchylić rąbka konspiracji milczenia i zakłamania dookoła przynajmniej jednego Skamandryty — mianowicie Lechonia — dla którego powszechnie znanej słabości oraz śmierci samobójczej można mieć współczucie, ale który przecież nigdy do czołowej klasy pisarskiej nie należał. Kult kapliczki i kadzenia „uznanym” wielkościom przybiera u nas tak nieprawdopodobne rozmiary, iż niedawno redakcja jednego z naszych pism literackich odrzuciła mi artykuł, bo miał stanowić *crimen lesae majestatis* w stosunku do ... Picasso i Shaw'a! Gdybym przynajmniej tę dbałość o renomę Picasso i Shawa mógł przypisać złośliwości pod moim adresem, to by to było jeszcze pół biedy! Ale ani śladu osobistej animozji w stosunku do mnie w tym odrzuceniu artykułu o Picasso nie było; po prostu tak, jak byli tacy którzy uważali, czy nadal uważają, iż każda krytyka de Gaulle'a, albo nawet Brandta, jest „grzechem”, tak samo mamy bez końca redaktorów i krytyków, którzy uważają za „zbrodnię” krytykę każdego modnego pisarza, Prousta wczoraj, Shawa, albo Hemingwaya dzisiaj, i te same „tabu” odnoszą także do malarzy, czy rysowników: są wśród nas tacy, którym się

wydaje, że krytyka np. Topolskiego jest stoczeniem się na niziny *moralne*.

Jeżeli tak jest z literaturą czy sztuką, to o ileż trudniej pisać o naszych politykach, zwłaszcza tych, którzy byli także wodzami wojskowymi. „Endecy” uważali za zniewagę brak zainteresowania polityką Bolesława Chrobrego; Stanisław Mackiewicz oburzał się na każdą krytykę Jagiellonów. W *Mysli Polskiej* wyczytałem zbolwały artykuł p. Jędrzeja Giertycha, który omal rozdziera szaty z powodu zapomnienia, któremu uległ podkanclerzy koronny, biskup Olszowski. Obok kultu marszałka Piłsudskiego, w każdym razie zrozumiałego, bo to on odniósł nasze pierwsze zwycięstwo nad barbarią i tyranją Wschodu od czasów Sobieskiego, ustanowiliśmy kult Dmowskiego, Witosa, Korfantego, Becka, Sikorskiego, Bora-Komorowskiego, nie licząc oczywiście prób agentów rosyjskich stworzenia kultu Gomułki, które, na szczęście, nigdy się nie udały. Panegiryk, to tradycja baroku; a jesteśmy narodem do szpiku kości barokowym. Panegiryki mają to do siebie, że są nietrwałe; potężnych oracyj pogrzebowych na cześć królów i wodzów XVII wieku nikt dzisiaj nie czyta, a jeżeli, to śmiejąc się do rozpuku; nawet panegiryczne tablice na nagrobkach różnych dygnitarzy z XVII wieku, w tym również francuskich — choć Francuzi byli pod tym względem zawsze dużo bardziej opanowani niż my — otóż te esy-floresy na nagrobkach barokowych zawsze wydają mi się ośmieszaniem zmarłych, których chciało się uwiecznić. Do tego dochodzi ubóstwo naszego języka; by kogoś „uczcić” mamy właściwie tylko jeden przymiotnik „wielki”, którego nadużywamy bez pamięci; „wielkim” można nazwać tylko Cezara i Napoleona, może Aleksandra, i właściwie koniec, poza tym można tylko mówić — jak to czynią Francuzi, o *destin hors série*, i w takim razie można — i trzeba — do tych *destins hors série* zaliczyć w naszym wieku Lenina, Stalina, Hitlera, może Churchilla i może de Gaulle’a, a u nas tylko Piłsudskiego. Znałem osobiście Piłsudskiego, Witosa, Korfantego, Sikorskiego, Andersa, Hallera, Askenazego, Becka, Skrzyńskiego i wielu innych; poza Piłsudskim, który był z całą pewnością indywidualnością *hors série*, który robił wyjątkowe i niezapomniane wrażenie, wszyscy inni nie wychodzili poza ramy, które są wymierne: inteligencja, urok osobisty, bystrość, charakter, silna wola, wykształcenie, ogłada, zasady, prawość; wszystkie wymienione przeze mnie polskie osobistości miały niektóre z tych walorów; ale to wszystko nie robiło ich „wielkimi”, czy *hors série*, nie uzasadniało i nie uzasadnia żadnego kultu jednostki. Niestety ten kult, i skłonność do tego kultu są u nas fantastycznie rozpowszechnione. Jesteśmy narodem o usposobieniu kobiecym; kobiety mają zawsze dużo bardziej jaskrawy stosunek do ludzi niż do

poglądów, czy problemów, czy programów; kobiety kierują się sentymentem, a nie logiką. Naszą klasą rządzącą jest inteligencja, która w olbrzymiej większości pracowała w kadrach oficerskich i urzędniczych; lojalność wobec szefów, a także — w wielu wypadkach — mentalność adiutancka, czy sekretarska, przesłaniała tej inteligencji wszystkie inne względy. Byłem zdziwiony, gdy po 30 latach dawni urzędnicy Koca, zwanego „Szlachetnym” — zresztą ludzie wybitni, rozumni i zasłużeni — wspominali wobec mnie z łezką swego dawnego przełożonego, na pewno bardzo porządnego człowieka, ale który przecież był człowiekiem raczej ograniczonym i mało wybitnym, w każdym razie dużo mniej, niż trzej czołowi „pułkownicy”, to znaczy Matuszewski, Beck i Miedziński — w tym właśnie porządku. Byłem zdziwiony, gdy czytałem wspomnienia o Retingerze; był to jakby Zaćwilichowski przy Sikorskim, a przecież Zaćwilichowski, o którym było tak głośno za życia, jest dzisiaj całkowicie zapomniany, bo zawsze był tylko urzędnikiem do zleceń, a nie samodzielnym politykiem czy intelektem. No, ale tak jest. O Sikorskim trudno obiektywnie i chłodno pisać, bo zginął tragicznie, ale — choć katastrofa samolotu, to nie Elstera — to jednak śmierć taka jest lepsza od zgonu w łóżku po długim życiu, jak np. Dąbrowskiego, do którego Sikorski może najwięcej przedstawia analogii.

Zacznę od cytowania o Sikorskim opinii różnych osób, które go bliżej znały. Moimi kolegami na Uniwersytecie Jagiellońskim, ledwo cokolwiek ode mnie starszymi, byli Dr Tadeusz Bielecki i Dr Adam Ciołkosz. Chociaż wpływ ich obu na liczne rzesze moich kolegów był już na ławie uniwersyteckiej znaczny, jakoś tym wpływom nie uległem, ani też wpływowi p. St. Sopickiego, który też stał na czele jednej z organizacji studenckich na Uniwersytecie Jagiellońskim. Żądny wiedzy, pragnący nauki, stałem się wyznawcą mądrości i nauk W. L. Jaworskiego, Stanisława Estreichera, i Adama Krzyżanowskiego, potem także redaktora *Czasu*, Antoniego de Beaupré, oraz prof. Kota, który był doskonałym profesorem i pedagogiem, i z którym też utrzymywałem zażyłe stosunki. Innym jeszcze mistrzem mojej młodości był Konstanty Srokowski. Otóż to byli wszystko dawni członkowie i liderzy NKN’u, i z tych czasów wszyscy mieli bardzo ciepły osobisty stosunek do gen. Sikorskiego, z którym wiązali wielkie nadzieje. Jako minister wojny w gabinecie Wł. Grabskiego, Sikorski dość często przyjeżdżał do Krakowa, i tam zostałem mu przedstawiony w mieszkaniu W. L. Jaworskiego, który w słowach najgorętszych i najbardziej pochlebnych rekomendował mnie Sikorskiemu, jako „naszą (*Czasu*) nadzieję”. Później spotykałem Si-

korskiego w redakcji *Czasu*, której składał wizyty, tak samo zresztą, jak i jego rywal w sercach Stańczyków — Aleksander Skrzyński. Sikorski, kiedy go poznał, miał 44 lata, wyglądał na mniej, był zdecydowanie bardzo przystojnym człowiekiem, o bardzo polskiej urodzie; gdy chciał, potrafił być i bardzo miły i przyjacielski, i serdeczny, nic wówczas nie miał z nadętości i podejrzliwości, które później były u niego legatem długiego oddalenia od rządów i bezczynności: wówczas — w roku 1924 — wszystko zdawało mu się uśmiechać, w każdym chciał widzieć zwolennika, i popiecznika, i admiratora, i robił wrażenie dostojnika, który chętnie zapewni karierę wszystkim, których pozna. Jedyna rzecz, która mnie z okazji tych pierwszych spotkań z Sikorskim trochę zraziła, to był jego galicyjski zwyczaj tytułowania mnie — młokosa 20-letniego! — per „Panie Redaktorze”. Wydawało mi się to i śmieszne, i w złym stylu, i zresztą po dziś dzień staram się mówić wszystkim tylko „per Pan”, a chorobliwie nie znoszę, by mnie tytułowano „Panie Redaktorze”. Moje stosunki z Sikorskim nabrały pewnego osobistego zabarwienia gdzieś w październiku 1924 roku, gdy — dwoma artykułami pod tytułem „Moje wrażenia z odczytów Marszałka Piłsudskiego” (oczywiście w *Czasie*) odniósł największy sukces całego mego życia, Drugi, i ostatni, z tych dwóch artykułów kończył się zdaniem (cytuję z pamięci, ale na pewno się nie mylę): „Pierwsze czterolecie naszej niepodległości pozostanie na zawsze cokołem jego (Piłsudskiego) pomnika. Tego cokołu nie należy szpecić dobudówkami, które by nie miały historycznej miary minionej przeszłości”.

W dniu, w którym ukazał się ten artykuł spotkałem prof. Kota na A-B Rynku krakowskiego; schwycił mnie za ramię, mówiąc: „Panie Wacławie, nigdy nie przypuszczałem, że Pan jest w stanie coś tak świetnego napisać. Rozmawiałem dzisiaj telefonicznie z Władkiem (Sikorskim), on też Pana artykuł przeczytał, i też był zachwycony zakończeniem, kazał mi Panu pogratulować!” Potem sam Sikorski, znowu w Krakowie, mówił mi: „Doskonała formułka, cokolwiek wspaniałe, nie trzeba go szpecić...”. Tak mnie te komplementy ujęły, że zaraz po przewrocie majowym, gdy byłem po raz pierwszy w Wilnie u St. Mackiewicza, i gdy ten — z właściwym mu liberalizmem — zaproponował mi z miejsca druk wstępnego artykułu, wyrznąłem artykuł pt. „Piłsudski i Sikorski”, jako redakcyjny, a więc niepodpisany, że Piłsudski i Sikorski powinni współpracować tak, jak po śmierci Narutowicza, i wówczas wszystko będzie dobrze. Mackiewicz nie bardzo się z tym zgadzał, ale nie zmienił ani przecinka. Był sam zdziwiony, gdy nazajutrz Sławek do niego zadzwonił, pytając się, co ten artykuł ma znaczyć? Mackiewicz jakoś to zagadał, ale zro-

zumieiliśmy z miejsca, że tego dwuumwiratu nie będzie. Przypomina mi to, co mi kiedyś opowiadał Miedziński o swych rozmowach z Radkiem w Moskwie w 1932 roku. Radek miał mu powiedzieć: „W 1925 roku byłem zdania, że ZSSR uratować może tylko współpraca Stalina z Trockim. Stalin wysłał mnie na dwa lata na Syberię, i wówczas zrozumiałem, że Stalin sam da rady!”

Latem 1925 roku Sikorski zaprosił mnie osobiście, w charakterze korespondenta *Czasu*, na wielkie manewry, które urządzał, jako minister spraw wojskowych, naprzód na Pomorzu, potem na Wołyniu. Pamiętam dotąd, jak na Pomorzu osobiście polecił mnie względem płk. Roweckiego, szefa swej kwatery prasowej, późniejszego generała Grota. Był to wówczas (później go nigdy nie spotkałem) bardzo przystojny, miły i inteligentny brunet, doskonale wychowany, bardzo taktowny, wyrobiony, sympatyczny. Natomiast gen. Sikorski, który wówczas chodził w bardzo żółtych butach po kolana, i z którym parę razy po kilka słów zamieniłem na jakichś zebraniach i przyjęciach — m.in. u ówczesnego wojewody pomorskiego Raczkiewicza — wydał mi się dużo bardziej uroczysty i oficjalny, niż w rozmowach w Krakowie na terenie prywatnym, nie urzędowym. Tu widać było, jak bardzo uważał, by zawsze przechodzić pierwszy, by widzieć same zniżone głowy. I to samo wrażenie miałem później w Londynie. Gdy Sikorski był ze mną sam na sam w pokoiku w Strattonie czy w BBC, gdy byłem speakerem dla nagrywania jego przemówień radiowych do kraju, gdy ocierał pot z czoła, bo gadanie przez radio przez pół godziny lub nawet 40 minut (zawsze mówił za długo) to wielki wysiłek fizyczny, był on zawsze sympatyczny i przyjazny, choć stale zbyt wrażliwy na pochlebstwa i komplementy; natomiast gdy tylko było więcej osób, stawał się marmurowy, nadęty i często nienaturalny. Ciekawe, że tę samą słabość miał Aleksander Skrzyński, który też był dużo przyjemniejszy i dużo inteligentniejszy w rozmowie w cztery oczy, niż gdy się rozmawiało w większym gronie. Być może u obu pewną rolę grała pewna nieśmiałość; tak przynajmniej mówili ci, co Skrzyńskiego blisko znali. Nie miałem tego wrażenia: Skrzyński wydawał mi się zakochany w sobie, i właściwie wydawał się w najlepszym humorze, gdy mógł sam monologować, widząc admiraację i podziw w oczach jednego słuchacza. Sikorski był bardziej człowiekiem władzy od Skrzyńskiego, był od niego człowiekiem silniejszym, miał większe ambicje, natomiast Skrzyński był na pewno bardziej wykształcony, bardziej czytany, lepiej znający zagranicę, i mający mniej złudzeń co do sił i możliwości Polski. Sikorski z lat 1924-25 był psychicznie dość podobny do Skrzyńskiego; na obu szkoła galicyjska i austriacka tradycja liberalna

i parlamentarna wywarły duży wpływ, i to ich obu silnie dzieliło od ludzi z zaboru rosyjskiego, którzy stanowili gros Piłsudczyków oraz Endecji. Późniejszy Sikorski z lat 2-jej wojny był zupełnie innym człowiekiem od Sikorskiego lat przedmajowych. Jakim człowiekiem byłby w latach 1939-45 Skrzyński, gdyby nie jego śmierć w wypadku samochodowym w roku 1931? Drugim Edwardem Raczyńskim, czy drugim Augustem Zaleskim? Myślę, że raczej Augustem Zaleskim, choć się obaj tak nie lubili. Bo dla Skrzyńskiego, po jego premierostwie, nigdy nie byłoby przy Sikorskim miejsca. Zapamiętałem moją rozmowę z Ignacym Rosnerem o Sikorskim i Skrzyńskim. Było to na początku marca 1926 roku w Warszawie, w mieszkaniu Rosnera, który był szwagrem St. Estreichera, i stąd go znałem. Rosner był już wówczas ciężko chory na serce, pamiętam że przysnął mnie leżąc na kanapie, wyglądał na człowieka umierającego. Ponieważ przyjeżdżałem z Krakowa, zaczął rozmowę od słów: „Cóż, czy Staś (Estreicher) wciąż tak wierzy w Sikorskiego?” Odpowiedziałem, że niemiennie, co było świętą prawdą, i Rosner wcale się nie zdziwił, ani nie oburzył, choć sam stawiał na Skrzyńskiego. Na to Ignacy Rosner: „Tak, Sikorski to bardzo zdolny człowiek, tylko po co on się tak spieszył?” — i w oczach tego rozumnego, konającego człowieka, pojawił się wyraz żalu, „przecież on jest taki młody, tyle ma lat przed sobą, po Piłsudskim może dojść do władzy, ale póki Piłsudski żyje, to jest niemożliwe, Skrzyński to rozumie, on stara się o kompromis z Piłsudskim; czy mu się to uda, nie wiem”. Potem rozmowa zeszała na gadu-gadu, Rosner widziałem potem już tylko na jego pogrzebie, na który przyszedł też Skrzyński, jako premier; był to ładny gest z jego strony.

Z „Sikorszczyków” chyba mu najbliższymi — a w każdym razie najstarszymi — byli Kukiel i Kot; mam wrażenie, że obaj pochodzili z tych samych okolic co Sikorski — widły Wisły i Sanu — i że go poznali już na ławie gimnazjalnej, choć był od nich trochę starszy. Poza tym z „Sikorszczyków” znałem od wieków Adama Romera oraz Retingera, ale nigdy z nimi nie miałem *d'atomes crochus*. Z Kotem łączyły mnie zawsze bardzo dobre, przyjazne, osobiste stosunki, choć politycznie różniłem się z nim we wszystkim, a już zwłaszcza w ocenie ludzi, i nigdy się nie żenowałem, by mu to powiedzieć; i dobrze o Kocie świadczy, że nigdy mi opinii, nawet bardzo ostrych, o jego najbliższych współpracownikach, nie miał za złe. Sam zresztą Kot był, że tak powiem, człowiekiem negatywnym, to znaczy dużo bardziej się interesował ludźmi, których zwalczał, niż tymi, których „popierał”. Spotkałem przypadkowo Kota z żoną, która była prostą kobieciną, ale bardzo rozsądną, w jakiejś kawiarence angielskiej w Londynie już po Jałcie: Kot, jak zawsze, przywitał się ze mną

bardzo serdecznie. „Cóż pan myśli o dwóch panach A?” zawołał na powitanie. „Któż to taki?” odparłem, szczerze zdziwiony. „No jakto, rzekł Kot, Arciszewski i Anders, którzy gubią Polskę”. „Myślałem, że to Stalin gubi Polskę”, odparłem. „A, co tam Stalin, on dobrze wie, że Polską nie można rządzić bez Stronnictwa Ludowego, więc się uspokoi” — ciągnął Kot — „ale gdyby Mikołajczyk został u władzy, tobyśmy uratowali Lwów, a tak obaj panowie A. go zaprzepaścili!”. Na to wtrąciła się pani Kotowa: „Stachu, co ty wygadujesz, przecie ci Moskale to zbóje, a ten Stalin, to łotr nad łotry, który nigdy żadnych obietnic nie dotrzyma...” Kot bardzo miękko się bronił, a ja oczywiście nie mieszałem się do tej sprzeczki małżeńskiej, w której naturalnie całą duszą byłem po stronie pani Kotowej. Kot zresztą nigdy nie był w sercu moskalofilem, ani przed wojną, ani w czasie wojny, ani po wojnie, tylko zawsze wierzył, że można Stalina omotać, że Rosjanie to słabizna, i że on, Kot, jest dużo sprytniejszy i przebieglejszy od Stalina. W gruncie rzeczy, polityka zagraniczna nigdy Kota nie interesowała, interesowały go tylko rozgrywki personalne, właściwie w nich się tylko wyżywał, przy czym — moim zdaniem — nie był nienawistnikiem, tylko lubił rozgrywki partyjne, tak jak inni mają pasję do rozgrywania wielkiego szlema. Myślę, że Kukiel był naprawdę osobiście oddany Sikorskiemu, wierzył w jego talenty zarówno polityczne, jak i wojskowe, i widział w nim jakby połączenie księcia Józefa i Kościuszki. Ale — może z mojej winy — nigdy nie zdołałem z gen. Kukiela wyciągnąć choćby jednej ciekawej, oryginalnej informacji o Sikorskim; w rozmowach ze mną robił z niego zawsze omal „świętka”, a w każdym razie *une image d'Épinal*. Zresztą takie same nastawienie — jakże częste u nas — widać w książce gen. Kukiela o Sikorskim, i w jego licznych o nim artykułach. Gen. Kukiel podkreśla nieraz gorący patriotyzm gen. Sikorskiego, który przecież u czołowych oficerów polskich okresu Niepodległości nie może być chyba w ogóle kwestionowany, a który mnie się wydaje u każdego premiera Polski Niepodległej, u każdego polskiego naczelnego wodza czymś tak naturalnym, że nie wymagającym żadnej wzmianki. Uważam, że Rydz był katastrofą, jako generalny inspektor, jako naczelnny wódz, i jako „druga osoba w państwie”, ale ani przez chwilę nie będę kwestionował jego patriotyzmu, ani uczciwości, uważam, że to się samo przez się rozumie u każdego, kto zajmuje tak wysokie szczeble. Ponadto wydaje mi się, że Kukiel dotąd jest naprawdę szczerze i głęboko osobiście przywiązany do Sikorskiego, jako do najlepszego przyjaciela całego życia, i to oczywiście utrudnia mu krytyczną analizę jego charakteru. Inaczej Kot, w moim przekonaniu był on osobiście o wiele mniej przywiązany do Sikorskiego niż Kukiel, ale uważał, że innej karty

nie posiada, więc tej musi się trzymać. Z wielu uwag Kota, które mi po kilka razy powtarzał, wywnioskowałem, że w głębi duszy nie czuł się bardzo bliski ani Witosa, ani Rataja, ani Mikołajczyka, że wolał zdecydowanie Sikorskiego od nich — specjalnie od Mikołajczyka. Parę razy zabawiłem się, mówiąc Kotowi (a znając jego słabość do plotek), że krążą pogłoski, iż jego stosunki z Mikołajczykiem są niedobre. Kot zawsze brał te plotki na serio, nigdy im nie zaprzeczał, tylko mówił: „To bardzo źle, że takie plotki krążą, powinien Pan im energicznie zaprzeczać, bo takie plotki szkodzą Stronnictwu Ludowemu, a służą tylko Sanacji i Endecji”. Kot z reguły popierał swych uczniów uniwersyteckich; z ludzi mojego pokolenia był naprawdę serdecznie przywiązany do Karola Estreichera oraz do Ksawerego Pruszyńskiego, a zapewne i do innych swych b. uczniów. Pragnę skorzystać z okazji, by złożyć hołd zasługom Kota, jako profesora i pedagoga; co prawda uważam, że problem Reformacji w Polsce przedstawił zupełnie błędnie — gdyż nie była to tylko kwestia zaharapczenia dóbr kościelnych — ale problemów teologicznych Kot nigdy nie znał i nigdy się nimi nie interesował, z czego się po cichu podśmiewali ludzie tak różni, ale tak głęboko interesujący się metafizyką, jak Władysław Leopold Jaworski i Henryk Tennenbaum; ale jako pedagog, jako profesor, jako opiekun i protektor swych uczniów i w ogóle studenterii, Kot był niezrównany; można go postawić za wzór wszystkim profesorom uniwersyteckim, i to nie tylko polskim, ale na całym świecie. Pozbawienie Kota katedry — tak samo, jak i Heydla — było nieopisaną krzywdą dla całej uczącej się młodzieży. A że Kot się na polityka, i ministra, i ambasadora, nie nadawał, to też fakt, i tak samo niezbity.

Adam Romer i Retinger — to bardzo mało w porównaniu z Kukiem i Kotem; zresztą i jeden i drugi nie posiadali talentu oryginalnego ujęcia czy ciekawej rozmowy. Jakoś nie mogę sobie przypomnieć nic ciekawego, co by Karol Estreicher czy Ksawery Pruszyński kiedykolwiek opowiadali mi o Sikorskim, a obaj mieli żywy wzrok i dar barwnego opowiadania. I obaj byli bardzo gadatliwi, więc musieli chyba robić jakieś uwagi na ten temat. Ale Ksawery był tak szalonym egocentrystą, że właściwie zawsze tylko mówił o sobie, a Karolek Estreicher kochał Sikorskiego ze względu na pamięć ojca, ale sam zawsze interesował się dużo żywiej historią, rewindykacją zabytków, Krakowem, życiem umysłowym, niż polityką. Miałem wrażenie, że Sikorski mu nie imponował intelektem, wykształceniem, ogólną kulturą, ale Estreicher był zawsze wobec niego lojalny, i nigdy nie chciał go krytykować, zaś panegiryzm nie był w jego stylu, jak i zresztą nie był też w stylu Ksawerego Pruszyńskiego: obaj byli zanadto patrycjuszami, by bawić się w pochlebstwa czy lokajstwo.

Zapomniałem, że przecież „Sikorszczykiem” był też Stanisław Stroński, którego znałem tak dobrze w Londynie, i do którego miałem zawsze bardzo dużą i żywą sympatię, i jako do autentycznego frankofila, i jako do człowieka bardzo uroczonego, dobrego i uczciwego. Stroński był w latach 1923-25 anty-Sikorszczykiem; pamiętam jeszcze dzisiaj, jak pisał z przekąsem w swojej „Rzeczpospolitej” w roku 1924 (zanim ją kupił Korfanty od Paderewskiego), że gabinet Grabski-Sikorski-Skrzyński „diabło” przypomina gabinet Sikorskiego po zamordowaniu Narutowicza. Ale to się we Froncie Morges wyrównało, i Stroński był w Paryżu i w Londynie szalenie pro-Sikorski. Miałem jednak wrażenie, że z czasem Stroński w dużej mierze rozczarował się do Sikorskiego — i to na długo przed usunięciem go — by zrobić miejsce dla Kota. Stroński był bardzo dobrym, bardzo kulturalnym, wykształconym człowiekiem, był autentycznym liberałem, przestał być moskalofilem; gdy się go pytał, dlaczego odmówił ambasad w Moskwie po Kocie (poszedł na tę piekielną placówkę Tadeusz Romer), Stroński odpowiedział mi dosłownie: „Panie Wacławie, cóż można w Moskwie zdziałać, przecież ci Moskale, to skończone dranie, możemy od nich coś uratować tylko via nacisk Anglii i Ameryki!”. Ale Stroński był *de facto* tylko dziennikarzem; to nie był polityk, to nie był dyplomata, a ministerstwo Informacji traktował jako redakcję, a nie jako urząd. Stroński nie nadawał się na partyjnika, ani na adlatusa, i choć bardzo dbał o to, by być lojalny dla Sikorskiego, *le cœur n'y était pas*; Stroński wyraźnie uważał, że ma za mało wpływu, że Sikorski się go za mało radzi, irytował go Kot, irytował go Mikołajczyk, irytował go Retinger, i właściwie pod koniec swej kariery ministerialnej czuł się dużo bliższy Edwarda Raczynskiego, niż Sikorskiego. Gdy go wylano z rządu, poszedłem mu złożyć kondolencje. „To pan uważa, że to tak wielkie szczęście być kolegą Stańczyka?” odparł Stroński, który nigdy nie mógł się oprzeć okazji zrobienia dobrego dowcipu. Do końca życia Stroński był bardzo ostrożny w formowaniu zdania o Sikorskim, ale zachodziła duża różnica między jego a Kukiela stosunkiem do Sikorskiego po jego śmierci. Wydawało mi się, że stosunek Strońskiego do Piłsudskiego też bardzo ewoluował; pamiętam, jak kiedyś gwarzyliśmy we dwójkę o Piłsudskim, i Stroński, który lubił ze mną mówić po francusku, zakończył rozmowę słowami: *Il (Piłsudski) avait quelque chose dans le ventre!* Stroński był człowiekiem bardzo zachodnim; w latach dwudziestych był bardzo dobrym redaktorem i publicystą, ale na ministra nie nadawał się nigdy — talentu administracyjnego nie posiadał żadnego. Ale jako człowiek był sympatyczniejszy i przyjemniejszy od Sikorskiego.

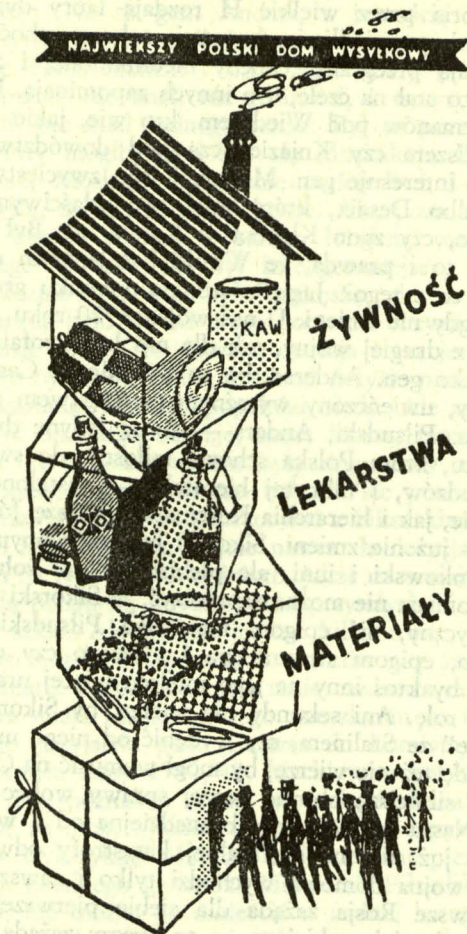
Sikorski odegrał trzy razy dużą rolę w dziejach Polski: raz w latach I-ej Wojny, jako szef wydziału wojskowego NKN'u; dwa — jako premier, potem minister wojny w latach 1923-25, i trzy — jako premier i naczelny wódz w latach 1939-43. W czasie I-ej wojny znajdowałem się w Kijowie, byłem poza tym wówczas dzieckiem i sztabakiem, więc ten pierwszy okres działalności Sikorskiego znam tylko z opowiadań. I choć przypadek zrzucił, że byłem uczniem i wychowankiem epigonów NKN'u, to w gruncie rzeczy cały ten okres interesował mnie zawsze tak ino, iż po dziś dzień nie bardzo wiem, o co chodziło w ówczesnych sporach Piłsudskiego i Legionistów z NKN i Sikorskim. Jestem przekonany, że wszystkie polemiki co do roli tych czy tamtych w okresie I-ej Wojny nikogo z nas, poniżej 80-ki, nie interesują, i że trzeba im dać spokój. Sam z bliska się przypatrywałem grze ostatnich Stańczyków w latach 1923-26, gdy stawiali na Sikorskiego, i mógłbym długo się na ten temat rozpisać; ale znowuż kogo to dzisiaj obchodzi? Co innego trzeci okres działalności Sikorskiego, z czasów II-giej wojny — a specjalnie z okresu jego działalności na czele rządu polskiego w Londynie. Przypatrywałem się tej akcji z suteryny. Ale długo po wojnie udało mi się wysłuchać komentarzy na ten temat z ust dwóch najwybitniejszych współpracowników Sikorskiego z owego okresu, mianowicie Edwarda Raczyńskiego i generała Andersa. Nie zrobiłem sobie żadnych notatek z tych rozmów, które odbywały się nie jednorazowo, ale wielokrotnie, w trakcie omawiania różnych wypadków i różnych ludzi. Ale ufam jeszcze mej pamięci. Pytałem się kiedyś Edwarda Raczyńskiego — którego uważam za najbardziej wyrobionego naszego dyplomate, za głównego architekta naszego aliansu z Anglią, za Polaka, który miał ze wszystkich naszych rodaków najsilniejszą pozycję osobistą u Anglików — jakby, po latach, porównał Sikorskiego z Beckiem, których obu nie tylko znał doskonale, ale z którymi współpracował najściślej właśnie na terenie polityki zagranicznej. Edward Raczyński, z natury człowiek wielkiego umiaru, wielkiej ostrożności w sądach, daleki od partyjnictwa i od wszelkiej klikowości, tak że nazwanie go „Beckowcem” czy „Sikorszczykiem” byłoby nonsensem, scharakteryzował Becka i Sikorskiego mniej więcej następująco: „Kaźde porównanie Sikorskiego z Beckiem musi być w gruncie rzeczy *unfair* dla Sikorskiego. Polska za Becka była dużo słabsza, niż on to sobie wyobrażał — jego własna pozycja na świecie, u Hitlera, u Anglików była też dużo słabsza — ale jednak

państwo polskie istniało, miało 30 dywizji, 30 milionów mieszkańców, to były realia, z którymi trzeba było się liczyć. Gdy Sikorski zjawił się w Londynie, reprezentował tytuły prawne, tytuły moralne, heroizm i patriotyzm narodu, oddziały walczone i bitne, ale zbyt nieliczne, by mogły poważniej zaważyć na szali wojny, a, niestety, dyplomacja jest obliczaniem sił, i ten rachunek decyduje o wszystkim. Ani Beck, ani Sikorski nie byli wielkimi dyplomata, ale Beck miał pewne atuty — Sikorski żadnych. Sądzę — ciągnął Raczyński — że Sikorski był zręczniejszy od Becka, lepiej umiał sobie „Wielkich” zjednywać, i to chociaż mówił dość źle po francusku, po angielsku wcale, i zapomniał niemieckiego, tak że gdy rozmawiał z Mołotowem w Londynie po niemiecku, bo Mołotow znał poza rosyjskim tylko język niemiecki, to ja musiałem Sikorskiemu tłumaczyć. W każdym razie jest rzeczą zdumiewającą, jak Sikorski potrafił sobie pozyskać Churchilla i w ogóle Anglików — chociaż nigdy nie miał z nimi do czynienia, zupełnie ich nie znał, a temperament miał bardzo polski, a więc bardzo różny od angielskiego. Tak samo, gdy byłem z Sikorskim u Roosevelta — znowuż byłem dla niego tłumaczem, bo i Roosevelt, i Sikorski ze swoją francuszczyzną nie bardzo dawali sobie rady — Sikorski zachowywał się zręcznie, i, o ile to było możliwe, zjednał sobie Roosevelta, w każdym razie uniknął zadrażnień, których tyle było między Rooseveltem a de Gaulle'm. Co Francja na tych zadrażnieniach zyskała, nie widzę. Zarzucają Sikorskiemu, że nie był de Gaulle'm; po pierwsze, Francja reprezentowała dużo większe siły, nawet na dnie upadku, a ponadto potencjalnie; po drugie Francja nie miała na karku Rosji, która nie planowała ani chwili by Francję podbić, okroić, czy narzucić jej ustrój i rząd. Stosunek Anglików do Polski pozostał zawsze bardzo przyjazny, po prostu robili ustępstwa Rosji w miarę tego, jak Rosja stawała się coraz potężniejsza, a więc bardziej potrzebna. Zarzucało się, i dotąd się zarzuca, Sikorskiemu, że nie wydebił niczego od Stalina. Ale jakie były na to szanse, i kto by więcej od Stalina uzyskał? Mołotow od razu w Londynie w 1942 postawił sprawę wyraźnie: żadnych dyskusyj, żadnych pretensyj, żadnych negocjacji. Benesz posunął się do rekordów ustępliwości wobec Sowietów, i co wytargował? Nic, został tak samo potraktowany, jak my. Mówi się, że Sikorski nie potrafił znaleźć wspólnego języka z Czechami. Bardzo sam byłem przywiązany do ugody z Czechami, ale Benesz nie chciał o tym słyszeć, raz bo w ogóle nigdy nas nie lubił i nie cenił, a dwa, bo Stalin musiał mu z góry powiedzieć, by się w żadne aliansy z Polską nie bawił. Trudno nazwać Sikorskiego wielkim dyplomate, bo w końcu nic mu się nie udało, ale jakie miał karty, i kto by więcej od niego dokonał?”

Pytałem się też generała Andersa — bodajże już po śmierci generała Sosnkowskiego — jakby *ex post* ocenił Sikorskiego i Sosnkowskiego. Na to gen. Anders, z jasnością i szczerością, które u wszystkich tyle mu jednaly serc i uznania, odpowiedział mi: „Proszę Pana, miałem z Sikorskim zatarg o Rosję, której Sikorski zupełnie nie znał, nie rozumiał, i wszystko co na jej temat mówił, nie miał żadnego sensu. Był to poza tym ostatni człowiek, który mógłby podobać się Moskalom, lub zrobić na nich wrażenie; Moskale są szalenie podejrzliwi, i jak ktoś im schlebia, myślą, że ten ktoś coś knuje. Ale, poza sprawą Rosji, Sikorskiego bardzo ceniłem i bardzo lubiłem, wołałem go od Sosnkowskiego. Sosnkowski był inteligentniejszy, bardziej wykształcony, rozmowa z nim była rozkoszą, ale to był Hamlet, nigdy nie można było się od niego doczekać decyzji. A Naczelnym Wódcą w czasie wojny, to decyzja, decyzja i raz jeszcze decyzja. U Sikorskiego było odwrotnie; pobierał decyzje nieraz za szybko, niedość się zastanawiał, stąd popełniał błędy. Ale zawsze można było wydobyć od niego decyzję, może lepszą, może gorszą, ale decyzja była. A z Sosnkowskim były argumenty za i przeciw, często doskonałe, ale decyzji nie było. Więc powiem panu, że mimo wszystko wołałem współpracować z Sikorskim, niż z Sosnkowskim, bo lepsza jest na wojnie nawet zła decyzja niż żadna”.

Mógłbym na tych dwóch opiniach, jakże miarodajnych, i które zapewne będą podstawą wyrokowania przyszłych historyków, zakończyć ten szkic. Ale dodam jeszcze kilka uwag, opartych na innych opiniach, takich czy innych aktorów czy świadków ówczesnego dramatu. Bardzo uderzyła mnie rozmowa ze St. Mackiewiczem, która miała miejsce w jego mieszkaniu na Chalk Farm, za pierwszego przyjazdu gen. Andersa do Londynu — a więc zapewne w końcu zimy 1941/42. Mackiewicz był szalenie podniecony: „Wiesz, poznałem dzisiaj generała Andersa!” — zawołał witając się ze mną. „Jakież wrażenie?” — zapytałem. „Nadzwyczajne — wykrzyknął Mackiewicz — po raz pierwszy w życiu widziałem polskiego generała! Marszałek Piłsudski jest oczywiście *à part*, nie można go umieścić w żadnej kategorii, ale Sikorski, Rydz, Sosnkowski, to są politycy w mundurach, można ich podziwiać czy popierać, jako polityków, ale Anders jest pierwszym dowódcą polskim, który jest generałem, i tylko generałem, i nie chce politykować, i polityka go nie obchodzi...”. Gdy później poznałem, i to bliżej, generała Andersa, nieraz mi się ta rozmowa ze St. Mackiewiczem przypominała, i zawsze uważałem, że miał rację. Sikorski mógł mieć duże zasługi w czasie bitwy nad Wkrą, ale był z temperamentu politykiem; poza tym w warunkach II-ej Wojny polskie Naczelne Dowództwo było zawsze fikcją — naprawdę funkcje dowódcze spełniali gen. Kopański

w Libii, gen. Maczek w Holandii, i nade wszystko gen. Anders na Środkowym Wschodzie i Monte Cassino. Współcześni, potomność i Historia przez wielkie H rozdają laury dyplomatyczne i wojskowe niesprawiedliwie: koronują sukcesy, choćby niezastuzone, potępiają przegrane, choćby nieuniknione, i zawsze dają laury temu, co stał na czele, a o innych zapominają. Kto pamięta nazwiska hetmanów pod Wiedniem, kto wie, jakie były zasługi generałów Fiszera czy Kniaziewicza pod dowództwem Księcia Józefa, kogo interesuje gen. Moreau i jego zwycięstwo pod Hohenlinden, albo Desaix, który miał być właściwym zwycięzcą pod Marengo, czy zgon Klébera w Kairze itd. Był Napoleon i basta. Może to i prawda, że Witold był lepszym dowódcą od Jagiełły, ale co z tego? Jagiełło stoi na pomniku grunwaldzkim, i tego się nigdy nie zmieni. U nas wojna 1920 roku, to Piłsudski i koniec. A z drugiej wojny, tak dla nas katastrofalnej, zostanie tylko nazwisko gen. Andersa, bo to jest Monte Cassino, jedyny laur wojenny, uwieńczony wyraźnym zwycięstwem pod polskim dowództwem. Piłsudski, Anders — to są jedyne dwa nazwiska XX-go wieku, które Polska schowa miłośnie do swego albumu wielkich wodzów, i nikt tej hierarchii — ustalonej tak samo nieodwołalnie, jak i hierarchia Kościuszko - Książę Józef w wieku ubiegłym — już nie zmieni. Sikorski był zasłużonym generałem, tak jak Sosnkowski i inni, ale plebiscytu serc żołnierskich nie wygrał. Natomiast nie można zaprzeczyć, że Sikorski miał większy talent polityczny, niż epigoni marszałka Piłsudskiego, epigoni Dmowskiego, epigoni stronnictwa Ludowego czy epigoni PPS. Nie wierzę, by ktoś inny na jego miejscu więcej uratował, lepiej spełnił jego rolę. Ani sekundy nie wierzę, by Sikorski mógł być „dogadać się” ze Stalinem, czy wydebić od niego ustępstwa; ani przez sekundę też nie wierzę, by mógł wymusić na Churchillu czy Rooseveltcie silniejszą obronę naszej sprawy wobec zachłanności rosyjskiej. Nasza sytuacja była beznadziejna od 1 września 1939 roku, i nic już nie mogło finalnej katastrofy odwrócić. Każda europejska wojna domowa wychodzi tylko i zawsze na korzyść Rosji, i zawsze Rosja zażąda dla siebie pierwszej linii oporu Europy przeciw jej ambicjom — to znaczy zażąda Polski. Całe pytanie sprowadza się do tego, czy nasza niewola potrwa równie długo, co Bałkanów, czy krócej, a jeśli tak, to o ile? Od nas samych nie zależy — niestety — dojście do skutku tych dwóch warunków. By przeczeć i odczekać, potrzebujemy cnót innych, niż bohaterstwa. W akcji gen. Sikorskiego mało znajdziemy wskazówek i precedensów w stosunku do naszych dzisiejszych zadań.



TAZAB
22 ROLAND GARDENS LONDON SW 7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:
TAZAB OF LONDON
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003
Telefon: ALgonquin 4-4160

Archiwum polityczne

Polska « Westpolitik »

„Amerykanie nie potrzebują Rosji dla celów gospodarczych. Nawet trudna do osiągnięcia wymiana z Sowietami wartości pięciu miliardów dolarów rocznie, to jest mucha w ogólnym bilansie amerykańskim. Amerykanie potrzebują — i tu jest cały paradoks — pomocy Rosji w pomyślnej likwidacji swojej hegemonii światowej”.

To jest opinia Wojciecha Wasutyńskiego, który od szeregu lat przebywa w Stanach Zjednoczonych i na pewno lepiej jest zorientowany w polityce amerykańskiej niż emigracyjni publicyści, którzy od 30 lat nie opuścili Londynu.

Musimy wyzbyć się schizofrenicznego stosunku do Stanów Zjednoczonych. Ameryka nie jest i nigdy nie będzie mocarstwem jakie wysnuli sobie Polacy. Odmowa z naszej strony uznania Ameryki za taką jaką ona istotnie jest uniemożliwia nam realizowanie tych niewielkich wpływów jakie w Stanach Zjednoczonych posiadamy.

Propaganda na dalszą metę ogtupia tych, którzy ją głoszą, a nie tych przeciwko którym jest wymierzona. W okresie „zimnej wojny” tak uporczywie i tak długo głosiliśmy całkowitą zbieżność polskich i amerykańskich interesów, że dziś dosłownie fałszujemy rzeczywistość, by pokrywała się z założeniami przestarałej propagandy.

W opinii komentatorów londyńskiej prasy emigracyjnej polityka Nixona w stosunku do Sowietów jest manewrem taktycznym czy pozorem, który przysłania wręcz odmienne zamiary Stanów Zjednoczonych.

Senior publicystów emigracyjnych wyraził opinię, że skandal Watergate jest rozdmuchany przez propagandę komunistyczną. Faktem natomiast jest, że prasa sowiecka wysunęła tezę, że afera Watergate jest rozdmuchiwana przez reakcjonistów, przeciwnych polityce odprężenia zainicjowanej przez Nixona i Breżniewa.

Ale zawsze tak było. Lechoń w swym ostatnio wydanym to-

mie „Dzienników” pieje peany na cześć Eisenhowera i wierzy, że wszystko ulegnie zmianie na lepsze z chwilą gdy generał, republikanin i prawnicowiec, osiadł w Białym Domu.

Eisenhower grał w golfa gdy Budapeszt dogorywał. Podobnie, sylwetka Nixona w prasie emigracyjnej to nie jest żywy człowiek i polityk tylko kukła nafaszerowana polskimi pobożnymi życzeniami.

Podstawowym elementem wszelkiej polityki jest prawidłowe rozpoznanie. Trzeba umieć prawidłowo rozpoznać zarówno wroga jak i sojusznika. Fałszywe rozpoznanie sojusznika może być równie katastrofalne w skutkach jak fałszywe rozpoznanie wroga.

U nas niestety analizę i rozpoznanie zastępuje tradycyjne trzymanie się „pańskiej klamki”. Wielu Polaków na emigracji wykazuje identyczną lojalność w stosunku do Nixona jak Gierek i jego prasa w stosunku do Breżniewa. Tak jak wszelka krytyka reżymu Gierka uważana jest przez prasę krajową za kapitalistyczną dywersję ideologiczną — tak u nas na emigracji wszelka krytyka Nixona uważana jest za dzieło inspiracji komunistycznej.

Sprawę komplikuje fakt, że znani mi Polacy, którzy bywają w PRL i ogłaszają w periodykach zachodnich artykuły — często chwalone przez reżymową prasę — twierdzą, że działają z pełnym poparciem Amerykanów.

Mamy przeto dwa skrajne a nawet sprzeczne odłamy emigracyjnego filoamerykanizmu. Przynależni do pierwszego obozu głoszą, że Watergate jest rozdęta przez liberałów i komunistów, by szkodzić Nixonowi. Odprężenie i zbliżenie sowiecko-amerykańskie jest pozorem. W rzeczywistości Nixon i cała Ameryka dyszą tą samą nienawiścią do Sowietów jak w szczytowym okresie „zimnej wojny”. Mobilizacja wszystkich antykomunistycznych sił świata tak jak dawniej jest naczelnym celem polityki amerykańskiej, której żywym symbolem jest prezydent Nixon.

Do drugiego obozu należą przeważnie Polacy zagraniczni młodego i średniego pokolenia, wykształceni za granicą. Ci panowie odwiedzają Kraj, pisują artykuły w periodykach emigracyjnych i obcych, bywają zauważani a nawet chwaleni przez prasę reżymową i postępując w ten sposób sądzą, że realizują amerykańsko-sowiecką politykę odprężenia i koegzystencji.

Nie ulega wątpliwości, że tak profesor Pragier jak i prof. Bromke są szczerze pro-amerykańscy — choć filo-amerykanizmowi nadają różną treść. Cenię i poważam obu tych panów, nie zgadzam się jednak ani z jednym ani z drugim. Wydaje mi się, że prof. Pragier i Bromke są reprezentatywni dla dwóch odłamów pro-amerykanizmu o których mówiliśmy powyżej.

W mojej opinii obaj profesorowie wadliwie interpretują kluczowe terminy: „koegzystencja” i „odprężenie”.

W wielkim skrócie można powiedzieć, że prof. Pragier uważa, że koegzystencja i odprężenie pomiędzy Sowietami a Ameryką nie są możliwe i wskutek tego odprężenie i Polsce nie może przynieść żadnych korzyści.

Prof. Bromke sądzi natomiast, że rzecz warta jest próby. Mnie-

ma, że jeżeli odprężenie i współpraca sowiecko-amerykańska mimo wszystko przyniesie pozytywne rezultaty — odbije się to korzystnie na Polsce.

Błąd w rozumowaniu obu profesorów polega na tym, że nie ma żadnej analogii ani związku przyczynowego pomiędzy Polską a Ameryką. Wbrew temu co twierdzi prof. Pragier, odprężenie pomiędzy Ameryką a Sowietami jest możliwe — i wbrew temu co twierdzi prof. Bromke — odprężenie sowiecko-amerykańskie może pogorszyć a nie polepszyć sytuację Polski.

Ameryka jest najpotężniejszym supermocarstwem świata i może odprężyć swoje stosunki z Rosją czy z Chinami, ponieważ z zewnątrz Stanom Zjednoczonym nic nie zagraża i *de facto* nic nie może zagrozić. Gdyby Pekin czy Moskwa targnęły się na Stany Zjednoczone podpisałyby swą własną metrykę zgonu.

Ceną za odprężenie nie jest również rezygnacja z hegemonii — ponieważ Ameryka nie pragnie hegemonii. Pełnienie roli żandarma świata jest procedurą bardzo kosztowną i kolejne Kongresy nie chcą uchylać odpowiedzialnych kredytów.

Sowiety w przeciągu 20 lat zbudowały drugą z kolei największą flotę wojenną świata. Lecz ani Chruszczow ani Breżniew nie musieli liczyć się z wolą czy opinią sowieckiego podatnika.

Stany Zjednoczone są uwikłane w różnorodne trudności gospodarcze, które wyrażają się inflacją i wzrastającą drożyzną. Mając do wyboru kosztowną hegemonię światową czy *prosperity* bez hegemonii — Amerykanie z całą pewnością wybiorą *prosperity* bez hegemonii.

Jeżeli chodzi o tezę prof. Bromke to należy zauważyć, że choćby konferencja w Helsinkach i proponowana przez Sowiety konferencja na szczycie przyniosły nawet jakieś ustępstwa ze strony Moskwy — to cały koncept „odprężeniowy” polityki sowieckiej, wyłożony w dniu 10 lipca br. w Helsinkach przez min. Gromyko, opiera się na uznaniu i zaalegalizowaniu przez Zachód *status quo* w Europie Środkowo-Wschodniej.

W pewnej mierze może wydawać się dziwne, że Sowietom tak niezmiernie zależy na formalnym zaalegalizowaniu owego *status quo*, który w gruncie rzeczy wszyscy biernie i zgodnie uznają. Wszyscy — z wyjątkiem Chin, które nie uznają granicy na Odrze i Nysie tudzież zaboru Lwowa i Wilna. Nie uznają również wcielenia do Związku Sowieckiego państw bałtyckich. Innymi słowy, Chiny nie uznają ani sowieckiej sfery wpływów w Europie, ani nawet nie uznają powojennych granic samego Związku Sowieckiego.

Moskwa pragnie przeto formalnego uznania *status quo* w Europie przez mocarstwa zachodnie — ponieważ nie może liczyć na uznanie swych po-Jańtańskich zdobyczy przez Chiny, które są również jak najdalej od likwidowania „zimnej wojny” przeciwko Związkowi Sowieckiemu. (Leży przede mną broszura wydana niedawno w Pekinie pod wymownym tytułem: „Down with the new Tsars”).

Lecz stosunki sowiecko-chińskie choć bezpośrednio związane z sytuacją europejską nie są tematem niniejszych rozważań.

Pragnąc wyprostować nasz stosunek do Zachodu powinniśmy zacząć od wyłknięcia kompleksu trzymania się „pańskiej klamki”. Na czym ów kompleks polega? Weźmy przykład. W czasie ostatniej wizyty Breżniewa w Waszyngtonie była tylko jedna antysowiecka demonstracja. Na ulicach stolicy Stanów Zjednoczonych demonstrowali pokojowo choć wyraziście Żydzi. Wydawałoby się, że Polacy mają niepomierne więcej powodów do demonstrowania przeciwko Sowietom niż Żydzi. Polska a nie Izrael jest satelitą Sowietów. Czy cytowana demonstracja dowodzi, że Żydzi są mniej pro-amerykańscy niż Polacy? Na pewno nie. Żydzi są pro-amerykańscy, ponieważ Stany Zjednoczone są Izraelowi bardzo potrzebne.

Polacy i Żydzi są pro-amerykańscy i tak jedni jak i drudzy są antysowieccy. Demonstrowali natomiast tylko Żydzi, ponieważ Polakom uniemożliwił demonstrowanie kompleks „pańskiej klamki”. Demonstracji nie życzył sobie prez. Nixon a któżby chciał się narazić prezydentowi? „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i przy Tobie Najjaśniejszy Panie stać pragniemy”. Polacy w znacznym odłamie są tradycyjnymi lojalistami i wierzą, że tylko na tej drodze można coś osiągnąć. Na skutek braku tradycji demokratycznej nie rozumieją, że można być szczerze i gorąco pro-amerykańskim i równocześnie demonstrować przeciwko *Ostpolitik* prez. Nixona. Polacy przywykli wierzyć, że pensje, emerytury, stanowiska uniwersyteckie — zależne są od łaski rządu i prezydenta i boją się, że — choćby najbardziej pokojowa i cywilizowana — demonstracja przeciwko oficjalnej polityce mogłaby ich pozbawić dachu nad głową i środków utrzymania.

Lojaliści w Polsce Ludowej mają podstawy do tego typu przekonań — lecz w demokratycznej Ameryce lojalistyczna filozofia jest zupełnie nie na miejscu.

Ów kompleks trzymania się „pańskiej klamki” i wierność feudalnie pojmowanemu lojalizmowi — stwarzają również wymarzony klimat dla działalności reżymowej. Jeżeli prezydent przyjmuje kordialnie Breżniewa, jeżeli prezydent odwiedza Gierka w Warszawie — to demonstrowaniem krytycznej postawy wobec „odprężenia” można by się narazić na zarzut antylojalności. A przecież od przynależności do waszyngtońskiego BBWR — zależą (w opinii polskich przybyszów) posady, emerytury i stanowiska.

Przykłady, przykłady! — Zawoła w tym miejscu Czytelnik. Prezentuję poniżej przykłady klasyczne. W uroczystości podpisania w Departamencie Stanu w Waszyngtonie umów pomiędzy Polską Ludową a USA — wzięto udział dwóch wysokich przedstawicieli Kongresu Polonii. Swoją obecnością owi polscy dygnitarze afirmowali legalizm reżymu warszawskiego w myśl lojalistycznej zasady, że skoro rząd amerykański uznaje reżym warszawski za legalny rząd polski — nie ma powodu by Polacy amerykańscy myśleli inaczej.

W Waszyngtonie pod patronatem Kongresu Polonii Amerykańskiej odbyły się uroczystości związane z 500-leciem urodzin Kopernika. W uroczystościach wzięły udział wszystkie polskie organizacje nie wyłączając SPK. Lecz obok Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w budującej manifestacji wzięły udział również reżymowe placówki LOT i Cepelia. Mało tego — główną wygraną na loterii fantowej był darmowy bilet reżymowych linii lotniczych na trasie Waszyngton-Warszawa.

A naiwna emigracyjna prasa londyńska uporczywie głosi, że Nixonowska doktryna „odprężenia” jest złudzeniem.

Nasz stosunek do tzw. Zachodu jest zdumiewający. Do Anglików czy Francuzów odnosimy się z pobłażliwym lekceważeniem, a na łamach prasy emigracyjnej pełno jest artykułów które opiewają upadek i dekadencję europejskiego zachodu. Nawet publicyści, którzy kiedyś związani byli z socjalizmem — w działalności brytyjskich Związków Zawodowych nie mogą dopatrzeć się niczego innego poza „machinacjami komunistów”.

Stuprocentowym poparciem Polaków zagranicznych cieszy się natomiast prez. Nixon, który z przywódców zachodniego świata — zbliża się najbardziej do ogólnie polskiego ideału antyliberalnego, prawicowego „męża opatrnościowego”.

Brytyjski premier Edward Heath — choć konserwatysta — jest zbyt liberalny, zbyt postępowy, zbyt „socjalistyczny” — i będąc rzetelnym demokratą w niczym nie przypomina męża „silnej ręki” z polskiej legendy.

Niestety — jak z patosem stwierdził jeden z czołowych publicystów londyńskiego *Dziennika Polskiego* — liberałowie aferą Watergate zadali Nixonowi cios w plecy.

Skandal Watergate jest mieszaniną plotek, zeznań i kontrzezań. Jedno jest jednak pewne: sprawcami Watergate byli republikanie. Jak więc mogli republikanie zadać sami sobie cios w plecy — pozostaje tajemnicą londyńskiego *Dziennika Polskiego*.

Oczywiście BBWR nie organizowało nigdy „cudów nad urną” i podobnie partia republikańska jako kapitalistyczna i prawicowa — z definicji jest bez zmyślenia i skazy. Wszystkiemu winni są liberałowie, którzy w 80 % są krypto-komunistami.

Lecz w tym szczególnym wypadku nie chodzi mi o poglądy polityczne starszego pokolenia na emigracji. Chodzi mi o ów kompleks „pańskiej klamki”, który często paraliżuje akcję polityczną emigracji.

Przeżywamy epokę masowych strajków, masowych pochodów, masowych protestów. Następującą sprawę trzeba wyjaśnić całkowicie i bez reszty. Na emigracji panuje przekonanie, że protestami niczego nie można osiągnąć. To jest częściowo prawda. Protesty Żydów w związku z „podatkiem emigracyjnym” przyniosły częściowy rezultat, lecz niewątpliwie to jest raczej wyjątek niż reguła. Lecz brak protestu — nawet takiego, który z góry skazany jest na niepowodzenie — odczytywany jest przez opinię międzynarodową jako zrezygnowana zgoda na *status quo*.

W pierwszych dniach lipca br. w czasie konferencji ministrów spraw zagranicznych — na ulicach Helsinek protestowali Litwini, Łotysze i Estończycy przeważnie z amerykańskimi paszportami. Korespondent *The Guardian* zauważył, że Polacy nie protestowali.

Musimy zrozumieć i pamiętać, że brak protestu jest również aktem politycznym o negatywnym znaczeniu.

Gdyby Polacy złożyli w sekretariacie Konferencji w Helsinkach protest w czterech potężnych skrzyniach, zawierający podpisy pół miliona Polaków zagranicznych — tego typu potężny gest nie osiągnąłby niczego w wymiarze praktyki na dzisiaj — lecz stałby się polityczną sensacją światową i prasową. Musimy również pamiętać, że czego nie ma na ekranie telewizyjnym i na łamach dzienników — to nie istnieje.

Protest tego typu uprzytomniłby 33 ministrom i państwom przez nich reprezentowanym, że Polacy zagraniczni pojmują na serio słowa: „jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy”.

Lecz kto ma organizować protesty i akcje polityczne? Oczywiście nie ci, którzy trzymają się kurczowo nixonowskiej klamki, tj. członkowie waszyngtońskiego i nowojorskiego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem amerykańskim.

Nie jest winą Amerykanów, że ich kraj leży na drugiej półkuli i interesy Polski nie zawsze pokrywają się z interesami Stanów Zjednoczonych. Natomiast jest wielkim błędem mniemać, że można sobie zjednać Amerykanów popierając ich politykę nawet wówczas, gdy jest wyraźnie sprzeczna z polską polityką niepodległościową.

Stany Zjednoczone mogą „odprężyć” stosunki z Sowietami, ponieważ są najpotężniejszym super-mocarstwem świata. Natomiast emigracja polityczna szukając „odprężenia” czy współpracy z reżymami komunistycznymi — złamałaby niepisaną umowę, zawartą pomiędzy nami a państwami, które udzielają nam gościny. Anglicy przyznali prawo stałego pobytu tym żołnierzom 2 Korpusu, którzy odmówili uznania reżymu komunistycznego w Polsce. Sprawa była postawiona jasno i bez niedomówień. To jest punkt ważny, ponieważ dotyczy uznania nas przez rząd Brytyjski za emigrację polityczną. Wiem pozytywnie, że rząd Brytyjski oczekuje od każdego z nas postawy antykomunistycznej, ponieważ jako anty-komunistom udzielono nam prawa pobytu i uznano nas za emigrację polityczną.

Rząd Brytyjski może w danym okresie prowadzić w stosunku do bloku sowieckiego taką czy inną politykę. Lecz to w niczym nie zmienia charakteru polskiej emigracji. Nawet w okresie największego „odprężenia” — gdybyśmy zaczęli współpracować z instytucjami reżymowymi, gdybyśmy organizowali obchody i akademię pod hasłem Emigracja-Cepelia — Anglicy bardzo szybko powiedzieliby nam, że zerwaliśmy jednostronnie porozumienie, które gwarantowało nam prawo pobytu na tych Wyspach. I mieliby stuprocentową rację. Polak, który uznaje rząd PRL i kuma się z reżymowymi ekspozyturami za granicą — nie ma prawa

do statusu emigranta politycznego i związanego z owym statusem prawa stałego pobytu w Anglii. To samo dotyczy emigrantów, którzy przyjęli obce obywatelstwo. Emigrant *de facto* nigdy nie przestaje być emigrantem, ponieważ w przeciwieństwie do obywatelstwa z tytułu urodzenia — obywatelstwo nabyte przez naturalizację — może być sądownie unieważnione a eksnaturalizowany obywatel skazany na deportację.

Piszę to wszystko, by wyprowadzić z błędu tych Polaków — obywateli brytyjskich, kanadyjskich czy amerykańskich, którzy wyobrażają sobie, że ich „powołaniem” jest czynnie współpracować w polityce „odprężenia” zainicjowanej przez Nixona i Breżniewa.

Każdy Polak bez względu na to czy przyjął czy nie przyjął obce obywatelstwo stanowi potencjalny *security risk* — ponieważ Polska nie jest członkiem NATO tylko członkiem Paktu Warszawskiego. Nam, starym żołnierzom, może się to wydawać tragiczno-komiczne — niemniej faktem jest, że pomiędzy zachodnim Niemcem a Polakiem, którzy mieszkają w Londynie czy w Nowym Jorku — zachodzi zasadnicza różnica. Niemiec jest dzisiaj cudzoziemcem *of allied nationality* (sojuszniczej narodowości) tak jak my byliśmy w okresie drugiej wojny światowej. Natomiast Polak nie jest dziś *of allied nationality* — ponieważ Polska należy do potencjalnie wrogiego zgrupowania państw.

Polacy o tym nie myślą, lecz władze brytyjskie i amerykańskie — a zwłaszcza departamenty rządowe odpowiedzialne za bezpieczeństwo — nigdy tych faktów nie tracą z oczu. Dlatego nawet młodym Polakom urodzonym w Anglii — często trudno jest zdobyć stanowisko, które wymaga wysokiego stopnia *security clearance*.

W sumie należy stwierdzić co następuje. Każdy Polak może wrócić do Kraju i przyjąć obywatelstwo PRL. Natomiast ci emigranci, z obcymi paszportami czy bez — którzy szukają bezpośrednio kontaktów z placówkami reżymowymi jeżeli wyobrażają sobie, że wprowadzają w czyn politykę „odprężenia” i wobec tego liczyć mogą na zaufanie i poparcie rządów krajów osiedlenia — popełniają podstawowy błąd. W czasie wojny czy poważnego kryzysu ci panowie znajdują się pierwsi na liście tych cudzoziemców czy obywateli obcego pochodzenia, których jako *enemy aliens* należy izolować i kontrolować.

W czasie wojny pracowałem w Afryce w jednej z placówek ówczesnego Brytyjskiego Ministerstwa Informacji i miałem możliwość zaobserwowania z bliska tych spraw. Wszystkie artykuły z prasy Drugiego Korpusu były tłumaczone na język angielski. Mam podstawy do przypuszczenia, że dzieje się podobnie i dziś. Emigracje z za żelaznej kurtyny są zbyt liczne i politycznie zbyt „sensacyjne” — by można było nimi się nie interesować.

Jeszcze raz powtarzam, każdy Polak w Anglii czy w Kanadzie jest potencjalnym *security risk*. Polak, który utrzymuje stosunki z instytucjami reżymowymi, jeździ do Warszawy, gdzie jego kontakty trudno sprawdzić — jest oczywiście jeszcze większym *secu-*

rity risk ponieważ — chociaż wiadomo jaki pojechał, nigdy nie wiadomo jaki wrócił.

Dla ludzi, którzy przeżyli drugą wojnę światową w czynnej służbie jest wręcz żenujące o tym pisać, ponieważ to jest abecadło zachowania się w stosunku do potencjalnego wroga. Poświęciłem tej sprawie sporo miejsca ponieważ wydaje mi się, że Polacy średniego i młodego pokolenia, którzy w wojnie nie brali czynnego udziału — lekceważą wyżej zacytowane „abecadło” — i nie pamiętają, że — odprężenie czy nie-odprężenie — w kancelariach rządowych Londynu, Paryża czy Waszyngtonu przez „potencjalne wrogi mocarstwo” (*potential enemy power*) rozumie się zawsze i bez wyjątku Sowiety i ich sojuszników. Dlatego „abecadło” w pełni obowiązuje i tych, którzy o tym nie pamiętają spotkać może przykra niespodzianka.

Przed wojną nigdy nie myślałem, że mieszkam w Europie Wschodniej. Wawel, Kościół Mariacki z ołtarzem Wita Stwosza a przede wszystkim rynek krakowski — to wszystko miało tyle wspólnego ze Wschodem co stara Norymberga. Gdy wyjeżdżałem do Wiednia, Paryża czy Berlina — ani nie myślałem ani nie mówiłem, że wyjeżdżam na zachód. Wyjeżdżałem zwyczajnie za granicę.

Gdyby przed wojną zaliczył ktoś Drezno do miast wschodnio-europejskich — przyjęto by taką geograficzną klasyfikację wybuchem śmiechu.

Wschodem była zawsze Rosja. Tam gdzie sięgało panowanie rosyjskie czy sowieckie zaczynał się Wschód.

Pod koniec drugiej wojny światowej zaczęliśmy mówić i pisać o „zdradzie Zachodu”. Polskę arbitralnie włączono do Wschodu — co wydawało się nam nie tylko katastrofą lecz absurdem. To tak jakby ktoś na mocy takiego czy innego traktatu Kraków włączył do Kanady.

Jeżeli ktoś z przedwojennego Krakowa wyjeżdżał na Polesie — a bywali i tacy ekscentrycy — nikt nie mówił, że ci odważni Krakowianie wyjeżdżają na wschód. Mówiło się, że wyjeżdżają na kresy.

Gdy po wietlotygodniowym pobycie za granicą wracałem do Krakowa — nigdy nie odnosiłem wrażenia, że z jednej części Europy przybyłem do innej, odrębnej części Europy. W Wiedniu mówiło się po niemiecku — lecz kto w Krakowie nie mówił po niemiecku? W Wiedniu było trochę inaczej, lecz nie było obco.

Nigdy nie mieszkałem w Warszawie. Przyjeżdżałem do stolicy na kilka dni a czasem tylko na kilkanaście godzin.

Warszawa robiła na mnie wrażenie miasta kresowego. Nie Lwów, który był „austriacki” jak Pan Bóg przykazał — tylko Warszawa. W stolicy bliskość Wschodu była wyczuwalna i obecna.

Zachód zdradził nas we wrześniu 1939 roku. Jałta była kon-

sekwencją tej zdrady. Drugą wojnę światową można było wygrać w latach 1939-40 i gdyby Niemcy zostali pobici bez udziału Rosji — do Jałty oczywiście by nie doszło.

Naukę jaką należy wysnuć tak z września 39 jak i z Jałty — ująć trzeba następująco. Dalekimi sojuszami na Zachodzie nie można zastąpić porozumienia z naszymi sąsiadami na Wschodzie. Wyrównanie stosunków z Ukraińcami, z Białorusinami, z Litwinami i w dalszej perspektywie z nie-imperialistyczną Rosją — stanowi podstawowy warunek odzyskania i utrwalenia niepodległości Polski. Przyjaźń z mocarstwami zachodnimi — choć cenna i potrzebna — nie zastąpi programu wschodniego.

Gdy się ma fałszywe marzenia — „ginie się zdradą marzeń” — by użyć słów Stowackiego. Zachodni mit emigracyjny zakłada, że kiedyś Waszyngton się przebudzi i Stany Zjednoczone wraz ze zjednoczoną Europą Zachodnią — w jakiś sposób odepchną Rosję. Jak w każdym micie, tak i w tym szczegóły są nieważne — istotne jest tylko końcowe spełnienie. Poprzez klęskę Rosji zostaną wymazane i naprawione krzywdy września i Jałty. Polska niepodległa z Wilnem i Lwowem wejdzie do powiększonej, zjednoczonej EWG — a na naszych wschodnich granicach stać będą na straży polskie dywizje wyposażone w broń amerykańską. Tak oto ziści się mit emigracyjny: Polska wróci na Zachód.

Ow fałszywy mit powoduje, że Stany Zjednoczone i mocarstwa zachodnie uważamy za sojuszników — z czego płynie kompleks „pańskiej klamki”, omówiony w pierwszej części tego artykułu.

Nie pamiętamy natomiast, że ewentualny rozpad imperium sowieckiego stworzy koniunkturę nie tylko dla Polski i narodów ciemniejszych przez Rosję lecz również rozwiąże problem Niemiec. Na kontynencie europejskim pojawi się nagle nowe super-mocarstwo: zjednoczone Niemcy.

Jeżeli pozostaniemy wierni mitowi emigracyjnemu — znajdziemy się w chwili wymodlonej koniunktury — pomiędzy wrogo do nas nastawionymi narodami wschodu Europy a rewizjonistycznymi, super-mocarstwowymi Niemcami. W takiej sytuacji nie znajdziemy na zachodzie poparcia dla naszych roszczeń w stosunku do Lwowa i Wilna natomiast Niemcy, sojusznik mocarstw zachodnich, znajdą poparcie dla swoich roszczeń w stosunku do polskich ziem zachodnich.

Nie możemy sterować ku klasycznej rozbiorowej sytuacji — to znaczy nie możemy być na noże zarówno ze wschodem jak i zachodem reprezentowanym przez Niemców.

Musimy wybrać pomiędzy Wschodem a Zachodem — przy czym wybór w obu wypadkach oznacza z naszej strony znaczne ustępstwa. Jeszcze raz podkreślam, że nowa sytuacja, która umożliwi Polsce odzyskanie niepodległości — automatycznie umożliwi Niemcom zjednoczenie obu państw niemieckich.

Jeżeli nie wyrównamy stosunków z Ukraińcami, jeżeli wysuwać będziemy pretensje rewindykacyjne w stosunku do Lwowa — Ukraińcy szukać będą poparcia Niemiec. Musimy z długiej

ręki rozbroić potencjalną orientację pro-niemiecką Ukraińców. Niepodległa Ukraina, gdyby miała powstać pod egidą Niemiec — stanowiłaby nie polepszenie lecz pogorszenie położenia Polski. W ten sposób problem ukraiński w perspektywie polskiej zahacza zarówno o wschodni jak i zachodni program naszej polityki.

Nie możemy operować problemem ukraińskim jako instrumentem szantażu w stosunku do Rosji. Nie możemy — w danej sytuacji — grozić Rosjanom, że jeżeli z nami się nie ugodzą to my ugodzimy się z Ukraińcami przeciwko nim. Tego rodzaju szantaż zakłada bowiem gotowość z naszej strony porzucenia problemu ukraińskiego za cenę uzyskania porozumienia z Rosją.

Jeżeli chodzi o Niemcy — stwierdzając, że uznajemy obecną granicę wschodnią Polski za ostateczną — czynimy potencjalną ukraińską orientację pro-niemiecką bezprzedmiotową.

Tylko tak sformułowana polska polityka ukraińska może zapewnić życzliwe nastawienie przyszłej niepodległej Ukrainy w stosunku do Polski.

Niniejszy artykuł jak tytuł wskazuje — poświęcony jest polskiej polityce zachodniej w jej podstawowych założeniach. Na skutek położenia geograficznego nasz program zachodni uzależniony jest od programu wschodniego.

Celem tych rozważań jest uświadomienie Czytelnikowi faktu, że koniunktura historyczna, na którą czekamy, niczym nie będzie przypominała sytuacji z 1918 roku — mimo, że i tym razem jej nieodzownym składnikiem musi być upadek imperium rosyjskiego w jego obecnej postaci.

W nawiasach dodam, że podzielam pogląd *The Economist*, że Rosjanie będą musieli zdecydować się w stosunkowo niedalekiej przyszłości na wojnę rewolucyjną przeciwko Chinom, lub z tej wojny zrezygnować raz na zawsze. W obrębie dekadę Chin będą posiadały potencjał nuklearny zdolny do odwetu, którego nie będzie można zniszczyć jednym atakiem rewolucyjnym. Za kilka lat — gdy Chiny zdobędą zdolność odwetu — wojna nie mogłaby już mieć charakteru rewolucyjnego tylko od początku byłaby wojną atomową rosyjsko-chińską. Innymi słowy jeżeli Rosjanie pragną ochronić swoje miasta przed widmem Hiroszimy a równocześnie „odatomizować” Chiny — muszą wojnę rewolucyjną podjąć w obrębie kilku najbliższych lat.

Szczegółową analizą powyższego tematu zajmę się w jednym z moich „chińskich” artykułów. W tym miejscu wystarczy stwierdzić, że „wielka stabilizacja” o której mówią panowie Breżniew i Nixon — jeżeli chodzi o Rosję dość szybko może się skończyć. Prezydent USA może zachować balans pomiędzy Pekinem a Moskwą — może rozmawiać i handlować tak z Sowietami jak z Chinami. Breżniew nie ma tych możliwości a tym samym nie ma możliwości ustabilizowania sytuacji Sowietów. Polityka nie znosi nie-ustabilizowanych sytuacji i dlatego „niestabilność” stanowi zawsze prolog do tzw. „wielkich wydarzeń”.

Anglicy, Francuzi, Amerykanie powitaliby życzliwie demokratyczny rząd w Warszawie. Nie oznacza to, że możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony Zachodu. Francuzi i Anglicy z całą pewnością nie życzą sobie zjednoczenia Niemiec. Lecz dla mocarstw zachodnich problem Niemiec jest czymś innym niż dla nas. Niemcy nawet zjednoczone nie będą wysuwać pretensji terytorialnych pod adresem Francji.

Na Zachodzie mamy przyjaciół i sympatyków, którzy często wadliwie rozpoznają sprawę polską — nie na skutek złej woli tylko z braku głębszego zrozumienia. Wielu z nas przyczynia się do owego wadliwego zrozumienia ponieważ boimy się, by nas nie posądzono o brak realizmu.

Posłużmy się następującym przykładem. Każde leczenie jest programem minimalnym o celu maksymalnym. Jeżeli choremu na tyfus lekarz zdoła obniżyć temperaturę choćby minimalnie to jest poważny sukces. Niemniej celem procesu leczenia nie jest minimalna poprawa, tylko całkowity powrót do zdrowia pacjenta.

Podobnie witając z zadowoleniem każdą choćby minimalną poprawę sytuacji w Kraju — nie powinniśmy zapominać i nie powinniśmy pozwolić zapominać innym, że nie zrezygnowaliśmy z celu maksymalnego — jakim jest całkowite odzyskanie niepodległości.

Nie ma w tym nic romantycznego, tym mniej, nie ma w tym nic wstydlivego. Anglicy zachowanie niepodległości dla Wielkiej Brytanii uważają za podstawowy i oczywisty realizm i byłiby zdumieni gdyby ich ktoś posądził o romantyzm. Przystępując do EWG Anglia zrezygnowała z części swej suwerenności. Lecz suwerenność jest niezbędna choćby dlatego, by móc częściowo z niej zrezygnować. Anglia rezygnując z odłamka suwerenności zyskała instytucjonalny wpływ, tzn. ułamek suwerenności, w Komisji Europejskiej. W rezultacie Wielka Brytania nie zrezygnowała z niczego tylko zamieniła część suwerennych uprawnień jednego typu na częściową suwerenność innego rodzaju.

Natomiast Polska i inne kraje satelickie utraciły nie część lecz całość swojej suwerenności nie zyskując niczego w zamian.

Przypominając nieustannie Zachodowi, że nie zrezygnowaliśmy z naszych celów maksymalnych — nie działamy w sprzeczności z podstawowymi zasadami cywilizacji zachodniej — choć możemy działać w sprzeczności z bieżącą polityką Zachodu dyktowaną wymogami chwili. W zakresie praktycznym liczy się zawsze polityka bieżąca ponieważ w ramach polityki bieżącej wygrywa się lub przegrywa wybory. Przywrócenie niepodległości krajom satelickim jest propozycją odległą i niewymierną w kategoriach planowania politycznego. Z tej przyczyny Zachód nie narazi nigdy na niepowodzenie swojej polityki bieżącej wysuwaniem postulatów, których realizacja byłaby powitana życzliwie pod warunkiem, że dokonałaby się bez wysiłku i ryzyka ze strony Zachodu.

Jeżeli moje przewidywania okażą się słuszne — imperium sowieckie skazane jest na upadek w każdym wypadku. Gdyby

przyjąć fantastyczną supozycję, że Sowiety wchłoną całe Niemcy i wciela państwa satelickie — Kreml uwielokrotniłby tylko taką polityką swój problem narodowościowy redukując naród imperialny, tzn. Rosjan, do statusu mniejszości we własnym supermocarstwie. Wyłączając wojnę z Chinami — kto wie czy nie byłaby to najkrótsza droga wiodąca do upadku sowieckiego imperium. I dlatego Rosjanie tego nie robią. Boją się wpływów polskich, polskiej kultury, polskiego katolicko-rzymskiego nacjonalizmu — przemianowanie 33 milionów Polaków na rzeczywistych obywateli sowieckich byłoby szaleństwem. Rosjanie tego nie zrobią ponieważ politycy sowieccy popełniają błędy, lecz nie pełnią szaleństw.

Moim zamierzeniem było napisać artykuł poświęcony polskiej *Westpolitik*. Lecz w gruncie rzeczy w naszej sytuacji nie można wyodrębnić programu zachodniego. Nasz program zachodni będzie sukcesem tylko wówczas gdy nasz program wschodni będzie sukcesem. Tylko wtedy gdy po odzyskaniu niepodległości zdołamy uładować nasze stosunki z sąsiadami wschodnimi — zdołamy oprzeć się naciskowi zjednoczonych Niemiec. Francja i Anglia nie życzą sobie supermocarstwa niemieckiego w środku Europy — lecz Paryż i Londyn poprą Polskę pod warunkiem, że Polska z uładowaną granicą wschodnią stanowić będzie kartę, na którą warto postawić.

Polsce usiłującej odebrać Ukraincom Lwów na wschodzie i usiłującej bronić Wrocławia na zachodzie — nikt nie zaoferuje pomocy czy poparcia. Zachód w takiej sytuacji byłby tylko — w imię porządku i pokoju — notariuszem, gotowym do zalegalizowania jeszcze jednej naszej klęski.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Korespondencja z Rzymu

Widmo wojny religijnej

Pamiętam doskonale dni euforii w okresie „odwilży”, przed, w czasie i po „przełomie” październikowym w 1956 roku — dyskutowało się wtedy w „Krzywym Kole” i na zebraniach Klubu Inteligencji Katolickiej m.in. na temat postulowanej przez rzeczników odnowy neutralizacji światopoglądowej i ideologicznej Państwa w dziedzinie wychowania i oświaty publicznej. Postulat ten znalazł nawet wyraz na łamach *Po prostu*, ale nowe kierownic-

two od początku ustosunkowało się doń negatywnie jako do „rewizjonistycznego odchylenia”, orzekając że oznacza to zamach na „przywódczą rolę partii”. Antydemokratyczny, reakcyjny kurs Gomułki szybko położył kres wszelkim złudzeniom w tej materii.

Upłynęło 17 lat. W marcu br. tzw. Raport Komitetu Ekspertów o stanie Oświaty oraz uchwała sejmowa (z kwietnia br.) „O zadaniach narodu i państwa w wychowaniu młodzieży i jej udziale w budownictwie socjalistycznej Polski” nie tylko pomijają postulat neutralizacji ideologicznej państwa, ale wprowadzają ateistyczny program wychowawczy oraz daleko idące zmiany w strukturze oświatowej, kładąc nacisk na niezastąpioną rzekomo funkcję państwa (tj. partii) w zakresie szkolnictwa i wychowania. Projekt reformy szkolnej wprowadza nowe pojęcie tzw. szkół zbiorczych, które mają być głównie organizowane w okręgach wiejskich i nowych osiedlach przemysłowych oraz zajęcia popołudniowe w szkołach miejskich, uniemożliwiając tym samym naukę religii w punktach katechetycznych i ograniczając możliwość wpływu wychowawczego domu i rodziny. Uchwała sejmu przeszła jednogłośnie przy pięciu głosach wstrzymujących się Koła posłów „Znak” (na komisji sejmowej oświaty zabrał przedtem głos poseł Stomma, polemizując z treścią uchwały i wysuwając szereg poprawek — nieprzyjętych, jak było do przewidzenia).

Episkopat uderzył po raz pierwszy na alarm w dn. 21-22 marca br. Komunikat konferencji plenarnej stwierdza, że w związku z planowaną przez władze państwowe reformą systemu oświaty i wychowania „Konferencja uchwaliła i przesłała list do Sejmu PRL, w którym postuluje, aby nowy system oświaty uwzględniał naturalne prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z ich przekonaniami religijnymi”. W krótkim czasie ogłoszono dalsze dokumenty: list pasterski odczytany w dniu 3 maja pt. „Wezwanie episkopatu Polski do narodu w obronie życia religijnego”, kazanie Prymasa na Jasnej Górze „W obronie religii chrystusowej i bezpieczeństwa ojczyzny”, komunikat konferencji plenarnej biskupów z dnia 4-5 maja, słowo pasterskie „W sprawie reformy wychowania dzieci i młodzieży”, odczytane 3 czerwca. Wszystkie te dokumenty stwierdzają, że projekt reformy zagraża wychowaniu religijnemu ponieważ oddziaływanie domu rodzinnego jest zredukowane do minimum, a nauka katechizmu praktycznie uniemożliwiona; przypominają również rodzicom prawo do wychowywania dzieci zgodnie z ich przekonaniami i zawierają dramatyczny apel, by bronili tego prawa przy użyciu dostępnych środków.

Partia utrzymuje że „szkoła zbiorcza” stanowi jedyne rozwiązanie wobec tego że istnieje brak kadry nauczycielskiej (!), a przeszło 1/4 szkół posiada tylko jednego nauczyciela. Wysuwany jest

ponadto argument wskazujący na konieczność popołudniowych zajęć szkolnych ponieważ „rodzice pracujący nie mogą zajmować się wychowaniem dzieci a Państwo nie może biernie przyglądać się wykołajaniu młodego pokolenia”. Replikuje na to Prymas:

„W projektach reformy szkolnictwa wysuwa się wnioski wprost monstrualne: aby zagwarantować jednolitość procesu wychowawczego, należy zatrzymać dzieci i młodzież jak najdłużej w budynku szkolnym. A więc wnioski wprost odwrotne aniżeli powinno się wyprowadzić. Jeżeli bowiem widzi się rozbieżność między możliwościami wychowawczymi rodziny i szkoły, należałoby najpierw zbadać w jakich warunkach żyje rodzina, pracuje ojciec i matka. Czy to, że matka musi dopracowywać do zarobków głowy rodziny, zostawiając dzieci nieraz bez opieki lub na ulicy — pomaga narodowi, czy mu szkodzi? Jeśli dzisiaj jest tyle narzekania na młodzież, a nawet na dzieci, jeśli wypisuje się mnóstwo artykułów krytycznych na temat wychowania, to czy nie należałoby pomyśleć głębiej i zastanowić się nad przyczyną tego stanu rzeczy. A może trzeba poprawić warunki bytowe rodziny i stworzyć takie warunki ekonomiczne dla pracy ojca, aby jego trud i rzetelny wysiłek dawał mu osiągnięcia wystarczające na utrzymanie rodziny i wychowanie dzieci na poziomie odpowiadającym środowisku i potrzebom życia rodzinnego. A jeśli praca matki jest niezbędna ze względu na jej wysokie kwalifikacje zawodowe, co wśród kobiet polskich często się zdarza i stanowi zjawisko dodatnie — czy nie należałoby pomyśleć o tym jak im ulżyć, aby matka pracująca zawodowo i w rodzinie, mogła zamiast 14 lub 20 godzin pracować 8 czy 7 godzin dziennie. Widzimy jak wczesnym rankiem wiele matek z dzieckiem w wózku lub na rękę spieszy się aby je oddać do żłobka i co tchu biegnie do pracy. A później, po pracy, znowu co tchu — po dziecko, do domu i krzątania do północy. I tak bez końca. Taka sytuacja jest niesprawiedliwa, niedopuszczalna, jest wyzyskiem pracownika, bo jest niedocenianiem wkładu kobiety, a często obojga rodziców w wychowawcze zadania rodziny. A przecież jest to największy wkład w życie narodu i państwa”.

Argument o rzekomej użyteczności społecznej projektowanych „szkół zbiorczych” i obowiązkowych zajęć popołudniowych, słowo pasterskie z 3 czerwca zbija następująco:

„Dziecko posiadające dom rodzinny będzie w praktyce wychowywane przez przymusowy 'Dom Dziecka', bo nie inaczej trzeba nazwać projektowane szkoły zbiorcze. Odbije się to z całą pewnością niekorzystnie na kształtowaniu osobowości dziecka. W czasie zajęć popołudniowych młodzież zmuszona będzie przez cały dzień przebywać w tej samej atmosferze, wśród tych samych murów, w tych samych rygorach szkolnych, w otoczeniu tych samych ludzi. Tymczasem dziecko potrzebuje zmiany i odprężenia, które zapewnia mu dom rodzinny. Doświadczenia z 'Domem Dziecka' wykazują że nie jest w stanie zastąpić środowiska domu rodzinnego, w którym kształtują się naturalne więzy międzyludzkie i rozwijają uczucia, które posiadają ogromne znaczenie wychowawcze. Rodzina jest też najkorzystniejszym środowiskiem dla formowania postaw moralnych, które stanowią fundament ładu społecznego... Zamierzone zmiany w organizacji oświaty utrudnią również niełatwą sytuację nauczycieli, wiążąc ich na cały dzień ze szkołą. Ograniczy to swobodę osobistą i pogorszy warunki życia rodzinnego wychowawców, pozbawi też niezbędnego odprężenia po wyczerpującej pracy szkolnej”.

Episkopat zajął również stanowisko wobec przymusowej fuzji organizacji młodzieżowych, a zwłaszcza przekształcenia ZSP (apolitycznego Zrzeszenia Studentów Polskich) w Socjalistyczny Związek Studentów Polskich:

„Episkopat wsłuchuje się w niepokój setek tysięcy młodzieży wierzącej w związku z powyższymi odgórnie decyzjami w sprawie organizacji młodzieżowych na wyższych uczelniach. Biskupi widzą w tych decyzjach zagrożenie przekonań katolickich młodego pokolenia inteligencji akademickiej. Przypominamy że zawarta w Konstytucji zasada wolności sumienia wyklucza stosowanie jakiegokolwiek nacisku w sprawach światopoglądowych. Wyklucza też stawianie kogokolwiek w sytuacji przymusu wbrew przekonaniom. Wyklucza wreszcie wszelką dyskryminację w stosunku do obywateli wierzących, a zwłaszcza w stosunku do wierzącej młodzieży. Episkopat Polski czuje się zobowiązany wesprzeć moralnie studentów, których wciąganie wbrew ich sumieniu w obcą im ideologię pozbawia koniecznych dyspozycji duchowych”.

Na ten sam temat mówił także kard. Wojtyła, którego partia do niedawna jeszcze próbowała przeciwstawiać Prymasowi jako rzekomo „elastycznego, skłonnego do kompromisu, umiarkowanego” itp. W kazaniu wygłoszonym w czasie procesji Bożego Ciała w Krakowie (21 czerwca) kard. Wojtyła oświadczył m.in.:

„Niepokoi nas fakt, że całą młodzież akademicką usiłuje się wprowadzić do jednej organizacji, dając też określoną kierunek światopoglądowy. Przesłanki teoretyczne i wieloletnie doświadczenie wskazują z oczywistością na to, że chodzi tu o wychowanie w duchu marksistowskim i ateistycznym. Więc pytają ci młodzi: w jaki sposób ja, człowiek wierzący, mam się tam zmieścić? Co wy sobie myślicie o moim sumieniu? Te pytania do nas docierają; to są pytania prawdziwe, zrodzone z poczucia godności człowieka, duchowej wolności, odpowiedzialności za swoją wiarę, za swoje przekonania. Młodzież mówi: nie możemy udawać i nie każcie nam udawać. Nie zmuszajcie ludzi do tego, aby jako wierzący musieli kryć się ze swoimi przekonaniem”.

Kościół w kraju bije szczególnie na alarm z powodu „zagrożenia wiary przez propagowany ateizm” („potęguje się w szkolnictwie i także w środkach masowego przekazu”), ale zagrożenie to widzi po raz pierwszy może jako część składową zamachu na swobody obywatelskie w ogóle. Prymas określa ten zamach jako „zagrożenie podcinające korzenie całego naszego ładu wewnętrzny i bytu narodowego, podważające bezpieczeństwo ojczyzny”. Kardynał Wojtyła w przemówieniu do duchowieństwa ostrzegł wyraźnie partię przed próbą łamania Konwencji międzynarodowej zakazującej wszelkich form dyskryminacji oraz Karty Praw Człowieka. Z wiarygodnego źródła dowiaduje się, że episkopat nosi się z zamiarem przedłożenia skargi na forum ONZ, jeśli reżym nie wycofa się z obranej drogi zamachu na prawa jednostki.

Odpowiadając natomiast pośrednio na artykuły w *Trybunie Ludu* i *Życiu Warszawy*, które w obronie projektowanej ustawy

o reformie szkolnej powołały się na przykład reorganizacji szkolnictwa w ZSSR i NRD (zabrakło jedynie „znormalizowanej” przez reżym okupacyjny Czechosłowacji). Kard. Wojtyła stwierdził dobitnie:

„Wiemy co to znaczy wolność duchowa człowieka, bo nieraz próbowano tę naszą wolność deptać. I dlatego zwracamy się do wszystkich ażeby to rozumieli i wspaniałego dziedzictwa naszych dziejów — poszanowania godności człowieka, jego sumienia i religii — nie przekreślali w imię żadnych interesów doraźnych, w imię czyichkolwiek programów. To jest nasza Ojczyzna! Szkoła w Polsce jest polską szkołą! Chodzą do niej dzieci katolickich rodziców, a stanowimy w tym narodzie olbrzymią większość”.

Władze PRL zneglizowały dotąd postulaty, apele i przestrogi episkopatu. W prywatnych rozmowach z biskupami starają się minimalizować sprawę, twierdząc że nie występują przeciwko punktom katechizacji, a nawet obłudnie oburzają się na energiczną kontrakcję episkopatu, mając, jak zwykle, szczególne pretensje do osoby Prymasa. Prymas zaś odpowiada: „Sejm zaprosił do ogólnonarodowej dyskusji — dlaczego zatem partia oburza się kiedy Kościół wyraża swą opinię”. Próby uspakajania duchowieństwa oraz rozładowania napiętej atmosfery i zapalnych nastrojów wśród społeczeństwa (zwłaszcza na wsi i w małych miastach) wywołały przypuszczenie, że projekt reformy, jeśli nawet zostanie zatwierdzony w obecnej wersji, nie będzie egzekwowany głównie z racji gospodarczych. Są eksperci, którzy wysunęli istotnie zastrzeżenia z czysto praktycznego punktu widzenia (opinie ich oczywiście nie są publikowane), zwracając uwagę na brak środków finansowych na realizację reformy (transport dzieci do „szkół zbiorczych”, budowa kuchni i urządzeń sanitarnych, koszty wyżywienia, dodatkowe płace personelu itp.). Partia znalazła wyjście: zamierza mianowicie nałożyć na rodziców przymusową partycypację w kosztach reformy, co oczywiście obciąży dodatkowo budżet rodzinny, podobnie jak dzieje się to w odniesieniu do przedszkoli, ongiś bezpłatnych*.

Jakimi motywami kierowała się partia podejmując tę nieoczekiwaną operację i jakie cele zamierza osiągnąć? Zdania są podzielone. Jedni twierdzą że Gierek bez nacisków ze strony Moskwy nigdy nie podjąłby tak niepopularnej (i kosztownej) reformy — zależy mu bowiem na zachowaniu pokoju wewnętrznego dla przeprowadzenia programu uzdrowienia gospodarczego; inni, natomiast, utrzymują że presja sowiecka stanowi jedynie wymówkę szeptaną przez inteligentniejszych funkcjonariuszy partyjnych, że partii chodzi przede wszystkim o odzyskanie wpływu na mło-

* Prasa krajowa z dn. 5. 8. 73 donosi, że od września br. rozpocznie już pracę ponad 700 gminnych „szkół zbiorczych”. (Red.).

dziez, która nie tylko wypadła zupełnie spod jej kontroli, lecz przyjęła „antysocjalistyczne”, „nihilistyczne” lub wręcz „anarchizujące” wzorce postaw. Trzeźwiejsi ludzie z kierownictwa zdają sobie sprawę że o „odzyskaniu” wpływów czy „pozyskaniu” młodzieży nie może być mowy — idzie więc raczej o stworzenie warunków uniemożliwiających rebelię antypartyjną. Niektórzy działacze katolicycy uważają natomiast, że ta akcja stanowi nacisk na episkopat typu przetargowego. Inni jeszcze, mniej liczni (ale prawdopodobnie ci właśnie są najbliższymi prawdy) przypisują rozpetaną kampanię wokół reformy wychowania i szkolnictwa powszechnej w Demokratjach Ludowych tendencji do wzmocnienia ideologiczno-politycznej spójności zachodniej flanki ZSSR w przewidywaniu konieczności pewnych koncesji na rzecz Zachodu w zakresie respektowania praw człowieka i wolnego krążenia osób, idei i informacji, jak również w postaci wycofania garnizonów sowieckich; idzie więc o to by utrzymać *status quo*, tzn. monopol partii i ścisłą kontrolę nad newralgicznymi odcinkami życia zbiorowego. Niektórzy dodają, że powierzenie nadzoru nad całą operacją takim miernotom jak Szydłak i Szlachcic zawiera w sobie ryzyko wskrzeszenia anachronicznego obskurantyzmu: wojny religijnej skierowanej faktycznie nie przeciwko episkopatowi, lecz przeciw przyniatającej większości społecznej chłopско-robotniczo-urzędniczej (inteligencja reaguje słabiej). Na czerwcowej „naraździe” w Warszawie „przedstawiciele nauk humanistycznych krajów socjalistycznych”, tenże Szlachcic, występując w imieniu gospodarzy, zaatakował w typowo stalinowskim stylu „prawicowe i reakcyjne elementy w episkopacie, dążące do zaognienia sytuacji”.

Po przegraniu przez partię stawki w rozgrywce o młodzież nowy etap „walki o duszę narodu”, rozwijający się pod złowieszczym znakiem widma wojny religijnej, zadaje ponownie kłam wszelkiemu reklamowaniu tzw. nowego kursu Gierka. Pewne postępy na odcinku gospodarczym nie oznaczają że nowa ekipa kierownicza odznacza się rozważą większą od poprzedniej, nie mówiąc już o takim samym rażącym braku poczucia godności narodowej i odpowiedzialności za elementarne interesy państwa.

Zwrot w watykańskiej polityce wschodniej?

Watykańska „szkoła dyplomatyczna” zademonstrowała ponownie swój kunszt, cokolwiek dałoby się powiedzieć o niepokojących czasem meandrach współczesnej linii polityki zagranicznej Stolicy Apostolskiej. Oficjalny komunikat, przekazany 2 sierpnia prasie włoskiej i międzynarodowej, o zmianach „na szczycie”

dplomacji watykańskiej zaskoczył kompletnie nawet najbardziej wtajemniczonych obserwatorów. Abp Casaroli, sekretarz Rady do Spraw Publicznych Kościoła (odpowiednik ministerstwa Spraw Zagranicznych), utracił trzech najbliższych współpracowników: podsekretarza w tejże Radzie mons. Gaspari, mianowanego delegatem apostolskim w Meksyku, radcę nuncjatury (ranga dyplomatyczna) mons. Cheli, zastępcę do spraw negocjacji z krajami komunistycznymi (w ostatnich latach negocjował porozumienia z Budapesztem, Pragą i Berlinem wschodnim), mianowanego stałym obserwatorem przy ONZ oraz radcę nuncjatury mons. Furlo, mianowanego nuncjuszem w Peru. Odwołany został po 10 latach ze stanowiska przy ONZ mons. Giovannetti, wybitny „amerykanolog”, jeden z najbardziej wytrawnych znawców prawa i stosunków międzynarodowych. Jego przysły „przydział” nie jest dotąd znany. Stanowisko opróżnione przez mons. Gaspari zostało powierzone mons. Silvestrini, od z górami 20 lat funkcjonariuszowi Sekretariatu Stanu (odpowiednik urzędu prezydium Rady Ministrów). I wreszcie „bomba”: utworzenie nowego stanowiska „nuncjusza apostolskiego do specjalnych poruczeń”, analogicznego do „podróżującego ambasadora” w misjach szczególnej wagi, typowego dla dyplomatycznej praktyki anglosaskiej. Niektóre dzienniki włoskie natychmiast przyrównały nowe stanowisko do funkcji sprawowanych w Administracji Nixona przez jego asystenta do spraw bezpieczeństwa i polityki zagranicznej, nazywając piastującego nowy urząd „watykańskim Kissingerem”. Kompetencje „nuncjusza do specjalnych poruczeń” są zakreślone niezwykle szeroko: będą mu powierzone „zadania szczególnie poufne”, „misje przewodniczenia delegacjom na konferencjach międzynarodowych i udział we wszelkich spotkaniach, w których Stolica Apostolska jest bezpośrednio zainteresowana”. Z wyjaśnień rzecznika Watykanu wynika, że nowy „nuncjusz do specjalnych poruczeń” będzie odpowiedzialny (w randze ambasadora pełnomocnego) za negocjacje i kontakty szczególnie „delikatne” z krajami, z którymi Watykan nie posiada dotąd stosunków dyplomatycznych, a więc zwłaszcza z krajami obozu komunistycznego. Nominację na nowe stanowisko otrzymał monsignor Luigi Poggi, nuncjusz apostolski (przebywał w ostatnich latach w Ameryce Łacińskiej), b. funkcjonariusz Sekretariatu Stanu (przez z górami 20 lat), gdzie kierował sekcją do spraw wschodnio-europejskich, za pontyfikatu Piusa XII i Jana XXIII (nie istniała jeszcze wówczas Rada d/s Publicznych Kościoła). Mons. Poggi mówi i czyta nieco po polsku i jest doskonale obeznany z problematyką i historią krajów Europy Wschodniej. „Jest wielkim naszym przyjacielem” — powiedział jeden z przedstawicieli polskiej hierarchii kościelnej. Jak należy interpretować tę nominację? Nie ulega wątpliwości że

ogłoszone zmiany personalne, a zwłaszcza utworzenie nowego stanowiska oznaczają *diminutio* (z łaciny: zmniejszenie) według mego kompetentnego rozmówcy watykańskiego, tzn. ograniczenie dotychczasowych funkcji (i wpływów) mons. Casaroli jako kierownika „ministerstwa Spraw Zagranicznych”. Czyżby w praktyce chodziło o analogię do układu istniejącego w Stanach, gdzie oficjalny szef dyplomacji, Sekretarz Stanu W. Rogers, usunięty został w cień przez H. Kissingera, faktycznego sternika polityki zagranicznej i głównego negocjatora? Czas dopiero pokaże czy analogia ta ma pokrycie w rzeczywistości, tymczasem rozeszły się już pogłoski że mons. Casaroli opuści kierownictwo dyplomacji i przejdzie na odcinek duszpasterski, otrzymując prestiżową godność i stanowisko szefa archidiecezji w Turynie.

Przesunięcia w dyplomacji, a szczególnie nominacja „nuncjusza do specjalnych poruczeń” stanowią przejaw rosnącego zaangażowania Watykanu w politykę międzynarodową pomimo tradycyjnego i formalnie wyznawanego neutralizmu. Nowe podejście do zagadnień międzynarodowych znalazło w ostatnich latach wyraz w udziale Stolicy Apostolskiej w konferencji paneuropejskiej w Helsinkach, w działalności na terenie ONZ i różnych misjach mediacyjnych (*buoni uffici*) powierzanych *nota-bene* nie tylko własnym kanałom dyplomatycznym, ale pośrednictwu stron trzecich (nawet włoskiej partii komunistycznej w związku z próbami pokojowego rozwiązania konfliktu w Wietnamie, co niedawno zostało ujawnione).

Wprowadzone zmiany, a zwłaszcza utworzenie nowego stanowiska, rzutują na watykańską *Ostpolitik*, świadcząc, według dobrze poinformowanych kół, o rozbieżnościach w ocenie „otwarcia na Wschód”, szczególnie wobec ZSSR. Wiadomo że mons. Gaspari uchodził za przeciwnika tego „otwarcia”, którego z kolei mons. Cheli był oddanym i entuzjastycznym wykonawcą. Obaj opuścili więc centralę dyplomacji z racji przeciwności. Czy chodzi o typowy przykład tradycyjnej watykańskiej gry dyplomatycznej, operującej na podwójnym torze (*politica a doppio binario*)? Trudno na to odpowiedzieć „na gorąco”, trzy dni zaledwie po ogłoszonych zmianach. Na osłabienie pozycji (jeśli nie wręcz na odstawkę) mons. Casaroli rzuca pewne światło sensacyjny artykuł zamieszczony w tygodniku *Der Spiegel* (16 lipca br.). Oto najbardziej charakterystyczny fragment:

„Także papież ma nową politykę wschodnią. Chee on doprowadzić do normalizacji stosunków z Moskwą — kosztem polskiego Kościoła... Polski Książe Kościoła Stefan kardynał Wyszyński, przebywając w Rzymie (w listopadzie ub.r. — przyp. mój) zamówił sobie na rozmowę arcybiskupa Agostino Casaroli, quasi ministra Spraw Zagranicznych papieża, do gościnnego domu Watykanu — w celu zbesztania go. Doszło do jego uszu — twierdził

Wyszyński — że Casaroli pertraktuje z Kremlem w sprawie uznania polskiej granicy wschodniej przez Watykan i z rządem w Warszawie w sprawie utworzenia apostołskiej nuncjatury. W obu wypadkach bez informowania o tym kierownictwa polskiego Kościoła, nie mówiąc już o pytaniu tegoż o zgodę. O ile Casaroli myśli w dalszym ciągu utrzymywać te tajne kontakty z polskimi i sowieckimi komunistami, to Wyszyński będzie osobiście zabiegać, by Casaroli stracił swe dotychczasowe wpływy stanowisko jako przewodniczący Rady d/s Publicznych Kościoła (taki jest oficjalny tytuł papieskiego ministra Spraw Zagranicznych) i został karnie przeniesiony do nieznaczącej diecezji na włoską prowincję. Zbyt głośna dysputa między kardynałem a biskupem oświetliła scenę, która zgodnie z życzeniami Watykanu powinna pozostać w mroku. Stolica Apostołska i Kreml są bowiem bliskie normalizacji wzajemnych stosunków. Tak w każdym razie widziana jest aktywność abp. Casaroli, najbardziej wpływowego rzecznika polityki odprężenia w otoczeniu papieża, przez Wyszyńskiego i innych przeciwników nowej papieskiej polityki wschodniej. Oni (tzn. Wyszyński i inni) żądają od Kremła ustępstw i koncesji...”

Belgradzka gazeta *Polityka* poszła o krok naprzód, widząc jeszcze dalsze skutki watykańskiej *Ostpolitik*:

„Lepsze stosunki międzypaństwowe między Moskwą a Watykanem mogą być unaocznione całemu światu poprzez wizytę papieską u moskiewskiego Patriarchy Pimena. Naturalnie Paweł VI byłby wtedy również gościem Kremła”.

Rzecznik episkopatu polskiego, jak doniosła prasa zachodnia, zdementował „kategorycznie” krążące pogłoski na temat kontrowersji pomiędzy Prymasem a mons. Casaroli, sprowokowane głównie przez rewelacje ogłoszone w *Der Spiegel*. Niemiecki tygodnik powołuje się jednak na informacje ze źródła wiarygodnego, zasługującego na pełne zaufanie. Prawdopodobnie chodzi o czynniki zainteresowane (w NRF i w Watykanie) jeśli nie wręcz w zablokowaniu *Ostpolitik*, to przynajmniej w stopieniu jej ostrza, tzn. jej dotychczasowego kierunku, nastawionego jednostronnie na „dialog” z Moskwą ze szkodą dla interesów krajów satelickich. Jak bardzo zresztą mons. Casaroli zabiegał dotąd o synchronizację watykańskiej polityki wschodniej ze zbliżeniem amerykańsko-sowieckim i „trójbiegunową” grą Nixona, sprowadzającą się do zachowania równowagi strategiczno-politycznej pomiędzy USA, ZSSR i Chinami, świadczy pewien „drobny” fakt zbagatelizowany przez prasę zachodnią. Tydzień po trzecim spotkaniu ekumenicznym w Zagorsku delegacji watykańskiej z przedstawicielami Cerkwi Wszechrosji, na posiedzeniu Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie w dniu 14 czerwca delegat Watykanu mons. Luoni wygłosił pochwałę Chin Ludowych, oświadczając m.in.:

„Mam nadzieję że nie wprawię nikogo w zbytne osłupienie, wskazując na przykład chiński jako na model rozwoju społecznego, respektujący war-

tości kulturalne znamionujące ten wielki naród, zachowując naturalnie wszelkie zastrzeżenia wobec ideologii i systemu politycznego Chin”.

Wracając do „tajnych” kontaktów Casaroliego, ujawnionych przez *Der Spiegel*: przy całym szacunku dla *dementi* polskiego episkopatu i mając na uwadze interesy szczególnej wagi Kościoła w kraju, nie da się pominąć faktu, nie ulegającego najmniejszej wątpliwości, że Warszawa usiłuje od pewnego czasu (pomimo zerwanych od przeszło roku oficjalnych negocjacji) utrzymać otwarty kanał kontaktowy i dlatego amb. Sidor w Rzymie odbywał regularne spotkania z mons. Casaroli, spotkania oczywiście nieoficjalne i otoczone „tajemnicą”. Rozmowy te nie mogły naturalnie przynieść żadnego konkretnego rezultatu, zwłaszcza wobec zaognionej sytuacji w kraju na tle projektu reformy oświaty i napięcia w stosunkach Kościół-Państwo. Warszawie zależy jednak na podtrzymaniu sprzyjającego klimatu dla ewentualnego podjęcia negocjacji z Watykanem, jak również operuje nadal rachubami wygrywania „giętkiego, realistycznie nastawionego Watykanu” przeciw „autokratycznemu” i „nieustępliwemu” Prymasowi. Można przypuszczać, że te półoficjalne, i przedstawiane przez amb. Sidora jako „przyjacielskie”, kontakty z mons. Casaroli, stanowiły pewną wypadkową obustronnych interesów, aczkolwiek w stanowisku Watykanu wobec normalizacji polskich diecezji wschodnich nie zaszła żadna zmiana. Uregulowanie tej sprawy (o czym pisałem w numerze kwietniowym *Kultury*) jest uzależnione od negocjacji z Moskwą. Prymas stoi na stanowisku zachowania *status quo*, tzn. utrzymania administracji apostołskich na obszarach, pozostających w granicach PRL, a stanowiących szczątki terytorium metropolii wileńskiej i lwowskiej oraz diecezji pińskiej. Czyżby mons. Casaroli uczynił jakąś aluzję na temat możliwych koncesji na rzecz „globalnego rozwiązania” normalizacji polskiej organizacji kościelnej (tzn. uregulowania jej statusu również na wschodzie), czego domaga się reżym w Warszawie? Nie da się tego wykluczyć, ale jeśli w ogóle poruszył tę sprawę w „tajnych” kontaktach z Sidorem, to niewątpliwie postąpił niezręcznie, a za takie potknięcia w Watykanie trzeba płacić.

Topografia polityki watykańskiej nie jest łatwa do odcyfrowania. Należy obserwować posunięcia nie tylko na szachownicy dyplomatycznej. W ostatnich miesiącach można zanotować ożywiony ruch na trasie Watykan-Warszawa, odbywający się po innych torach niż dyplomatyczne. Podróżują różni dygnitarze Kurii Rzymskiej w celach informacyjnych i inspekcyjnych, związanych z działalnością poszczególnych dykasterii. W maju odbył wizytację w kilku ośrodkach (Częstochowa, Kraków, Lublin, Sejny,

Olsztyn) kardynał Tabera (hiszpan), prefekt Kongregacji Obrzędów; przebywał na Jasnej Górze akurat w dniach, w których odbywało się posiedzenie plenarne episkopatu — po powrocie do Rzymu złożył Papięzowi raport pełen pochwał dla postawy biskupów i duchowieństwa. W czerwcu bawił w kraju mons. Clarizio (Włoch), wice-prefekt Papieskiej Komisji do spraw duszpasterstwa emigracyjnego. W lipcu miał udać się do Warszawy, ale odłożył wyjazd o miesiąc z powodu choroby, kardynał Garonne (Francuz), prefekt Kongregacji Wychowania i Szkolnictwa (dawniej: Seminariów). Na jesieni wreszcie ma dojść do skutku dawno zapowiedziana podróż mons. Benelli, który dotąd nie mógł skorzystać z zaproszenia episkopatu na skutek nadmiaru pracy i odpowiedzialnych obowiązków kurialnych. Będzie to niezwykle ważna wizyta. Mons. Benelli, substytut Sekretarza Stanu, kard. Villot (odpowiednik premiera) uchodzi za czołowego eksponenta konserwatywnego skrzydła w Kurii Rzymskiej i często, w uproszczonych sądach świeckich obserwatorów, przeciwstawiany mons. Casaroli, bywa przedstawiany jako przeciwnik watykańskiej polityki wschodniej, a także jako niezyczliwie nastawiony do Polski. Nie ma nic bardziej bałamutnego, a nieraz i szkodliwego dla naszych interesów narodowych, od mechanicznego przenoszenia na grunt watykański ocen, terminów i formuł przyjętych w laickim języku politycznym. W czysto personalnym wymiarze mons. Benelli reprezentuje inny typ temperamentu niż jego „adwersarz” mons. Casaroli: jako wytrawny wysoki funkcjonariusz centralnej administracji Kościoła nie daje się ponosić entuzjazmowi, zwłaszcza w materii tak delikatnej i najeżonej trudnościami jak polityka „otwarcia” na Wschód; jest na pewno przeciwnikiem fałszywie pojętego, a tak modnego dziś progresizmu katolickiego i nader rozważnym ekspertem w podejściu do zagadnień międzynarodowych. Nie jest ścisłe, że jakoby przeciwstawia się „nowej” polityce wschodniej — jest po prostu bardziej sceptyczny i ostrożny; jest, jak można mniemać, zwolennikiem innej metody negocjowania, innego prawdopodobnie ukierunkowania tej polityki i większego liczenia się ze zdaniem zainteresowanych lokalnych episkopatów. Nie odpowiada też prawdzie obiegowa opinia o jego rzekomo niezyczliwym nastawieniu do spraw polskich: według wiarygodnych źródeł żywi wielki respekt dla postawy i linii kierownictwa polskiego episkopatu, czemu dał wyraz kiedy na wiosnę ub. roku dał bez zastrzeżeń swą aprobatę (wbrew: rachubom nacjonalistycznych kół niemieckich, które liczyły na jego veto) dla decyzji o normalizacji diecezji zachodnich.

Oba fakty: zmiany w dyplomacji watykańskiej, a zwłaszcza nominacja mons. Poggi oraz przyszła wizyta w kraju mons. Benelli każą patrzeć z pewną dozą optymizmu na dalszy rozwój

watykańskiej *Ostpolitik* (na jej bardziej roztropną realizację), redukując w pewnym stopniu dotychczasowe obawy „sprzedania” nas przez Watykan na rzecz „dialogu” z Moskwą.

Dominik MORAWSKI

Rzym, 5 sierpnia 1973 r.

Widziane z Brukseli

BIAŁE NOCE W HELSINKACH

(tragikomedia w 35 przemówieniach z mottem, prologiem, epilogiem i morałem)

- I. *Motto*: „Z placu Chase Manhattan nr 1 na plac Karola Marksa nr 1, to my, to zdrowy rozsądek w zagmatwanych negocjacjach między Wschodem i Zachodem. Nasz adres w Moskwie: hotel Metropol pokój 227, tel. 225 6227”.

(Z reklamy Chase Manhattan Bank w prasie anglo-saskiej).

II. Prolog:

W 1848 roku Karol Marks, ekonomista, został wspólnym wysiłkiem policji francuskiej i pruskiej zmuszony do opuszczenia kontynentu. Udał się do Anglii, największej wówczas potęgi świata kapitalistycznego. Tajny agent pruskiej KGB tak opisał wówczas ruderę w Soho, przy Dean Street, gdzie mieszkał Marks z żoną, trojgiem dzieci i nieopłacaną na ogół służącą: „Marks mieszka w jednej z najgorszych i najtańszych dzielnic Londynu. Zajmuje dwa pokoje... nie ma w nich ani jednego porządnego mebla... Na środku stoi duży staromodny stół, nakryty ceratą... rękopisy, książki, gazety leżą tam obok zabawek dzieci...”. Pruski agent nie wiedział jednak, że na tej ceracie Marks pisał *Kapitał*.

125 lat później Leonid Breżniew, szef państwa, które rzekomo urzeczywistniło idee ujęte na londyńskiej ceracie w *Kapitale*, udał się także do centrum świata kapitalistycznego. Gnany był nie przez policję, a przez politykę, mieszkał nie w ruderze a w komfortowych rezydencjach, górskiej i morskiej, prezydentów USA. W rezultacie tej wizyty Breżniew nie napisze jednak nowego „*Kapitału*” a skorzysta raczej z tego starego. Wszystko zaś pod przerażonym obliczem Marksa, który tego nie przewidział,

ale który musi na to patrzeć, albowiem, jakikolwiek byłby aktualny układ pocztu wodzów rewolucji, zajmuje on zawsze portret pierwszy z lewa.

III. Drugi pierwszy sekretarz

Choć była to pierwsza podróż Breżniewa za ocean, był to już drugi sekretarz KPZS oficjalnie w USA. 14 lat przed Breżniewem najechał USA Nikita Chruszczow. Jest kilka podobieństw: hymny narodowe te same, także odznaczenia oraz dyplomy laureatów leninowskiej nagrody pokoju, przyznane sobie w przeddzień wyjazdu, smutne oblicze Gromyki i menu oficjalnej kolacji (kawior, łosoś, barszcz, kraby, lody itd.). Reszta była zupełnie inna. Warto się tym różnicom przyjrzeć, lepiej bowiem niż sto komentarzy i deklaracji wyznaczają one sens wydarzenia.

Kiedy Chruszczow lądował w Waszyngtonie, dla „milczącej większości” Amerykanów bolszewik był czymś pośrednim między szatanem a Al Caponem, a najczęściej jednym i drugim na raz. Chruszczow nie przypadkowo więc tak zagał spotkanie ze śmietanką przemysłową USA, zebraną w wytwornym klubie nowojorskim: „Nic dziwnego, że kiedy zjawia się przed wami komunista, to chcecie go pociągnąć za ogon i sprawdzić, czy nie ma rogów”. W ciągu 13 dni pobytu, Chruszczow, skądinąd człowiek niewieźący, użył aż 40 razy imienia boskiego, nie nadaremno a właśnie po to, aby wymazać to szatańskie piętno.

Breżniew przy Chruszczowie, to prawdziwy džentelmen. W Blair House (rezydencja koronowanych gości) czuje się jak na Kremlu, nosi porządnie skrojone garnitury a nie ukraińskie rubaszki, pokazuje złote spinki i diamentowe szpilki w krawacie, pije szampa a nie „z niebieską kartką”, i przeprasza dyskretnie, kiedy go wylewa ze wzruszenia. Co prawda, ma ciągle dwie złote gwiazdeczki w klapie i pozdrawia gapiów oburącz jak bokser, ale to w USA nikogo nie dziwi. Raz tylko przesadził, kiedy w San Clemente wskoczył w ramiona dwumetrowego aktora znanego z westernów, ale ponieważ działo się to w Kalifornii, gdzie gubernatorem też jest były *gunman* z westernu, więc nikt się nie przestraszył zwłaszcza, że Breżniew, wbrew obawom, nie chciał aktora całować, a tylko uściskać.

Chruszczow w 1959 roku odbył prawdziwy *Tour de USA*. Był w kilku stanach, w mieście i na wsi, w fabrykach i uniwersytetach, macał kury i siał kukurydzę i był nawet w wytwórni filmowej w Hollywood, gdzie nikomu co prawda nie wskakiwał w ramiona, ale za to obsobaczył dyrektora i zgorszył się kanakem w wykonaniu *girls'ów*, gdzie — jeżeli mnie pamięć nie myli — najwspanialsze *dessous* pokazała moja ulubiona aktorka, ostatnio maoiстка, Shirley McLaine. Ba, co tam „*derriery*” aktorrek. Chruszczow nie zawahał się stanąć w obliczu National Press Club, podejmując najcięższą rękawicę jaką jest wyzwanie grupy zupełnie nadzwyczajnych szakali prasowych. Ale Nikita

dał sobie radę, chociaż nie brakowało pytań w rodzaju: „A co pan robił kiedy Stalin popełniał swe zbrodnie?”.

Breżniew widział Stany tylko przez 20 minut, z helikoptera. Widział zresztą przeważnie pustkę Wielkiego Kanyonu i nawet zmartwił się, że ludzie muszą w tych warunkach wegetować. Poza tym ograniczył się do poznania kilkudziesięciu ministrów, senatorów i przemysłowców oraz 175 gości na przyjęciu u Nixona, w San Clemente. Nie jest to dużo jak na 220 milionów Amerykanów. Do klasy robotniczej wyjącej z wyzysku i nędzy, Breżniew dotarł tylko poprzez TV, jeżeli posiada ona odbiorniki naturalnie.

Chruszczow w 1959 wysłał w harce, jak w turnieju rycerskim, wspaniałego ambasadora: pierwszy „Łunik” ćwierkał z księżycem. Zwiedzając fabrykę konserw Nikita mógł spokojnie, dobić gospodarzy: „No tak, wy przodujecie w produkcji kiełbas, ale my jesteśmy pierwsi na księżycu”.

Breżniew wysłał swoich harcowników po zakup zboża i zjechał do USA nie tylko po fiasku Saliuta (jeden strzał — 500 milionów dolarów), ale w czasie kiedy trzech Amerykanów gimnastykowało się w Skylabie. A kiełbas i tak jest więcej...

Ale to wszystko, powiecie, to już dziś folklor. Słusznie — w 1973 roku istota rzeczy znajduje się gdzie indziej.

Chruszczow w Stanach bez uśmiechu zapowiadał: „Jestem pewny, że komunizm zwycięży, albowiem jest to ustrój, który gwarantuje wolność i zapewnia rozkwit człowieka. Uwaga, śpieszcie się. Pewnego dnia powiemy wam 'Do widzenia', nasz pociąg was wyprzedza, zostajecie z tyłu. Ale nie martwcie się, będziemy gotowi udzielić wam naszej ojcowskiej pomocy”.

Breżniew przyjechał, aby zdążyć jeszcze wskoczyć do pociągu amerykańskiego i aby nie udzielić, a poprosić o pomoc.

Chruszczow przestrzegał z najpoważniejszą miną: „A co będzie jeżeli NRF wywoła nową wojnę światową”.

Breżniew przyjechał prawie prosto z Bonn, gdzie nie tylko nic nie mówił o wojnie z NRF, ale powiedział swemu przyjacielowi Brandtowi na pożegnanie: *Auf wiedersehen*, i to w oryginale.

Umierać za Paryż?!

Bilans wizyty był imponujący, wszystkie rekordy w podpisywaniu porozumień zostały pobite. Breżniew wywiózł dziewięć dużych układów, nie licząc drobnic, oraz jednego Lincolna-Continental (co on robi z tyłu wozami?), specjalnie dla niego wyprodukowaną fuzję z wyłobionymi na kolbie amerykańskim orłem, rosyjskim niedźwiedziem oraz inicjałami L. B. a nawet wózek golfowy (tego jeszcze nie miał). Sukces był tak piorunujący, że niektórzy strawestowali maksymę dyrektora General-Motors: „Co jest dobre dla Rosji, jest dobre dla USA”, a inni zastanawiali się: „Czy to Rosja staje się 52 stanem USA, czy też Nixon szykuje sobie stanowisko wicesekretarza KPZS po eksmi-

sji z Białego Domu". Na szczęście te złośliwości zwyczajnych zawistników nie przeszkodziły obu panom oficjalnie proklamować końca zimnej wojny oraz obliczyć zyski.

Dla USA: koniec, albo dłuższa przerwa w snach sowieckich o rewolucji światowej, pacyfikująca rolę i pośrednictwo ZSSR w Wietnamie, wyjście z Egiptu, spokój na Kubie, cofnięcie penetracji w Ameryce Łacińskiej, ewentualnie odpłacalny i niepodlegający koniunktynom dostęp do syberyjskich źródeł energii, a więc zmniejszenie amerykańskiej zależności od monopolu arabskiego w obliczu światowego kryzysu energetycznego.

Dla ZSSR: ratunek zbożowy, spokój na zachodniej flance i wolne ręce na granicy chińskiej, uznanie doktryny Breżniewa we Wschodniej Europie, postępujący proces wycofywania się USA z Europy Zachodniej czyli perspektywa finlandyzacji, a przede wszystkim technologia i kredyty, niezbędne dla przeciwdziałania rosnącej presji konsumpcyjnej wewnątrz ZSSR.

Trzeba było oczywiście zrezygnować z tradycyjnej demonologii Kremla, ale wizerunek Breżniewa jako białego gołębia z listą zakupów zamiast gałązki oliwnej w dziobku, sprawił, że np. Hariman z „krwiopijcy, współwłaściciela kopalni manganu w Gruzi lat dwudziestych” przekształcił się w „czynnego uczestnika rozwoju współpracy gospodarczej lat dwudziestych”. Słynny senator Jackson, co to broni Żydów sowieckich, z „agenta syjonistów oraz ośrodka wojskowo-przemysłowego Boeinga w Seattle”, ostał się już tylko syjonistą, albowiem w chwili kiedy *Prawda* plwała na senatora, wiceprezes Boeinga przebywał w Moskwie i szykował sprzedaż kilku „Jumbo-747” dla Kremla.

Reszta świata, jak zdradzony mąż, przejrzała na końcu. Europa Zachodnia (patrz teoria Brukselczyka o konieczności terapii szokowej czyli kopniakowej, *Kultura* nr 5/1973) znowu obudziła się za późno. Nie wiadomo co tu bardziej podziwiać: naiwność czy partactwo, ale reakcja była typowa. Najpierw pogardliwe milczenie, a potem nagłe olśnienie. Okrzyki „nowa Jałta”, spiszek super-wielkich, znowu zastąpiły wspólną akcją, nawet taki superkopniak nie potrafił nadwerężyć nacjonalistycznych barier i podziałów śmiesznych wprost na tle kopulacji w buduarze San Clemente. Ba, usiłowano nawet przykryć tę rzeczywistość, jak utratę dziewictwa. Radio France-Inter przez dwa dni w końcu lipca (a więc już po kalifornijskiej defloracji) nadało na żywo z Moskwy taki obraz ZSSR, że Francuzi powinni masowo przemieścić się za Ural, albo powierzyć co najmniej prezydenturę p. Marchais, szefowi kompartii. Nawet taki mądry polityk jak p. Edgar Faure oświadczył po powrocie z Moskwy, że w uczuciach ZSSR wobec Francji nic się nie zmieniło, że p. Breżniew pragnie wolnej wymiany ludzi i idei, co prawda domaga się on poszanowania suwerenności swego kraju, ale przecież dla Francuza jest to wymaganie najzupełniej na miejscu.

Te aberracje — jak i wynikająca z nich niezdolność podjęcia jakiegokolwiek rozumnej przeciwakcji w skali Europy — sprawiły, że dopiero po pewnym czasie dobiła się powierzchnia praw-

da, o tym, że historia się powtarza i że tak jak Francuzi w 1939 roku nie chcieli umierać za Gdańsk, tak obecnie Amerykanie wydają się tracić ochotę umierania za Paryż, ryzykowania Nowego Jorku za Hamburg czy Berlin, nie mówiąc już o Pradze. Breżniew zapewniał Pompidou, że układ o zapobieżeniu wojnie nuklearnej oznacza nowy etap w historii świata, ale my przecież wiemy, co można było załatwić w Wietnamie, na Bliskim Wschodzie, na Węgrzech i Czechosłowacji bez najmniejszej nawet aluzji do użycia broni atomowej.

Ale było już za późno. Zrękowiny się odbyły. Smutni zachodni Europejczycy skarżyli się tylko cicho, że USA sprzedały ich za tania. Smutek przeszedł w pesymizm kiedy okazało się, że z nazwy negocjacji wiedeńskich wyleciała, jak tego żądali Rosjanie, literka „B”, że więc zamiast MBFR jest już tylko MFR a oznacza, że ograniczenie sił zbrojnych w Europie Środkowej nie musi być wcale *balanced* czyli zrównoważone. O politycznej mądrości Zachodu niech świadczy fakt, iż jedynym państwem, które od dawna przestrzegało, przed utratą tego przymiotnika była... Rumunia.

IV. Od Breżniewa do Freuda

Białe noce w Helsinkach bywają upojne. Ale nie dla wszystkich, np. nie dla owego urzędnika ambasady ZSSR w Finlandii, który 2 lipca o 5-ej rano zjawił się pod bramą fińskiego MSZ. Stał spokojnie aż do otwarcia biur, nieco dygotał na skandynawskim chłodzie, ale dzięki tej operacji min. Gromyko był pierwszy na liście mówców na konferencji 35 ministrów Spraw Zagranicznych w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Nie wiadomo dlaczego tak się spieszył, albowiem — jak się okazało — nie miał nic nowego do powiedzenia. Zapropomował coś w rodzaju międzynarodowego kodeksu Bozewicza, z tą różnicą, że Bozewicz w swoje zasady honoru wierzył, a Gromyko naturalnie nie traktuje poważnie anachronizmów w rodzaju poszanowania suwerenności innych państw, szacunku dla wolności prasy, słowa, łączenia rodzin, itd.

Podobnie zachował się Rogers. A przecież była to dla niego tak rzadka okazja popisania się czymś samodzielnym, normalnie bowiem załatwia za niego wszystko Kissinger. Ale on tej okazji nie wykorzystał (poza epilogiem, o czym za chwilę). Rogers miał mówić ostatni, zorientował się jednak, że mogłoby to wywołać nieprzychylnie komentarze i podejrzenia o reżyserię (Gromyko otwiera, Rogers zamyka), więc ustąpił miejsca Watykanowi. Bezstronni obserwatorzy stwierdzili, że Rogers też niepotrzebnie przemawiał, że jego mowa była zaskakująco podobna do Gromyki, że nastąpiły nawet pewne dziwne zmiany tekstu rozdanego pod embargo. Wyleciało mianowicie zdanie następujące: „Problemy bezpieczeństwa Europy i współpracy nie mogą być rozwiązywane wyłącznie przez USA i ZSSR”. Rogers twierdził

później, że wyrzucił to zdanie z tekstu mówionego przez skromność, albowiem o czymś takim jak załatwianie przez USA i ZSSR cudzych spraw nie może być nawet mowy. Według innych, to „załatwianie” jest tak oczywiste, że nie ma o czym nawet gadać, i że słusznie wobec tego Rogers to wykreślił. Kto ma rację nie wiem, ale przekazałbym psychoanalitykowi następującą scenę. Przemawia Rogers: „Układ Nixon-Breżniew — mówi — stanowi datę w historii stosunków amerykańsko-sowieckich i powinien wzmacnić bezpieczeństwo w Europie...”. I po chwili, spojrzawszy w tekst: „... także”.

Nic dziwnego, że Gromyko do końca konferencji nie ukrywał ziewania. Powiedzmy dla jego usprawiedliwienia, że spotkanie w Helsinkach wypadło dla ZSSR za wcześnie, albo raczej za późno. Pomysł takiej konferencji jest bardzo stary. Jeszcze albo już towarzyszył Lenin... Konkretnie, zaczęło się to w 1954 roku, kiedy to znany orędownik pokoju Mołotow, na konferencji w Berlinie zaproponował najzupełnie nierealny traktat „o zbiorowym bezpieczeństwie w Europie”. Rok później powtórzył to w Genewie Bułganin też naturalnie nie przywiązując do tej propozycji żadnej wagi. Ponieważ inni też nie przywiązywali, więc pomysł spoczął w szufladach czekając na lepsze czasy. Czekał 10 lat.

Cóż, kiedy ledwo idea została wskrzeszona, to już trzeba było przerwać tokowanie, aby zapewnić w 1968 r. zbiorowe i indywidualne bezpieczeństwo Czechom i Słowakom. Ale już w marcu 1969 w Budapeszcie komunistyczny szczyt, w poszukiwaniu ścieżki do wytarcia śladów inwazji z tablicy Europy, wraca do pomysłu Mołotowa, przy czym nie bez pikanterii jest fakt, iż przewodniczący konferencji ...Dubczek. Mniejsza o ciąg dalszy. Jest on pełen niepoważnego przekomarzania się między Paktem Warszawskim a NATO, obfituje w komiczne sceny, takie jak np. wielomiesięczne wysadywanie na walizkach p. Brosio, b. sekretarza generalnego NATO, czekającego bezskutecznie na wizę do ZSSR... w sprawie rozmów o konferencji europejskiej. Wizę taką otrzymał natomiast od razu, od ręki, p. Kissinger, który pojechał do Moskwy we wrześniu 1972 oraz przy okazji ustalił z Breżniewem w try miga, między lodami a mokką, datę i warunki spotkań w Helsinkach i Wiedniu.

Zupełnie jak na zjazdach KPZS

Przypuszczam, że gdyby mogli, to panowie Nixon i Breżniew woleliby uniknąć konferencji w Helsinkach i w dalszym ciągu załatwiać wszystko w cztery oczy (doszło przecież do tego, że używali już tylko jednego tłumacza, Suchodrewa z Moskwy). Ale było już za późno. Breżniew związał cały swój prestiż z Konferencją Europejską i musiał ciągnąć sprawę do końca, choć konkretnie biorąc, niewiele zostało do zrobienia. Bo spójrzmy.

Po pierwsze — bezpieczeństwo. Bądźmy poważni. Po zakończeniu *Ostpolitik* Brandta, po podpisaniu układów w Moskwie

i Warszawie, załatwieniu sporu z Pragą, uznaniu podziału Niemiec i wpuszczeniu NRD do ONZ, program Mołotowa sprzed 18 lat został z ogromną nawiązką wypełniony. Nawet gdyby Zachód chciał, to w odniesieniu do zachodniej granicy imperium rosyjskiego już nic zagwarantować nie może. Jeżeli zaś chodzi o sprawy naprawdę ważne, liczone w megatonach, to obecność Monaco, San Marino, a nawet Watykanu (a ile papież ma dywizji, pytał Stalin) nie wiele wnosi. Istotne zagadnienia rozstrzygane są gdzie indziej. Nie, nie we Wiedniu, jak się niektórym zdaje, z udziałem Rumunii czy Belgii, a w Genewie albo ja wiem gdzie, w toku drugiej rundy SALT na temat przyszłości nuklearnej, we dwoje, dwoje, dwo...

Po drugie, współpraca gospodarcza. Śmieszne pytanie, czy kto widział żeby poważne interesy załatwiać przy 33 świadkach? Czy panowie Hammer (ten co to jeszcze z Leninem), Rockefeller, Beitz i inni czekali na Helsinki aby otworzyć biuro na pl. Karola Marksa w Moskwie, albo popukać w skorupę Syberii, żeby sprawdzić czy to się opłaca?

W sumie więc zbiegowisko w marmurowej klinice zwanej „Finlandia House” w Helsinkach przypominało Gromyce nie jakąś poważną imprezę polityczną a zwyczajną sesję ONZ, zwyczajny zjazd KPZS w pałacu zjazdów na Kremlu, czy inną uroczystą i nudną akademię z 35 przemówieniami w programie.

Czy Amalrik przeżyje do 1984 roku?

Oczywiście, co jakiś czas zdarzały się chwile ożywienia lub nawet zniecierpliwienia. Np. kiedy ministrowie z KDL prowadzeni jak na sznurku musieli w imię czystości moralnej socjalizmu torpedować próby przemycenia przez Zachód dywersji i pornografii pod płaszczykiem wolnej wymiany idei i informacji. Douglas Home marzył sobie, aby móc kupić na Dworcu Victoria w Londynie bilet i bez paszportu pojechać w dowolne miejsce Europy, Duńczyk chciał kupować prasę zachodnią w Moskwie, Norweg chciał dyskusji na żywo w TV na całą Europę, Schell chciał swobodnie łączyć rodziny itp. brednie. Oczywiście, nie potrafiło to zmącić spokoju w Moskwie. W tym samym czasie kiedy ministrowie w Helsinkach palili cygara i gaworzyli sobie na temat wolności twórczej i innej, na Magadanie „kiblowa trojka” skazywała na nowe trzy lata łagru Amalrika, co do którego można już mieć wątpliwości czy, nie tyle ZSSR ile on sam, „przeżyje do roku 1984”, cenzura odrzucała z festiwalu moskiewskiego trzy filmy angielskie, a MSZ Gromyki odsyłał pogardliwie, bez słowa wyjaśnienia, list 31 największych redakcji Zachodu o dopuszczenie ich przedstawicieli na zapowiedziany proces Jákira.

Spokój w Moskwie był tym bardziej niezmacony, że metody KGB robią karierę i poza stolicą Kraju Rad. Finlandia, kraj demokratyczny i suwerenny, aresztowała na żądanie Gromyki i pod

bokiem jego 34 kolegów, dziewięciu obywateli amerykańskich pochodzenia bałtyckiego, którzy przybyli do Helsinek aby przypomnieć, że coś się w krajach ich przodków stało przed ponad 30 laty... Ba, więcej. Niezawista marynarka fińska wyłapała na Bałtyku uciekiniera z Litwy, który wcale o to nie prosił, a tylko spokojnie płynął w gumowej dingy do rodziny w NRF (łączenie rodzin — paragraf taki a taki z Helsinek). W chwili pisania tych słów nie wiadomo czy uciekinier zdołał się uratować od wydania go Moskwie, co przewiduje układ jaki łączy suwerenną Finlandię z ZSSR. Jeżeli zostanie on wydany, to spotka się zapewne z jakimś Kudirką, też marynarzem litewskim, który kilka lat temu wydany został Rosji — przez pomyłkę naturalnie — przez marynarkę amerykańską i który dogorywa właśnie w jakimś łagrze syberyjskim.

W Oslo, stolicy Norwegii, zebrał się w lipcu światowy kongres psychoterapii. W imię apolitycznej czystości, nauki oraz aby nie urazić delikatnych uczuć delegacji sowieckiej, władze kongresu odmówiły objęcia porządkiem dziennym sprawy udziału psychiatrii ZSSR w likwidowaniu opozycji politycznej oraz sprawy zamiany szpitali dla wariatów na więzienia dla intelektualistów.

Najgłośniejszy komentarz do konferencji w Helsinkach rozległ się z Berlina wschodniego. W dniu zakończenia obrad 35 ministrów, Vopo ostrzelała z kulomiotów trzech Niemców, którzy potraktowali obrady w Helsinkach poważnie i zapragnęli skorzystać z kilku wolności naraz: wolności wyboru miejsca zamieszkania, wyboru ustroju politycznego, oraz łączenia rodzin.

V. Epilog

Schell miał rację kiedy w czasie fińskiego maratonu krasnómówczego wołał „*ceterum censeo...*” przypominając słynne zdanie Talleyranda o uczestnikach Kongresu wiedeńskiego: „Za tchórzliwi aby się bić, za głupi aby się dogadać”. Schell nie miał jednak racji kiedy myślał, że takie uczone analogie do czegoś doprowadzą. Nie po to bowiem Amerykanie i Rosjanie dogadali się w San Clemente, aby się poróżnić w Helsinkach. I dlatego właśnie Rogers prosto z Helsinek udał się do Pragi. Sam się na tę zbieżność oburzyłem na łamach prasy „obcojęzycznej”, ale po wygaśnięciu emocji nie na miejscu wszak w polityce, do szedłem do wniosku, że był to krok najzupełniej logiczny.

Amerikanin w Pradze

Oczywiście, ma ta podróż pewne cechy moralnie podejrzone, jakby powiedział ksiądz Pirożyński. Trudno np. uniknąć wrażenia, że Rogers udał się do Pragi na sugestię Breżniewa, aby wymazać ostatecznie z hipoteki sojusznika niemiłe wspomnienia inwazji (akurat dobrze wypadło — w przeddzień 5 rocznicy), że wydaje

w ten sposób władzom kolaboranckim i okupacyjnym w Pradze międzynarodowe świadectwo moralności. Trudno rzeczywiście znaleźć przekonujące uzasadnienie faktu, że to *ausgerechnet* amerykański minister Spraw Zagranicznych musiał być pierwszym z szefów zachodniej dyplomacji, który odwiedził Pragę od chwili inwazji i to jako pierwszy sekretarz stanu USA od czasu wojny w ogóle.

Rogers pojechał przeciw do Pragi w dwa tygodnie po tym jak rzecznik Breżniewa, Zamiatin, oświadczył w Waszyngtonie, iż układ USA-ZSSR w niczym nie zmienia zobowiązania Moskwy do obrony socjalizmu w kdl-ach i w trzy dni po tym jak rzecznik Gromyki, Sofinski oświadczył w Helsinkach, że inwazji w ogóle nie było, a było wołanie władz z Pragi (jakich?) o ratunek socjalizmu (przed kim?) i że w dziedzinie stosunków między ZSSR a jego sojusznikami konferencja w Helsinkach niczego zmienić nie może.

Czyżby Rogers pojechał do Pragi albowiem nie znane mu były te oświadczenia rzeczników rządu ZSSR? Nie, wprost przeciwnie. Rogers pojechał do Pragi, albowiem USA się z tymi oświadczeniami zgadzają. Rogers prywatnie tłumaczył się, że postępuje przeciw zgodnie z uchwałami Kongresu, który nakazuje utrzymywać stosunki ze wszystkimi państwami, co nie oznacza wcale sympatii dla ich ustroju. No dobrze, ale jeżeli tak jest, to dlaczego Rogers nie pojechał najpierw do Hawany...

Wszystkie zastrzeżenia natury moralnej nie mają sensu, albowiem w polityce nie należy szukać w ogóle żadnego moralnego uzasadnienia. Stany Zjednoczone, jak i inne państwa zachodnie, mają gdzieś demokrację na Wschodzie. Zachód chce dwóch rzeczy: spokoju i interesów. Interesuje go nie demokracja czy nawet marksizm Breżniewa lub Husaka a ich wypłacalność i rezygnacja z dywersji na Zachodzie. Ważna jest nie samodzielność rządu Husaka a spokój w Czechosłowacji. Czyż bowiem szerzenie hasła wolności i demokracji to nie igranie z ogniem, czyż rewolucja węgierska z 1956 roku, wiosna praska z 1968 roku, „wydarzenia” na polskim wybrzeżu w 1970 roku dadzą się pogodzić z bezpieczeństwem w Europie?

Zachód wie, że takie zabawy mogą się bardzo źle skończyć. Z drugiej zaś strony Zachód też wie, że pogrożki i pohukiwania Breżniewa i jego ludzi w krajach socjalistycznych na temat wojny ideologicznej nie mają ani sensu ani powagi, że jest w istocie wprost przeciwnie, że mianowicie Wschód uczyni wszystko, aby tej wojny ideologicznej uniknąć, albowiem nie jest w stanie podjąć żadnej, ale to absolutnie żadnej konfrontacji ideologicznej z Zachodem. Stąd przeciw wszystkim te cenzury, bariery, zatajanie przed obywatelom socjalistycznym i zakupu zboża w USA i zakupu masła w EWG i katastrofy Tu-144 pod Paryżem, stąd kryminały i obozy, utrudnienia paszportowe, zagłuszanie radia i strzelanie na murze berlińskim w dniu inauguracji festiwalu młodzieży i w dniu śmierci Ulbrichta, bo to właśnie najwspanialsza

salwa honorowa dla człowieka, który idealnie uosabiał cnoty człowieka sowieckiego.

Fenicyzacja świata

Kiedyś USA były protektorem wolności na świecie. Proszę się nie śmiać, tak było naprawdę. Nawet kiedy z początkiem XX-go wieku Stany Zjednoczone przeszły na pozycję żarłocznego imperializmu, coś z tej misji przecież zostało. Czyż USA nie należały do najbardziej zdecydowanych zwolenników dekolonizacji Afryki, czyż UNRRA nie żyła z pieniędzy amerykańskich, czyż plan Marshalla nie uratował Europy Zachodniej, czyż w 1956 roku zamiast ratować Węgry, USA nie uratowały Egiptu, tylko dlatego, że Węgry krwawiły pod kulami sowieckimi, czyli niejako swymi własnymi, a Egipt poddawał się prawie bez przelewu krwi wojskom byłych mocarstw kolonialnych. Ale to się szybko skończyło. Teraz już nie tylko Węgry i nie Kambodża, ale nikt nie powinien na USA liczyć, teraz panuje realizm, jeszcze nie soc-realizm, ale już „real-politik”.

Oczywiście, USA nie mają monopolu na zygzaki i porzucanie przyjaciół. ZSSR ma także w tej dziedzinie historię krótką ale bogatą. W Rapallo — z Niemcami przeciw Francji i Anglii, potem z Francją i Anglią przeciw Hitlerowi, z Hitlerem przeciw Polsce, Francji i Anglii, z USA, Anglią przeciw Hitlerowi, z Chinami przeciw USA, z USA przeciw Chinom, na każdym zakręcie, inny sojusznik, normalnie, jak wszyscy.

Wśród zachodnich lewicowców i wyrafinowanych intelektualistów nastała teraz moda na Chiny. Wszystkie nadzieje związane kiedyś przez ich ojców z rewolucją bolszewicką, lokują oni teraz w maoizmie. Cóż, kiedy i tam zaraza. Pekin popiera Japonię przeciw USA, USA przeciw ZSSR, nawet NATO i EWG są postępowe, kiedy trzeba przeciwstawiać się spiskowi super-mocarstw. Coraz bliższe stosunki łączą Pekin z reakcyjnym Pakistanem, cesarsko-autokratyczną Abisynią, z agentem monopolu szachem Iranu, nie mówiąc już o Hiszpanii gen. Franco, czy Grecji prezydenta Papadopolosa. W ilu z tych krajów codziennie giną rewolucjoniści z imieniem Mao na ustach albo jego wizerunkiem w klapie?

Harold Nicolson opublikował w 1954 roku swoje wykłady z Oxfordu na temat historii metod dyplomatycznych. Zapytany dlaczego nie wspomniał o dyplomacji sowieckiej, Nicolson odpowiedział: „To nie dyplomacja, to coś innego”.

To „coś innego” sprawiło, że świat wchodzi w okres fenicyzacji, kiedy ideologów zastępują kupcy, okres który za motto, hasło i program ma jedno zdanie Rogersa w Helsinkach: „Reprezentujemy 75 % produkcji wszystkich bogactw na świecie i 85 % jego wydatków na zbrojenia”. Wszystkie zachodnie wstęchnienia na temat wolności i praw człowieka nie dorównają

sile okrzyku pewnego Japończyka. Na wiadomość o zawieszeniu broni w Wietnamie wykrzyknął on: „No to teraz sobie pohandlujemy”.

VI. Morał czyli nie ma się do kogo modlić

ZSSR lansuje obecnie dylemat: albo zimna wojna albo odprężenie model San Clemente 1973. To dylemat fałszywy i zwyczajny szantaż. Pomiedzy zimną wojną a kapitulacją i fenicyzacją świata, pomiedzy wojną w Wietnamie a podróżą do Pragi, pomiedzy totalnym kryzysem raketowym a totalną wyprzedażą moralności, pomiedzy propagandową wojną a otumanianiem prasy jest jeszcze sporo możliwości. Taki dylemat to zresztą także i oszustwo, albowiem żadne odprężenie nie będzie trwałe jeżeli zbudowane będzie na nadmiernej krzywdzie ludzkiej, na cynicznym egoizmie, jeżeli z kręgu swych dobrodziejstw eliminować będzie całe narody ze Wschodu czy np. z Trzeciego Świata. Prawda o tym, że „wolność, to wolność dla innych”, a powiedziała to bardzo mądra Róża Luksemburg (na wschodzie znana tylko z „błędów luksemburgizmu”) jest silniejsza i kiedyś się przypomni, nawet jeżeli uda się Kremlowi ostatnia ofensywa, zmierzająca, w imię rzekomego pogrzebania zimnej wojny, do nałożenia knebla na prasę czy wydawnictwa zachodnie. Polega ona na piętnowaniu każdego kto myśli inaczej niż *Prawda* jako podżegacza wojennego i antysowieta, co w niektórych salonach zachodnich zaczyna uchodzić za po prostu towarzyski nietakt.

Nie byłem i nie jestem zwolennikiem zimnej wojny. Nie z powodów sentymentalnych, a dlatego, że nie odpowiada ona istocie obecnego porządku świata. Ale przestrzegam przed zimnym pokojem. Nie żałuję lat minionych, ale zimna wojna pozostawiła miejsce na złudzenia, ba, zmuszała do złudzeń i do nadziei na lepsze czasy. Ludzie modlili się, jedni do Posągu Wolności, inni do posągu Lenina, inni do posągu Mao Tse-tunga.

Zimny pokój, to koniec złudzeń. Nie ma się do czego modlić.

Wszędzie tylko posągi Shylocków...

BRUKSEL CZYK

Pisane 5 sierpnia 1973 r.

Sąsiedzi

Sułtan-Galijew - po 50-ciu latach

50 lat temu, w czerwcu 1923 roku, IV Konferencja KC WKP(b) powzięła uchwałę o osunięciu z partii Sułtan-Galijewa. W owym czasie przebywał on już od dwóch miesięcy w więzieniu. Z wielu względów aresztowanie i wykluczenie z partii Sułtan-Galijewa było faktem o wielkim znaczeniu historycznym. Przede wszystkim dlatego że, jak zaświadczył Trocki, aresztowanie Sułtan-Galijewa „było pierwszym aresztowaniem wybitnego działacza partyjnego z inicjatywy Stalina”. Po raz pierwszy również aresztowano członka partii na skutek oskarżenia o współpracę z obcym wywiadem i na podstawie „dokumentów” sfabrykowanych w GPU. Po raz pierwszy — i to jest najważniejsze — tajna policja została użyta do walki z przeciwnikiem stalinowskiej polityki popierania rosyjskiego szowinizmu. Występując na Konferencji Mykoła Skrypnik, przedstawiciel ukraińskich komunistów, określił działalność Sułtan-Galijewa jako symptom ciężkiej choroby komunizmu, spowodowanej nieumiejętnością jego wodzów prowadzenia prawidłowej polityki narodowościowej i dopuszczeniem rosyjskich szowinistów do opanowania sowieckiego i partyjnego aparatu. Skrypnik oświadczył, że Sułtan-Galijew jest „kozłem ofiarnym” bankructwa polityki partii. (W 1933 roku Skrypnik, oskarżony o nacjonalizm, popełnił samobójstwo).

IV Konferencja KC WKP(b), wykluczając z partii Sułtan-Galijewa i potępiając „sułtangalijewszczyznę”, była świadectwem zmiany charakteru polityki narodowościowej partii w ogóle, a szczególnie w stosunku do narodów muzułmańskich. W 1922 roku, w czasie opracowywania konstytucji ZSSR, Stalin wysunął projekt „autonomiczności” — przewidujący wejście wszystkich republik sowieckich w skład republiki rosyjskiej na zasadach autonomii. Jedynie w ostatniej chwili chory Lenin — obawiając się, że tak jawne odbudowane rosyjskie imperium może zagrozić władzy sowieckiej — zmusił Stalina, który już miał zgodę KC,

do zrezygnowania z tego projektu i przyjęcia zasady „federalizmu”, tj. formalnie równego związku suwerennych republik.

Aresztowanie i wykluczenie z partii Sułtan-Galijewa, które miało miejsce jeszcze przed wejściem w życie tej konstytucji, było ostrzeżeniem ze strony Stalina, by nie brać serio jej postanowień o suwerenności, równości, „prawa do wystąpienia” itd. Stalin nie przypadkowo wybrał Sułtan-Galijewa na „kozła ofiarnego”. Osądzenie „sułtangalijewszczyzny” było osądzeniem programu, który utożsamiał przyjęcie socjalizmu z odrzuceniem rosyjskiej hegemonii, programu postulującego oswobodzenie narodów muzułmańskich od kolonialnej zależności, ale odrzucającego „zachodni” marksizm.

Autor tego programu, Mir Sayit Sułtan-Galijew, urodził się około 1880 roku w rodzinie tatarskiego nauczyciela, niedaleko miasta Sterlitamaka w Baszkirii. Ukończył w Kazaniu Instytut Nauczycielski, który był w tym czasie ważnym centrum kultury muzułmańskiej. Był nauczycielem i ponadto zajmował się dziennikarstwem. W lipcu 1917 roku, po rewolucji lutowej, Sułtan-Galijew został wezwany do Moskwy celem objęcia kierownictwa sekretariatu Komitetu Wykonawczego Kongresu Muzułmańskiego. Po zakończeniu prac Kongresu wyjechał do Kazania, gdzie włączył się do prac muzułmańskiego socjalistycznego sowietu i bardzo szybko, dzięki swym wybitnym zdolnościom organizacyjnym i talentowi oratorskiemu, stał się jednym z jego kierowników. W listopadzie 1917 roku Sułtan-Galijew wstępuje do partii komunistycznej i zostaje jednym z najbardziej aktywnych współpracowników Ludowego Komisariatu do Spraw Narodowościowych, którym kierował Stalin.

W pierwszych miesiącach po rewolucji październikowej znaczna część inteligencji muzułmańskiej popierała partię bolszewicką, wierząc że komunizm odrzuca rosyjski szowinizm, że władza sowiecka przyniesie wolność narodom muzułmańskim. Podstawy do takich nadziei dał im „Apel do pracujących muzułmanów Rosji i Wschodu”, uchwalony przez Sownarkom 24 listopada 1917 roku i obiecujący pełną swobodę życia religijnego i możliwość zorganizowania „narodowego życia swobodnie i bez przeszkód”. 10 grudnia 1917 roku Sownarkom uchwała dekret o oddaniu muzułmańskiemu zjazdowi „Świętego Koranu Osmana”, przechowywanego w pietrogrodzkiej Bibliotece Publicznej. Zbliżała się wojna domowa i rząd bolszewicki starał się zwiększyć szereg swych sojuszników. Muzułmanie żyjący w zwartych grupach narodowych, czy rozrzucony w rejonie środkowej Wołgi, na Kaukazie, w Środkowej Azji i na Syberii mogli w wielu wypadkach odegrać rolę czynnika decydującego w czasie wojny domowej. Rada Komisarzy Ludowych zaspakaja wszystkie żądania muzułmanów. 1 lutego 1918 roku powstaje Centralny Muzułmański Komisariat Wewnętrznej Rosji, który był czymś w rodzaju rządu muzułmańskiego. Zajmował się on problemami pracy, gospodarstwa wiejskiego, przemysłu, oświaty, druku, finansów, sprawiedliwości, międzynarodowej propagandy, dysponując filia-

mi w 26-ciu miastach. Latem 1918 roku zostały stworzone Komitety Muzułmańskie w guberniach i powiatach, będące lokalnymi narodowymi organami władzy. Jednocześnie Centralne Muzułmańskie Kolegium Wojskowe, teoretycznie podporządkowane Narodowemu Komisarjatu do Spraw Wojskowych, a faktycznie Centralnemu Muzułmańskiemu Komisarjatu, przystąpiło do tworzenia własnych sił zbrojnych. Sułtan-Galijew, przewodniczący Kolegium Wojennego, projektuje stworzenie socjalistycznej muzulmańskiej armii dostępnej dla wszystkich muzulmanów „sympatyzujących z ideą socjalizmu” i przeznaczonej do rozpowszechnienia „socjalistycznej rewolucji we wszystkich krajach muzulmańskiego Wschodu”. W lipcu 1918 roku oddziały muzulmańskie liczyły ponad 50 tysięcy ludzi i odegrały wielką rolę w walce z białą armią Kołczaka.

W pierwszych miesiącach po rewolucji Sułtan-Galijew i wybitny działacz muzulmańskiego ruchu rewolucyjnego, Mułła-Nur Wachitow — który zginął w 1919 roku — tworzą muzulmańską partię komunistyczną, organizacyjnie niezależną od rosyjskiej Kompartii. W pojęciu jej twórców muzulmańska partia komunistyczna powinna się być stać „organem wszystkich muzulmańskich pracujących rewolucjonistów (bolszewików, lewych eserów...) przyjmujących mniej lub więcej program rosyjskiej Kompartii”. W 1923 roku, kiedy Sułtan-Galijew był już „zdemaskowany”, jeden z jego starych współpracowników twierdził, że były przewodniczący Muzułmańskiego Kolegium Wojskowego myślał o niezależnej muzulmańskiej partii komunistycznej z chwilą wstąpienia do rosyjskiej Kompartii, a może i przedtem: „Radził on nam oddzielić się od organizacji rosyjskich komunistów — szowinistów i imperialistów — by stworzyć naszą własną organizację”.

Sułtan-Galijew i jego zwolennicy dążą do stworzenia prawdziwego „państwa w państwie”, walcząc jednocześnie o eksterytorialną autonomię (muzulmańska administracja i autonomiczna partia komunistyczna) i narodową terytorialną autonomię. 23 marca 1918 roku Ludowy Komisarjat do Spraw Narodowościowych ogłasza opracowany przez M. N. Wachitowa i Sułtan-Galijewa dekret o utworzeniu sowieckiej Tataro-Baszkirskiej Republiki. Republika obejmowała ogromne terytorium południowego Uralu i średniej Wołgi z ludnością 5-6 milionów ludzi.

Zdawało się, że w lecie 1918 roku pierwsza część planu Sułtan-Galijewa — stworzenie bazy dla rozpowszechnienia „socjalistycznej rewolucji na Wschodzie” — jest zrealizowana. Wojna domowa, ciągle prowadzona na Wołdze i Uralu, była z jednej strony powodem do zaspakajania żądań muzulmańskich komunistów, z drugiej strony jednak utrudniała — dopóki trwały walki — praktyczną realizację dekretu Sownarkomu. Lecz ledwie białe armie zostały rozbite, zaledwie zagrożenie władzy sowieckiej zostało zlikwidowane, sowieci zaczęły z miejsca odbierać to, co dały muzulmanom w ciężkim dla siebie okresie.

W listopadzie 1918 roku w Moskwie odbył się pierwszy zjazd

komunistów muzulmańskich. Pod naciskiem Stalina, reprezentującego KC rosyjskiej Kompartii, zjazd decyduje się zrezygnować z nazwy Rosyjskiej Muzułmańskiej Partii. Muzułmańskie oddziały lokalne stają się częścią RKP, zaś Dekret o stworzeniu Tataro-Baszkirskiej Republiki — martwą literą. Wykorzystując sprzeciw rosyjskich komunistów wobec projektu Sułtan-Galijewa i różnice między Baszkirami i Tatarami, rząd sowiecki definitywnie grzebie Tataro-Baszkirską Republikę w maju 1920 roku. Zamiast wielkiego muzulmańskiego państwa tworzy się niewielkie autonomiczne republiki — Baszkirską i Tatarską.

Stopniowo w czasie walki o realizację swych projektów Sułtan-Galijew — coraz bardziej utwierdzając się we wrogim stosunku rosyjskich komunistów do muzulmanów — opracowuje program uwolnienia narodów muzulmańskich od narodowego i socjalnego ucisku. Program ten wydaje się Moskwie na tyle groźny, że w 1923 roku następuje pierwsze aresztowanie Sułtan-Galijewa, a później — po jego zwolnieniu i oddaniu pod nadzór GPU — następuje nowe aresztowanie w 1928 roku, skazanie na 10 lat sołowieckich łagrów i śmierć w nieznanych okolicznościach. Drugiemu aresztowaniu Sułtan-Galijewa towarzyszy bezwzględna kampania przeciw „sułtangalijewszczyźnie”, trwająca ponad 10 lat i masowe wyniszczanie kadr muzulmańskich, które osiągnęło swoje apogeum w latach 1936-1938. I dzisiaj również oskarżenie o „sułtangalijewszczyznę” jest oskarżeniem najbardziej strasznym, jakie może być wysunięte przeciwko partyjnemu czy państwowym działaczom, pisarzom i artystom sowieckich republik o ludności muzulmańskiej.

Sułtan-Galijew nie stworzył wykończonego we wszystkich szczegółach programu. Główne jego myśli znane są z artykułów, które zamieszczał w piśmie *Żyć nacjonalnostiej* w okresie sprzed swojej niełaski, z wypowiedzi jego współpracowników, z wystąpienia jego wrogów.

Doktryna Sułtan-Galijewa powstaje z przekonania, że rewolucja proletariacka nie załatwia problemu nierówności narodów. „Uważamy — mówił Sułtan-Galijew — że zamiana światowej dyktatury jednej klasy społeczności europejskiej (burżuazji) przez światową dyktaturę jej przeciwnika (proletariatu), to jest przez inną klasę tejże europejskiej społeczności, nie zmieni w sposób istotny losu uciśnionej części ludzkości (narodów kolonialnych). A jeśli nastąpią jakieś zmiany, to będą to zmiany na gorsze, a nie na lepsze”.

Sułtan-Galijew był pierwszym prorokiem walki narodów kolonialnych przeciw hegemonii Europejczyków w ruchu socjalistycznym. Był pierwszym, który odrzucił rosyjski model rewolucji, stwierdzając że rosyjska partia komunistyczna staje się „generalnym sztabem czerwonego imperializmu”, „wrogiem pracujących Wschodu”, że uniemożliwia polityczny, kulturalny i ekonomiczny rozwój turecko-muzulmańskich narodów, rozdrabniając je dowolnie na liczne grupy narodowe, by stworzyć „jedną i niepodzielną Rosję”.

„Dawna Rosja — pisał Sułtan-Galijew — która nadal istnieje osłaniając się formułą Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik, nie może ostać się przez dłuższy czas. Sowiecka Rosja to zjawisko chwilowe i przejściowe. Hegemonia narodu rosyjskiego nad innymi narodami w sposób nieunikniony zostanie zastąpiona dyktaturą tychże narodów nad rosyjskim”. Jedyny sposób opanowania materialnych faktorów, od których zależy transformacja ludzkości, widział on w ustanowieniu dyktatury kolonialnych i półkolonialnych narodów nad przemysłowymi metropoliami. Dla zrealizowania tego planu Sułtan-Galijew proponował stworzenie Kolonialnej Międzynarodówki „niezależnej od Trzeciej Międzynarodówki, a nawet przeciwstawnej, gdyż znajduje się ona w rękach przedstawicieli narodów rozwiniętych”. Sułtan-Galijew dodawał, że „ZSSR — państwo komunistyczne, ale uprzemysłowione — powinien zostać z Międzynarodówki usunięty, a winny do niej wejść terytoria mużułmańskie w Rosji”.

Pierwszym etapem na drodze do stworzenia Kolonialnej Międzynarodówki powinno być utworzenie w Rosji wielkiego państwa — turańskiej republiki, w skład której powinny wejść autonomiczne mużułmańskie republiki Wołgi-Uralu (Tataria i Baszkiria), 5 republik Środkowej Azji (Kazachstan, Kirgizja, Uzbekistan, Turkmenia, Tadżykistan), jak również Azerbejdżan. Ludność tego ogromnego państwa przewyższałaby 30 milionów z tym, że 75 % stanowiliby mużułmanie-tiurkowie. Suwerenne i niezależne — zarówno od RSFSR jak i od krajów kapitalistycznych — państwo było dla Sułtan-Galijewa federacyjną republiką demokratyczną, narodową oraz socjalistyczną. Gospodarka byłaby oparta na kapitalizmie państwowym, a władza należałaby do mużułmanów. Kierownictwo polityczne turańskiej republiki i kolonialnej międzynarodówki powinno należeć do jedynej, autorytatywnej i scentralizowanej partii, czegoś w rodzaju rozwiązanej w 1918 roku mużułmańskiej komunistycznej partii.

Turańska republika i Kolonialna Międzynarodówka — mówił Sułtan-Galijew — powinny stać się iskrą, która rozpali rewolucję uciśnionych narodów krajów kolonialnych, w pierwszym rzędzie mużułmańskich. Uwolnienie narodów mużułmańskich umożliwiłoby włączenie do kolonialnej międzynarodówki Turków, Arabów, Irańczyków, Afgańczyków i tym samym zniszczenie w Rosji hegemonii narodu rosyjskiego nad mużułmanami.

Program Sułtan-Galijewa można więc w wielkim skrócie sformułować następująco: mużułmanie wszystkich narodów łącznie się do walki z kolonialnymi wyzyskiwaczami i rosyjskimi komunistami, którzy również okazują się kolonialnymi eksploatatorami, ukrywającymi się pod maską komunizmu.

Potępienie, rozgromienie, zniesławienie, zniszczone razem z autorem i zwolennikami, idee Sułtan-Galijewa — jednak ciągle żyją. Myśli tatarskiego rewolucjonisty, a przede wszystkim jego koncepcja zamiany „niemieckiego” komunizmu na jego „wschodnią” wersję znalazło żywy oddźwięk w trzecim świecie, gdzie ma się rozumieć nazwisko Sułtan-Galijewa często nie jest znane. Był

on pierwszym, który odrzucił ideę walki klas i zamienił ją w ideę walki niedorozwiniętych narodów kolonialnych z narodami uprzemysłowionymi i rozwiniętymi krajów, twierdząc że narody mużułmańskie (stanowiące większość narodów kolonialnych) są — bez względu na klasy — uciśnione. Był pierwszym, który wysunął koncepcję połączenia islamu z komunizmem, uzasadniając to tym, iż islam jako najmłodsza z wielkich religii posiada specjalnie wielki wpływ na swoich wyznawców, że islam bardziej niż inne religie zachował socjalne i polityczne elementy bliskie komunizmowi, tym wreszcie że islam, w pojęciu mużułmanów, pozostaje nadal religią uciśnionych. Niewątpliwie żywą jest idea Sułtan-Galijewa dotycząca armii, stanowiącej organizacyjny kręgosłup państwa.

Wpływy wielu koncepcji Sułtan-Galijewa można łatwo znaleźć w praktyce chińskich komunistów. Na krótko przed swoją śmiercią były *dauphin* Mao Tse-tunga, marszałek Lin Piao, określił jako główny cel polityczny uciśnionych narodów — okrążenie miast przez wieś, prawie dosłownie powtarzając myśl Sułtan-Galijewa o okrążeniu przemysłowych metropolii przez kolonie. Po zerwaniu z Moskwą Chiny stały się punktem przyciągania dla wielu azjatyckich kompartii, dążąc do stworzenia jeśli nie formalnego, to faktycznego azjatyckiego (a być może i azjatycko-afrykańskiego) kominternu, przeciwstawnego moskiewskiemu, a w wielu przypadkach przypominającego kolonialną międzynarodówkę, o której marzył Sułtan-Galijew.

W niemiejszym stopniu odczuwa się wpływ myśli Sułtan-Galijewa w działalności wielu państw mużułmańskich, próbujących połączyć islam z ideami socjalistycznymi.

Powstaje naturalne pytanie: jaki jest wpływ idei Sułtan-Galijewa na jego rodaków, na mużułmańskie narody Związku Sowieckiego?

Spis ludności z 1970 roku świadczy, że przeciętnie co 8-my obywatel Związku Sowieckiego należy do tradycyjnych mużułmańskich grup etnicznych. Większa część tych trzydziestu z czymś milionów ludności żyje w zwartych grupach, stanowiąc podwalinę zaludnienia 6-ciu z 15-tu republik związkowych. W Środkowej Azji i Kazachstanie żyje 70 % mużułmanów, w rejonie wołżko-uralskim 15 %, na Kaukazie — 15 %. Spis ludności pozwala stwierdzić dwa ważne fakty. Przede wszystkim szybki przyrost ludności mużułmańskiej, znacznie przewyższający przyrost ludności rosyjskiej — Rosjan i innych Słowian. Jeśli przyrost ludności rosyjskiej jest jednym z najniższych w świecie, to ludność mużułmańska charakteryzuje się przyrostem jednym z najwyższych (wskaźnik czeczeńsko-kaukaskiej mużułmańskiej narodowości jest najwyższy w świecie). W okresie między dwoma spisami ludności 1959-1970 ludność mużułmańska wzrosła o 52 %, a rosyjska o 13 %. Francuski uczyony, Alexandre Bennigsen, jeden z najlepszych znawców problemu mużułmańskiego w ZSSR, twierdzi nawet, że jeśli ta tendencja się utrzyma, to możliwe, iż w 2000-ym roku mużułmanie w Związku Sowieckim będą w więk-

zości, a Rosjanie, nawet razem z innymi narodami słowiańskimi, w mniejszości. Drugim istotnym faktem jest to, że narody muzułmańskie okazały się najbardziej trwałe w dziedzinie językowej. Ponad 98 % muzułmanów, obywateli republik związkowych, podało jako swój rodzimy język, język swej narodowości.

W pierwszych miesiącach po rewolucji rząd sowiecki — Sułtan-Galijew zrozumiał to bardzo szybko, ale nie od razu — dążył do odizolowania muzułmanów i do walki z islamem przede wszystkim dlatego, że właśnie religia na początku 1917 roku łączyła wszystkich muzułmanów w jedną całość.

W chwili obecnej narody muzułmańskie dzielą się mniej więcej na 40 różnych narodów i narodowości — od Uzbeków, których ludność przewyższa 6 milionów, do narodowości liczących niewiele więcej niż 20 tysięcy w Dagestanie, czy północnym Kaukazie. Tworzono sztuczne administracyjne granice w celu utworzenia dużej liczby mikronarodowości, zbyt słabych oddzielnie, aby przeciwstawić się mogły polityce „sowietyzacji”, która jest synonimem rusyfikacji. Powstały także — w sposób najbardziej sztuczny bez żadnej potrzeby dla tych mikronarodowości — nowe języki literackie. Dwukrotnie — w ciągu mniej więcej piętnastu lat — narody muzułmańskie stawały się analfabetami: dwukrotnie zmieniał się alfabet języków literackich — alfabet arabski został zastąpiony łańskim; cel był oczywisty — zlikwidować tradycje muzułmańskie i uniemożliwić czytanie Koranu; a następnie alfabet łański został zastąpiony rosyjskim. Powody tej reformy nie wymagają komentarzy.

W 1929 roku zwolennicy Sułtan-Galijewa rozpowszechniali wśród studentów tatarskich w Kazaniu ulotkę: „Malańki naród belgijski, liczący mniej niż 1,5 miliona mieszkańców, posiada własne niezależne państwo, Polacy, Łotysze, Estończycy i Finowie, którzy 11 lat temu cierpieli pod jarzmem rosyjskim, są obecnie gospodarzami swoich krajów i stworzyli ustroje, które mogą służyć jako model dla całego świata. Bierzcie z nich przykład. Nasza siła jest w jedności; nie dajcie się uwieść takim słowom jak 'proletariat' albo 'walka klas'. Słowa te służą jedynie interesom rosyjskich bolszewików”. Rząd moskiewski rozumiał niebezpieczeństwo dążenia narodów muzułmańskich do zjednoczenia i robił wszystko, by temu przeciwdziałać. Na równi z posunięciami politycznymi i administracyjnymi ważne miejsce w walce z niebezpiecznymi tendencjami zajmowała bezlitosna kampania antyreligijna, skierowana na całkowite zniszczenia islamu. Kampania ta, która w 1938 roku osiągnęła swój punkt kulminacyjny, doprowadziła do zamknięcia szkół religijnych, meczetów, zakazania religijnej (szariat) i obyczajowej (adat) jurysdykcji. W latach terroru dokonano fizycznego wyniszczenia inteligencji muzułmańskiej — zwolenników Sułtan-Galijewa, potencjalnych jego wyznawców, wszystkich którym znane były jego poglądy.

Minęło pół wieku od pierwszego publicznego osądzenia Sułtan-Galijewa i jego koncepcji rozwiązania problemu narodowego — „sułtangalijewszczyzny”. Zdawałoby się, że lata prześladowań za-

tarty na zawsze pamięć o tatarskim rewolucjonście — jednym z pierwszych, który wysunął hasło uwolnienia narodów kolonialnych. Ale okazało się to tylko złudzeniem.

W czasie ubiegłych 50-ciu lat republiki sowieckie o ludności muzułmańskiej osiągnęły niewątpliwie sukcesy ekonomiczne. Stworzono znaczne kadry miejscowej inteligencji. Ale uprzemysłowienie i rozwój gospodarczy republik zrealizowano w pierwszym rządzie przy pomocy kolonów, „osadników” z Rosji. Stworzenie miejscowych kadr, niezbędnych dla rozwijającego się przemysłu, było brzemienne, z punktu widzenia władz centralnych, poważnymi niebezpieczeństwami. Ale zahamowanie tego procesu było niemożliwe. Jeszcze w połowie XIX wieku profesor kazańskiej religijnej akademii, Ilminskij, jeden z najbardziej gorliwych przywódców walki z islamem, autor pomysłu stworzenia dla muzułmanów języków literackich opartych na zasadzie alfabetu rosyjskiego, sformułował zasady polityki rusyfikacyjnej: „Dla Rosji nie ma nic bardziej niebezpiecznego, niż wykształcony muzułmanin”. Ilminskij widział rozwiązanie problemu w ochrzczeniu, często przymusowym, muzułmanów. Dziś przywódcy sowieccy widzą rozwiązanie problemy podobnie: w deislamacji narodów muzułmańskich.

Po drugiej wojnie światowej, a szczególnie po śmierci Stalina, wśród inteligencji muzułmańskiej rozpoczyna się poszukiwanie narodowej przeszłości: historii, kultury, sztuki. W latach rządów stalinowskich nie tylko niszczone ludzi i idee, ale robiono wszystko, by zniszczyć historię, historyczną pamięć narodu. Bohaterska, dwudziestoletnia wojna kaukaskich górali pod przewodnictwem Szamila przeciw rosyjskim zaborcom, była uznana za wrogie, reakcyjne, antyrosyjskie wystąpienie fanatyków muzułmańskich, agentów Intelligence Service. Za wrogie uznano wszystkie powstania narodów muzułmańskich w XIX wieku, skierowane przeciwko rosyjskim zaborcom. Ale również za wrogie uznano starożytne narodowe ustne eposy narodów muzułmańskich: uzbeki „Ałpamysz”, kirgiski „Manas”, turkmeński „Korkut-Ata”. Oskarżano je o rozpowszechnianie „reakcyjnych i feudalnych uczuć, muzułmańskiego fanatyzmu i propagowanie nienawiści do cudzoziemców i niewiernych”.

Poszukiwania narodowej przeszłości doprowadziły tatarską, uzbecką i azerbejdżańską inteligencję do nieuniknionego odkrycia — odkrycia jedynej muzułmańskiej przeszłości, jedynej arabsko-irańsko-turkskiej tradycyjnej kultury. Odkrycie to było nieuniknione, gdyż nie istnieje kultura czysto uzbecka, czy turkmeńska. Uzbecki, czy turkmeński inteligent, poszukujący swych korzeni, znajduje korzenie wspólne dla wszystkich narodów muzułmańskich ZSSR. Rozpoczyna się proces odrodzenia panislamskiej świadomości. Przeszło pół wieku po rewolucji islam i narodowość stają się synonimami. Komunistyczna partia świetnie widzi to niebezpieczeństwo.

W marcu 1973 roku sekretarz KC Komunistycznej Partii Turkmunii, Muhamed Nazar Gapurow, szczerze przyznał: „U nas liczą-

ba osób przestrzegających obrzędy religijne nie zmniejsza się". I dodał: „Nie może nie niepokoić islam ze względu na swoją specyfikę. Islam... często występuje w roli „stróża” reakcyjnych, narodowych obyczajów i tradycji, wzbudza uczucia wyłączności narodowej, będąc pokrywką nacjonalizmu”. Pierwszy sekretarz KC KP Uzbekistanu, Sz. Raszidow, w kwietniu 1973 roku mówi to samo: „Nie zmniejsza się u nas liczba osób przestrzegających obrzędy religijne, a w niektórych rejonach, miastach i okręgach następuje wzrost”. Pierwszy sekretarz KC KP Azerbejdżanu, G. Alijew, także w kwietniu 1973 roku odnotowuje zjawisko jeszcze bardziej niepokojące: „Poszczególne komuniści, również wśród inteligencji, zachowują obrzędy religijne, podając je za narodowe”.

Dla scentralizowanego państwa sowieckiego niebezpieczeństwo wzrostu świadomości narodowej narodów muzułmańskich związane jest z faktorem polityki zagranicznej, które nabrały specjalnego znaczenia w ostatnich latach. Takich czynników jest dwa: konflikt z Chinami i powstanie na Bliskim Wschodzie młodych państw muzułmańskich, których doktryna polityczna jest (może nieświadomie) wcieleniem idei Sułtan-Galijewa o połączeniu islamu z socjalizmem. Czynniki te są tym ważniejsze, że republiki sowieckie zamieszkałe przez muzułmanów zajmują przygraniczną strefę, oddzielającą ZSSR od Chin i państw Bliskiego Wschodu.

Republiki sowieckie o ludności muzułmańskiej mogą odegrać niezmiernie ważną rolę w konflikcie sowiecko-chińskim, którego ognisko może znaleźć się w Sincjangu — chińskiej prowincji, oddzielonej od Chin pustynią Gobi i zaludnionej w znacznej mierze muzułmanami — Kazachami, Uzbekami, Kirgizami, Tadżykami i innymi. Na przestrzeni ostatnich 150 lat wielokrotnie odbywała się migracja — to w stronę Rosji, to w stronę Chin. W latach 40-tych ubiegłego wieku muzułmanie uciekali przed okrutnymi prześladowaniami z Chin do Rosji. W odwrotnym kierunku — z Rosji do Chin — uciekali w drugiej połowie XVIII wieku, uciekali w 1916 roku, w okresie bezlitosnego tłumienia powstania w Środkowej Azji przeciw poborowi do armii carskiej, uciekali w początkach lat 30-tych naszego wieku przed kolektywizacją. I Związek Sowiecki i Chiny chcą muzułmanów przeciągnąć na swoją stronę. Ale dawać hojne obietnice jest o wiele łatwiej Chinom, w których muzułmanie stanowią mało znaczącą mniejszość (nawet w Sincjangu liczba ich się zmniejsza w związku z masowym przesiedlaniem tam Chińczyków) niż Związkowi Sowieckiemu.

Znaczenie młodych państw arabskich, głoszących muzułmański socjalizm, dla ludności muzułmańskiej w Związku Sowieckim będzie — jak można przypuszczać — rosło z każdym rokiem. Państwa arabskie, w zamian za gospodarczą i wojskową pomoc, pomogły Związkowi Sowieckiemu zrealizować odwieczne marzenie carów rosyjskich wyjścia „na ciepłe morza”. Trudno powiedzieć kto komu więcej pomógł, dla kogo pomoc partnera była ważniejsza. Można tylko stwierdzić, że Związek Sowiecki uważa

poparcie krajów muzułmańskich, a w pierwszym rządzie arabskich, za tak ważne, że stara się uchodzić w ich oczach za jak gdyby „kraj islamu”. Radio moskiewskie 5 razy w ciągu dnia nadaje — tylko dla zagranicznych muzułmanów — recytacje sur Koranu. Muzułmanie sowieccy nie posiadają ani jednego pisma religijnego (w kalendarzu wydanym przez duchowne kierownictwo muzułmanów Środkowej Azji i Kazachstanu jest podana data urodzin Lenina — a nie ma daty urodzin proroka Mahometa). Natomiast na pokaz — dla za granicę — wydaje się bogato ilustrowane pismo *Muzułmanie sowieckiego Wschodu*. W Związku Sowieckim istnieje tylko jedna szkoła religijna — w Bucharze — przygotowująca duchownych (w programie szkoły, do której uczęszcza 30-40 osób, główne miejsce zajmuje marksizm-leninizm), ale gości przyjeżdżających z krajów muzułmańskich zapewnia się, że muzułmanie sowieccy mają wszystkie możliwości „wyznawania swobodnie swej religii”.

Tymczasem schlebienie krajom muzułmańskim wraz ze wzrostem ich siły i znaczenia i ich dążeniem do zajęcia niezależnej pozycji w stosunku do Związku Sowieckiego przyczynia się do przyspieszenia wzrostu świadomości sowieckich muzułmanów.

Doświadczenie ostatnich lat wskazuje, że śmiała działalność grupy narodowej może zakończyć się sukcesem, jeżeli otrzyma pomoc z zewnątrz. Żydom sowieckim, podtrzymywanym przez Stany Zjednoczone, udało się osiągnąć zwycięstwo, dotychczas niespotykane w Związku Sowieckim. Podstawą sowieckiego społeczeństwa, jego fundamentem, jest sytuacja bez wyjścia w jakiej znajdują się obywatele sowieccy: nie posiadają oni żadnej alternatywy czy możliwości wyboru. Żydzi sowieccy, wywalczywszy sobie prawo wyjazdu, zrobili w tym fundamencie wyłom, osiągnęli niebywałe zwycięstwo, gdyż otrzymali prawo wyboru. Powody tego zwycięstwa są jasne: zdecydowanie Żydów i podtrzymanie ich żądań przez Stany Zjednoczone. Ale można przypuszczać, że istnieje jeszcze jeden dalekosiężny powód, który zdecydował Politbiuro na danie zgody na emigrację sowieckich Żydów. Izrael, w którym za kilka lat Żydzi sowieccy będą stanowili znaczny procent ludności, może stać się dla Związku Sowieckiego niezbędnym, jako przeciwwaga w stosunku do krajów muzułmańskich. Jednego pięknego poranka syjonizm może przestać być obelgą — tak jak w sierpniu 1939 roku przestał nią być hitleryzm, a w lipcu 1973 roku imperializm amerykański. Nie mający poparcia z zewnątrz, Tatarzy krymscy, i gruzińscy muzułmanie, nie mogą się dobić pozwolenia powrotu do miejsc rodzinnych, gdzie żyli przez setki lat. Ale czy ta sytuacja pozostanie bez zmian? Na konferencji krajów islamu, która miała miejsce w marcu br., premier Libii, osądziwszy prześladowania muzułmanów na Filipinach, w Bułgarii i w Ameryce, oświadczył: „Przewodzi się barbarzyńską wojnę przeciwko muzułmanom, a my jesteśmy bezwolni. Co pomyśla o nas przyszłe pokolenia? Oskarżają nas o przestępstwo wobec islamu i wobec ludzkości. Powinniśmy działać jasno i poważnie”.

Pół miliarda muzułmanów, 120 milionów Arabów, w rękach których znajduje się znaczna część światowych zapasów nafty, reprezentuje siłę o której marzył 50 lat temu Sułtan-Galijew. Siłę, która może okazać pomoc muzułmanom sowieckim, gdy przystąpią do walki o swoją niezależność narodową.

Adam KRUCZEK

W sowieckiej prasie

Przygotowania do wizyty Leonida Breżniewa w Stanach Zjednoczonych trwały — coraz bardziej narastając — przez cały rok. W końcu maja — na początku czerwca doszły one do najwyższego punktu natężenia, — czasopisma i gazety na wyprzedzki publikowały pochwalne artykuły, eseje i wrażenia z podróży mówiące o rozkoszach życia w U.S.A. Zapomniano całkowicie o „zdradzieckich intrygach imperialistów amerykańskich”, „prześladowaniach rasowych w U.S.A.”, „milionach bezrobotnych”, „upadku gospodarki amerykańskiej” itp., itd. Naczelny redaktor pisma *Za rubieżom*, Danił Kraminow, z niezwykłą dla siebie szczerością stwierdził: „Wiele lat temu niewątpliwie pisalibyśmy znacznie więcej o brudnych stronach amerykańskiego życia politycznego (miał on na myśli prawie całkowicie brak wzmianek w prasie sowieckiej o Watergate), ale obecnie stosujemy stare rosyjskie przysłowie: 'nie brudzi się domu, do którego chce się wejść'”.

W przededniu wyjazdu Leonid Breżniew, chcąc za wszelką cenę przypodobać się Amerykanom, zaprosił jedenastu amerykańskich dziennikarzy do niegdyś sanktuarium — tj do swoich apartamentów na Kremlu — przy czym sam był przewodnikiem tej wycieczki. Potem, przez bez mała trzy i pół godziny odpowiadał na prawie wszystkie pytania. Przygotowując się do odpowiedzi na pytania, o których wiedział, że będą mu stale w Ameryce zadawane, Breżniew oświadczył: „U nas nie istnieje żaden żydowski problem, ani żydowska sprawa”. I jako dowód przytoczył, od wieków wykorzystywaną formułkę: „Wśród moich najbliższych przyjaciół, jeszcze z ławy szkolnej, są Żydzi.

Słowa te — jak można sądzić po odgłosach w prasie amerykańskiej — zrobiły na dziennikarzach ogromne wrażenie.

Ale wreszcie — odjazd. Począwszy od 19 do 26 czerwca wszystkie sowieckie pisma zamieszczały na pierwszych stronach portrety — stojącego, siedzącego, w okularach, bez okularów, z piórem w ręku, albo pod ręką z Nixonem — generalnego sekretarza.

Szczegółowo opisywano gorące przyjęcie, miłość narodu amerykańskiego do sowieckiego wodza, korzyści jakie przyniesie narodowi amerykańskiemu pokój i przyjaźń z narodem sowieckim. Prasa amerykańska, która wizycie poświęciła znacznie mniej miejsca niż sowiecka, była jakby zaskoczona natarczywością i polityczną zręcznością Leonida Breżniewa. Generalny sekretarz usiłował uzyskać w Waszyngtonie takie warunki wymiany handlowej i pomocy ekonomicznej, jakie Amerykanie dają normalnie krajom niedorozwiniętym. W zamian mógł on zaproponować tradycyjne obiekty sowieckiego eksportu do U.S.A.: futra, ruda chromowa, platyna, diamenty, wódka i kawior.

Breżniew walczył o to, tak jakby od tego zależała jego kariera. Amerykanie byli świadkami jeszcze do tej pory nie oglądanego widowiska, od którego prawdopodobnie jeszcze do tej chwili przewracają się w grobach Lenin i Stalin. Generalny sekretarz zaprosił do siebie grupę amerykańskich senatorów, od których zależy przyznanie ZSSR klauzuli największego uprzywilejowania. Jak wiadomo, Senat nie chce dać tej klauzuli do czasu gdy rząd sowiecki nie pozwoli na swobodne wyjazdy wszystkich, którzy tego pragną. I właśnie — chcąc pokazać, że rząd sowiecki robi wszystko co tylko jest w jego mocy w tej sprawie — Leonid Iljicz wyjął z kieszeni czerwony notesik, wyliczając amerykańskim senatorom — jak sprzedawca, który chce przekonać właściciela, że go nie okrada — ilu Żydów już wypuszczono i ilu będzie wypuszczonych. Inna sprawa, że jak się potem okazało, cyfry były nieprawdziwe. Najważniejsze, że pomoc amerykańska jest rzeczywiście dla Breżniewa sprawą gardłową. Nie ma na to lepszego dowodu, nad jego „sprawozdanie” złożone amerykańskim senatorom.

Należy jednak podkreślić, że w czasie petraktacji Breżniew spotkał się z jeszcze jednym żądaniem, którego wykonanie bodajże jest trudniejsze niż żądania senatorów. Podsumowując wizytę Breżniewa, *New York Times* napisał w artykule „Rublowa dyplomacja”: „Zamiatin (przewodniczący TASS'a i *porte parole* Breżniewa) twierdzi, że dłużnik, który otrzymał wielkie kredyty, jest skłonny ufać kredytorowi. Gdyby Zamiatin lepiej orientował się w zwyczajach kapitalistycznych, to wiedziałby, że przede wszystkim wierzyciel powinien mieć zaufanie do tego, któremu ma zamiar udzielić kredytu. *New York Times* ma na myśli zaufanie w ogóle, a w szczególności zaufanie do sowieckiej statystyki.

Statystyka sowiecka od dawien dawna wzbudza wątpliwości. Jak wiadomo, Stalin rozstrzeliwał statystyków, którzy przedkładali generalnemu sekretarzowi cyfry, które mu się nie podobały. Także i przy innych sekretarzach generalnych przenikały, czysto przypadkowo, wiadomości o pojedynkach sowieckiego kierownictwa z cyframi. Wystarczy przypomnieć skandal, jaki miał miejsce przy Chruszczowie, z sekretarzem Rianzańskiego Obkomu Partii, który przegonił Stany Zjednoczone w produkcji masła skupując je w sąsiednich okręgach. Ale bodajże takiego wypadku, jaki podała w czerwcu gazeta *Trud*, obywatele sowieccy dotąd

jeszcze nie spotkali. Ściślej, wielu z nich wiedziało o podobnych wypadkach u siebie, ale żeby tak otwarcie, wobec całego narodu — tego jeszcze nie było.

Trud przypomina, że 19 grudnia 1968 roku *Izwiestia* zamieściły na pierwszej stronie artykuł, w którym m.in. stwierdzono: „Uruchomiono siódmy generator w nazarowskiej elektrowni. W nocy z 17-go na 18-ty został on włączony do syberyjskiej elektrosieci”. Także i inne pisma określały nazarowską elektrownię w południowej Syberii jako „początek technologicznej rewolucji”. *Prawda* pisała pompacyjnie: „Jeszcze kilka sekund i gigantyczna maszyna drgnęła, a jej potężny bas zlał się w radosnym chórze z głosami sześciu już działających generatorów”. Tak podawały pisma w grudniu 1968 roku. A w cztery i pół roku później *Trud* oświadczył, że ten „potężny bas” siódmego generatora o mocy 500.000 kilowatów nigdy się nie rozległ, bo generator spalił się w czasie fabrycznych prób. Tym niemniej został włączony w statystykę i znakomicie pracuje na papierze.

Jeśli Breżniew jest zdecydowany dla uzyskania kredytów przedstawić prawdziwy obraz gospodarki sowieckiej — historia z nazarowskim generatorem jest przykładem przekonującym. Ale niebezpiecznym: gdzie się zatrzymać kiedy zacznie mówić się prawdę...

Ktoś tak kiedyś twierdził, że historia powtarza się: — za pierwszym razem jest to tragedia, a za drugim farsa. Ale jeśli historia powraca po raz trzeci do tego samego? Jeśli kult Stalina uważać za tragedię, kult Chruszczowa za farsę, to jak określić kult jednostki Breżniewa? Najzabawniejsze w tym trzecim kulcie jest jego podobieństwo do pierwszego. Wdzięczność „osobiście towarzyszowi Breżniewowi”. Listy ze wszystkich stron kraju od wdzięcznych obywateli...

3 lipca *Prawda* ogłosiła pierwszą „kultową” biografię wodza. Biografia podczyszczona, podmalowana, „perspektywiczna” — opierając się na niej można obecnie tworzyć legendę o boskim lub, powiedzmy, półboskim pochodzeniu Leonida Ilijicza. W pierwszym rzędzie w tej biografii zwraca uwagę jej pochodzenie. Jest ona przedrukowana z jugosłowiańskiego pisma *Polityka*. Naiwny moskiewski korespondent paryskiego *Le Monde* był do tego stopnia zaskoczony, — jeszcze niedawno *Prawda* ostro krytykowała *Politykę*, obrzucając ją różnymi brzydkimi słowami — że wyraził przypuszczenie iż być może że to „wrogowie Breżniewa” „podsunęli” biografię *Prawdzie* (i *Izwiestiom*). Francuski dziennikarz nie zrozumiał, że właśnie fakt iż niedawno na *Politykę* wymyślano i że to jest pismo jugosłowiańskie — nadaje jego wypowiedziom „obiektywność”, której tak namiętnie szuka sowiecki czytelnik. Kiedy było potrzeba „zdemaskować” powieść A. Sołżenicyna „Sierpień 14” — prasa sowiecka przedrukowywała artykuły z nieznanym nikomu zachodnich pism komunistycznych, właśnie w celu pokazania „obiektywizmu”. (Potem co prawda wyjaśniło się, że wszystkie te artykuły — włączając artykuł niejakiego Romanowskiego — były napisane w Moskwie, lub na bezpośrednie

zamówienie Moskwy). Teraz kiedy trzeba wychwalać Breżniewa, któż może być bardziej obiektywny niż gazeta jugosłowiańska? Nie czytałem pełnego tekstu tego artykułu w *Polityce*, ale tekst zamieszczony w *Prawdzie* jest ciekawy przez swoje opuszczenia, półprawdy, tendencje.

O początkach kariery Breżniewa mówi się: „Czasy wymagały ludzi śmiałych, zdolnych, wykształconych, energicznych. Właśnie wtedy, na szczelbu kierowania okręgiem, L. I. Breżniew wiernie i odważnie realizował politykę partii”. Czasy, które wymagały jednego i drugiego, to rok 1938 — koniec gigantycznej czystki, przeprowadzonej przez Stalina. „Włożywszy szynel — to o wojennej karierze bohatera artykułu — wykonywał, niewątpliwie również z powodzeniem, bardzo odpowiedzialne, polityczne funkcje w siłach zbrojnych, osiągnąwszy wysoki stopień wojskowy”. Ma się rozumieć na podstawie takiego zdania można rozpocząć tworzenie mitu o wybitnym dowódcy, chociaż „wysoki stopień wojskowy” był jedynie stopniem generał-lejtnanta.

„Następnie — pisze *Prawda* — pismo jugosłowiańskie odnotowuje, że na XIX Zjeździe KPZS działalność L. I. Breżniewa spotkała się z wysokim wyróżnieniem. Został on wybrany członkiem KC KPZS”. Jest to jedyne miejsce w artykule, lub w interpretacji *Prawdy*, które grzeszy skromnością. Na XIX Zjeździe Leonid Ilijicz został wybrany nie tylko do KC ale i do Sekretariatu, a także został zastępcą członka Prezydium — tak wtedy zaczęto nazywać Politbiuro. Skromność tłumaczy się w sposób prosty. XIX Zjazd był ostatnim Zjazdem, który prowadził Stalin, przygotowujący kolejną czystkę i rekrutujący nowych towarzyszy broni — i Breżniewa w tej liczbie. Jak wiadomo, natychmiast po śmierci Stalina Breżniew utracił wszystkie stanowiska osiągnięte na XIX Zjeździe.

Za najbardziej nieoczekiwane miejsce artykułu należy uważać stwierdzenie, że „zajmując wysokie stanowiska w społeczeństwie sowieckim Leonid Breżniew rozumiał szkodliwość tych ekscesów w polityce, które były później osądzone jako 'kult jednostki'”. Tak to Breżniew wplata w swoje laury pozycję „potencjalnego antystalinisty”. Rozumiał, ale zajmował wysokie stanowiska... Wyrasta więc Leonid Ilijicz na bohatera antycznej tragedii — walka obowiązku z sumieniem... Ale to wszystko minęło i obecnie, jak podkreśla *Polityka* (a razem z nią *Prawda*), „zostawszy sekretarzem KC KPZS L. I. Breżniew przewodzi wszystkim politycznym akcjom w stosunkach międzynarodowych, które rzeczywiście wpłynęły na obraz współczesnego świata. Z jego nazwiskiem związane są liczne, albo wszystkie, ważniejsze wewnętrzne zarządzenia w Związku Sowieckim”.

A więc w rezultacie: wszystkie międzynarodowe akcje, wszystkie wewnętrzne zarządzenia są związane z nazwiskiem Leonida Ilijicza Breżniewa. W artykule nie ma żadnych innych nazwisk (w każdym razie *Prawda* ich nie zamieściła). Historia sowieckiego państwa przedstawia się obecnie w sposób prosty i jasny: Od Ilijicza do Ilijicza...

Gazety są jeszcze pełne listów pracujących, którzy wyrażają serdeczne podziękowania Breżniewowi za jego „osobiste wysiłki” w dziele ratowania świata, a tu — nowa radość: Konferencja w sprawach bezpieczeństwa i współpracy w Europie, która zebrała się w Helsinkach. Cała prasa sowiecka wypełniona jest artykułami, przemówieniami, deklaracjami o pokoju, przyjaźni i podkreślanii hegemonii ZSSR w Europie. Prasa europejska natomiast pełna jest artykułów, z których wynika tylko jedno: zdumienie Zachodniej Europy, nie rozumiejącej po co i dlaczego znalazła się ona w Helsinkach. Na początku konferencji zachodnio-europejskie pisma znalazły — zdawałoby się — pretekst dla tej obecności: Uzyskanie swobodnej wymiany ludzi i idei między krajami. Rząd sowiecki zareagował natychmiast i zdecydowanie: nie na tośmy was wezwali! W Moskwie ogłoszono nową sprawę sądową Amalrika, po zakończeniu przez niego trzyletniego wyroku (za przygotowanie *Kroniki Bieżących Wydarzeń* Nr 24, który wyszedł w okresie kiedy Amalrik był już w łagrze), zagrożono zamknięciem w domu wariatów Sacharowowi, wreszcie 27 czerwca usunięto ze Związku Pisarzy Sowieckich Władimira Maksimowa. W ostatnich latach było to zastosowane jedynie do Sołżenicyna i Galicza. Wykluczenie Wł. Maksimowa to niedwuznaczne ostrzeżenie i dla zachodnio-europejskich idealistów i dla ludzi sowieckich, myślących inaczej: nie ma co liczyć na osłabienie czegokolwiek. Wszystkie te wizyty, spotkania, konferencje i narady służą tylko jednemu celowi: utrwaleniu sowieckiego państwa.

Władimir Maksimow zdobył popularność w początku lat sześćdziesiątych ogłaszając swoje pierwsze powieści „My obżywajem ziemi” i „Żyw czołowiek”. Była to popularność młodego sowieckiego pisarza, debiutującego w okresie „odwilży” i próbującego uczciwie powiedzieć coś z tego, co przeżył. Potem zaczęły się trudności: Maksimow prawie nic nie publikował, ale nie przestał pisać. W 1971 roku wyszła na Zachodzie jego wielka książka, która przez długi czas krążyła w samizdacie „Siem dniej tworennja”. Była to powieść o losach Rosji po rewolucji, powieść wyrażająca wiarę, że Rosja przechorowała rewolucję odrzuci jej spadek i wróci do wiary ojców, do religii. „Siem dniej tworennja” ukazało się w wielu językach, a Maksimow nie chciał się od swojej książki odciąć. Mało tego, na Zachodzie pojawiły się jego dwie nowe powieści: biograficzna „Proszczanie iz ni odkuda” i „Karantin”.

O pierwszej powieści, chwilowo znanej tylko częściowo, mówić jeszcze za wcześnie, natomiast „Karantin” jest niewątpliwie najbardziej ciekawą książką o dzisiejszym dnie sowieckiego społeczeństwa, napisaną po powieściach Sołżenicyna. Nie zamierzam tu porównywać obu pisarzy — Maksimow jest uczniem Sołżeni-

cyna i tego nie ukrywa, — do powieści „Karantin” można zgłosić wiele różnych pretensji i zarzutów. Nie można jej odmówić tylko jednej rzeczy — jest to przenikliwie uczciwe opowiadanie o tym czym i dlaczego żyją dzisiaj ludzie w Związku Sowieckim. Akcja powieści rozgrywa się w ciągu sześciu dni, w pociągu zatrzymanym w drodze na kwarantannę, gdyż pociąg wyszedł z Odessy ogarniętej epidemią cholery. W pociągu, jak w arce Noego, zebrał się przedstawiciele sowieckiej fauny: wszystkich bydłał po parze: od złodziei do pracowników organów, od nędzarzy do wysokich urzędników. W kwarantannie cała Rosja, która zachorowała tym razem nie na raka, ale na cholere. Głównego bohatera oprowadza po kwarantannie — po tym czyścicu — Iwan Iwanowicz, dobry diabeł, zapożyczony przez Maksimowa u Bułgakowa. Przez sześć dni wszyscy mieszkańcy pociągu nie przestają pić. Cała Rosja żyje tylko wódką. Tylko wódka pozwala zagłuszyć wyrzuty sumienia, zapomnieć o mękach łagrów, zapomnieć o ofiarach, zdradach i podłościach. I byłe ofiary, i byli kaci, mogą — jak wierzy Maksimow — mieć nadzieję na przebaczenie. Nie wybacza on jedynie tak zwanym przedstawicielom „twórczej inteligencji, oszukującym siebie i innych z bezgranicznym cynizmem. W powieści pojawiają się karykaturalne, ale bardzo wyraziste, portrety modnych poetów i artystów. Łatwo zgadnąć kogo ma na myśli Maksimow, gdy pisze: „Pasiasty patrzy białymi oczami z nieprzeniknioną czernią żrenić w płomień świecy, niczego nie widząc i nic nie słysząc, co dzieje się dokoła: Gdy ja — otwieram wreszcie wąskie wargi, tak jakby to wszystko o czym się przedtem mówiło nie miało najmniejszego znaczenia — ostatni raz rozmawiałem z Bobem Kennedy w łazience jego mieszkania w Manhattanie — powiedział mi on: Zenia! Ty jesteś sumieniem Rosji, ty jesteś mózgiem Rosji, ty jesteś samą Rosją”. Łatwo również domyśleć się w artyście Jelcowie Olega Jefremowa, twórcy teatru „Sowremiennik”, a obecnie dyrektora Mchat’u.

Najlepiej udał się pisarzowi portret wesołego żulika, aferyzisty, Lewy Bałykina, człowieka który znalazł „sekret” sowieckiego społeczeństwa: „pracuje jedynie na sprawdzonej, naukowej podstawie, według Freuda i akademika Pawłowa. Nasz naród — jest przecież zbkikowany, nastraszone, nasz naród reaguje jedynie na ustalone refleksy”. Maksimow doskonale opisuje jak wykorzystując „warunkowe odruchy” władza sowiecka zmusza ludzi do popełniania najstraszliwszych przestępstw. Lewa Bałykin zarabia sobie na niebiedną egzystencję. Jest tam świetna scena sprzedaży przez Lewę Bałykina „chińskiego proszku”, która ilustruje siłę warunkowych odruchów. Obudzwszy się rano z dwudziestoma kopiejkami w kieszeni, Lewa kupuje w aptece paczkę tabletek z igliwia. Idzie z tym na dworzec. Znajduje ofiarę — typowego sowieckiego obywatela. Przechodzi koło niego i rzuca przez zęby: „Czy chiński proszek jest potrzebny?” I to wystarcza. Ofiara nie wie co to jest „chiński proszek”, ale wie świetnie, że wszystko co się sprzedaje spod poły warto kupić. I Lewa Bałykin zabiera swojej ofierze za tabletki z igliwia wszyst-

kie pieniądze, a nawet rzeczy. Działa potężny sowiecki odruch warunkowy, i według Freuda i według akademika Pawłowa. Nawet jeźliby w powieści Maksimowa nie było myśli i poglądów całkowie nie do przyjęcia dla oficjalnej sowieckiej ideologii, to jego książka daje tak straszny, smutny i beznadziejny obraz społeczeństwa sowieckiego, że wykluczenie tego pisarza ze Związku, który postawił sobie za cel oszukiwanie czytelników, wydaje się aktem jak najbardziej logicznym.

Karanie ludzi inaczej myślących wydaje się prasie sowieckiej rzeczą do tego stopnia naturalną, że nawet o tym nie warto pisać. Od pewnego czasu prasa ta zaczyna również zaglądać i do innych krajów: jak tam wygląda sprawa z inaczej myślącymi? Czasopismo *Sowiecka Kultura*, która zaczęło ukazywać się w 1973 roku, wyraziło zdecydowane niezadowolenie z powodu „łagodności wyroków” sądu w Bolonii. Sąd ten postanowił zakazać wyświetlania na ekranach filmu „Ostatnie tango w Paryżu”. Sąd skazał na 2 miesiące więzienia amerykańskiego aktora Marlona Brando i francuską aktorkę Marię Schneider. Autor wzmianki po prostu umiera ze śmiechu. Takie wyroki — i do tego nie udało się wsadzić do więzienia przestępców, gdyż — jak z żalem pisze autor, P. Kolin, „pośpiesznie wycofali się oni poza granice Włoch, czemu nikt nie przeszkodził”. Dla P. Kolina to śmieszne... Ale na tym nie kończy się jego notatka. Oburza go nie tylko przestępstwa pobłażliwość władz włoskich. Oburza go i to, że film Bernardo Bertolucci został dopuszczony do wyświetlania w Izraelu. A co najgorsze: że „nie ma żadnych ograniczeń cenzury, film jest wyświetlany w oryginalnym negliżu”.

Troska o zachowanie czystości obyczajów Izraelczyków — to nowe zagadnienie w prasie sowieckiej. Nie trzeba jednak wątpić, że tą sprawą będzie się ona zajmować coraz bardziej, w miarę wzrastania w Izraelu liczby byłych obywateli sowieckich. Kto wie kiedy Związek Sowiecki zechce wykorzystać „miłość do ojczyzny” do „starej ojczyzny”, której w tej chwili Żydom odmawia. Co prawda obecnie starą ojczyzną jest Izrael, ale wtedy będzie nią Rosja.

Adam KRUCZEK

Kronika czeska i słowacka

Opuszczając stanowisko ministra kultury Republiki Czeskiej (obecnie jest on wiceministrem Spraw Zagranicznych rządu federalnego) dr Miloslav Bru-

zek, który wielokrotnie oświadczał, iż na terenie Republiki cenzura nie istnieje, pozostawił po sobie dokument, który z pewnością przejdzie do historii. Dokument ten to wydane 31 maja 1972 roku i zaopatrzone klauzulą „do użytku służbowego” zarządzenie o zbiorach specjalnych w bibliotekach publicznych. Zarządzenie wprowadza dwie kategorie owych specjalnych, niebezpiecznych druków: a) druki o treści antypaństwowej i b) druki o treści wątpliwej pod względem treści ideowo-politycznej. Tak więc za druki o treści antypaństwowej uważane są te, które „naruszają konstytucję Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej, atakują marksizm-leninizm oraz politykę państw socjalistycznych i partii marksistowsko-leninowskich”, a w szczególności: a) znieważające CSSR lub inne państwo wspólnoty socjalistycznej oraz jego przedstawicieli, pisma emigracyjne i skierowane przeciwko „naszemu” systemowi; b) trockistowskie i białogwardyjskie skierowane przeciwko ZSSR i innym państwom socjalistycznym; c) pozostające w sprzeczności z zasadami moralności socjalistycznej.

Wszystkie pozostałe druki, których treści nie da się dopasować do wymogów obecnego reżymu, uważane są za druki o „wątpliwej treści ideowo-politycznej”. Prawo przechowywania owych specjalnych zbiorów otrzymały na terenie Republiki Czeskiej tylko dwie biblioteki, tzn. Państwowa Biblioteka CSR oraz biblioteka zakładu marksizmu-leninizmu przy KC KPCz. Nie posiadamy danych z terenu Słowacji, ale przypuszczać należy, iż wersja słowacka nie różni się zbytnio od czeskiej. Każda z wymienionych kategorii druków otrzymała specjalny symbol — „antypaństwowa” oznaczona jest literą „P” (protistatni), „wątpliwa” — literą „Z” (zavadni). Nie na tym jednak koniec. Zarządzenie wymienia dalej szczegółowo kto i w jakich okolicznościach ma prawo korzystać z wymienionych publikacji. Otóż zgodnie z § 4 cytowanego zarządzenia druki kategorii „P” bez specjalnego zezwolenia można wypożyczać jedynie i wyłącznie członkom KC KPCz i rządu, natomiast pozostałe osoby, tzn. pracownicy polityczni i naukowci, dopuszczeni są tylko za specjalnym zezwoleniem ministerstwa Kultury.

Dalej minister Bruzek opracował szczegółowe wytyczne w sprawie kontroli zbiorów wszystkich bibliotek publicznych. Dotyczą one wszelkich publikacji pochodzenia rodzimego i obcego, pozostających w sprzeczności z podstawowymi zasadami polityki państw socjalistycznych. Jest to przede wszystkim literatura „rewizjonistyczna i prawicowo-oportunistyczna”, wychwalająca ustrój kapitalistyczny, republikę przedmonachijską, różnego rodzaju burżuazyjne kierunki polityczne i filozoficzne lub też wszelkiego rodzaju publikacje sprzeczne z polityką sągajniczną CSSR, następnie „wszystkie dzieła” prawicowych przywódców socjaldemokracji, dzieła T. G. Masaryka i E. Benesza, literatura legionowa etc. Dalej do dzieł kategorii „Z” zaliczane są dzieła nie będące wprawdzie z powodu swej treści dziełami wątpliwymi, lecz których autorzy wyemigrowali w latach 1968-1969 bądź też w tym okresie byli przedstawicielami „sił prawicy” wreszcie dzieła zaopatrzone w „wątpliwe” wstępy lub postłowia czy przypisy. Na marginesie warto dodać, że ostatnio do wrogich ośrodków, obok RFE czy Voice of America, doszły telewizja austriacka i zachodniemiecka, słuchana i oglądana w zachodniej Słowacji i południowych Czechach.

Docent Frantisek Janouch, były przewodniczący organizacji KPCz w Instytucie Fizyki Nuklearnej przy Czechosłowackiej Akademii Nauk, zwrócił się do najwyższych instancji sądowych Czechosłowacji z petycją, w której stwierdza, iż ostatnie wyroki przeciwko głównym działaczom „praskiej wiosny” były wyraźnym pogwałceniem obowiązującego prawa. Janouch analizuje odpowiednie przepisy prawne oraz wysuwa własne postulaty w kierunku odpowiednich zmian. Oto one:

1. *Zatrzymanie* (§ 75-77 kodeksu postępowania karnego). Organy bezpieczeństwa nie przestrzegały terminów zezwalających na zatrzymanie osób na 48 godzin bez zgody prokuratora. Zdarzało się, że dopiero po 96 godzinach wypuszczano człowieka z aresztu.

Janouch postuluje skrócenie tych terminów o połowę.

2. *Rewizja domowa*. Janouch stwierdza, iż wobec powtarzających się faktów dokonywania rewizji bez zgody prokuratora (na co ustawa zezwala jedynie w wyjątkowych przypadkach) należy wprowadzić zmianę w kierunku zwiększenia gwarancji jednostki — a zatem rewizja wyłącznie za zgodą prokuratora.

3. *Trwanie aresztu tymczasowego*. Janouch postuluje wyraźne ograniczenie terminów (do jednego miesiąca i to tylko przez sąd).

4. *Jawność rozpraw*. Praktyka dowodzi, iż w ostatnich czasach wyraźnie ograniczano jawność rozpraw sądowych, gdzie nawet najbliżsi krewni oskarżonego pozbawieni byli możliwości przysłuchiwać się rozprawie. Janouch postuluje zmianę odpowiedniego przepisu w tym kierunku, który nakazywałby sądowi dopuszczenie najbliższych na rozprawę.

W dalszych uwagach Janouch domaga się zagwarantowania statusu więźniów politycznych oraz trybu odbywania kary pozbawienia wolności w ogóle. Postuluje on zniesienie przepisów ograniczających widzenia, zwłaszcza z najbliższymi, cenzurę korespondencji etc. Ponadto zwraca uwagę na pozbawienie więźniów odpowiedniej opieki zdrowotnej, co powoduje iż wielu chorych i inwalidów doznało dodatkowych cierpień.



Wypuszczeni niedawno z więzienia Jirzi Hochman, Vladimir Nepresz i Karel Bartoszek otrzymali nakaz uiszczenia 3600 koron tytułem zwrotu kosztów utrzymania za okres przebywania w więzieniu. Tak jak gdyby byli w sanatorium!

Karol SZWEDOWICZ

Kraj

Oświata w Polsce

Świadomość głębokiego kryzysu polskiego systemu oświaty była od pewnego czasu powszechna. Przeciętny obywatel ma z tym systemem prawie codzienny kontakt dla wszystkich było więc jasne, że w swej masie, ci którzy mają uczyć, a więc nauczyciele, sami są nieukami, że szkolnictwo jest niedoinwestowane, że brak pomocy naukowych, że o wyborze zawodu nauczyciela od lat obowiązywała swoista negatywna selekcja, że — co najważniejsze — powszechna dostępność oświaty w Polsce była iluzją. Nic więc dziwnego, że na rezultaty prac Komitetu Ekspertów dla zbadania stanu oświaty w Polsce, opinia publiczna w kraju czekała z ogromnym zainteresowaniem. Powołanie owego komitetu w styczniu 1971 roku było jednym z tych spektakularnych pociągnięć nowej ekipy w kierownictwie partii, które miały potwierdzić dobrą tej ekipy wolę w realizacji nowej polityki społecznej, w eliminowaniu przedgrudniowych błędów. Postępy w odbudowie zamku są wyraźne, kiełbasa jeszcze nie podróżowała, ale sam raport choć już ukończony i przekazany uroczystie kierownictwu partii stał się, ku powszechnemu zaskoczeniu, przedmiotem państwowej tajemnicy.

O przeczytaniu całości raportu przeciętny obywatel nie ma co marzyć — dla niego przeznaczone są skąpe informacje i prasowe publikacje, które nazywają się „ogólnonarodową dyskusją nad stanem oświaty”. Wtajemniczone grono aktywistów partyjnych mogło zapoznać się jedynie ze stustronicowym skrótem, zatytułowanym „Założenia i tezy raportu o stanie oświaty”. Co więcej — mówi się nawet, że minister oświaty Kuberski powołał już nowy komitet dla weryfikacji wyników prac starego. Działaczom, przywykłym od lat do fetowania i podsumowywania osiągnięć, obraz oświaty narodowej w oczach komitetu ekspertów pod przewodnictwem prof. Szczepańskiego wydał się zbyt już czarny.

Los raportu i jego treść, wreszcie znaczenie oświaty dla przy-

szości narodu uzasadniają więc potrzebę zreferowania czytelnikom *Kultury* choćby owego skrótu raportu, który mimo że zredagowany w obowiązującej w takich razach stylistyce — polegającej na akcentowaniu osiągnięć, a tuszowaniu negatywów — zawiera obraz polskiej oświaty dość przygnębiający, jeśli nie wręcz katastrofalny.

Wiarygodność rezultatów prac Komitetu Ekspertów potwierdzają rozmiary badań: na zamówienie komitetu wykonano 88 opracowań i ekspertyz naukowych, w których przygotowaniu brało udział ponad 200 pracowników nauki, zebrano 273 analizy i informacje, opracowane przez rozmaitego rodzaju instytucje i organizacje, wreszcie wykorzystano 1352 publikacje i postulaty prasowe.

Zebrane w ten sposób materiały zostały wykorzystane do: „możliwie wszechstronnego naświetlenia wszystkich aspektów organizacji systemu oświatowego, zwłaszcza systemu szkolnictwa, wejścia strumienia młodzieży do tego systemu, jego repartycji między poszczególnymi poziomami i kierunkami kształcenia, jak również procesów zachodzących w tym systemie, jego efektywności i funkcjonalności w osiągnięciu wyznaczonych zadań”. Wreszcie w końcowej części raportu przedstawiono propozycje zmian i reform w systemie oświaty.

Referując założenia ideologiczne i teoretyczne prac nad raportem, jego autorzy podkreślają, że rola oświaty i systemu wychowania, rola szkoły jako głównej instytucji celowego i zorganizowanego kształcenia — będzie stale wzrastała. Tworzy to konieczność stałego racjonalizowania metod kierowania oświatą, a „polityka oświatowa będzie musiała się posługiwać starannie opracowanym systemem diagnoz pozwalających stale kontrolować funkcjonowanie oświaty i w porę wykrywać jej niedomagania, wskazywać kierunki korekt”.

Drugi rozdział omawianej publikacji zawiera analizę perspektyw rozwoju Polski jako przesłanek dla przyszłego rozwoju oświaty. Nie będziemy zatrzymywali się nad nim dłużej. Zawiera on rzeczy ogólnie znane na temat przyszłych zmian w strukturze demograficznej i społecznej Polski, w oparciu o dokumenty ostatniego zjazdu Partii. Znacznie bardziej będzie nas interesował następny rozdział, poświęcony ocenie obecnego systemu szkolnego.

Zwróciliśmy wcześniej uwagę na charakterystyczną dla omawianego skrótu stylistykę — słowa krytyki, czy nawet konstatacja jakichś zjawisk czy faktów niekorzystnych muszą być zrównoważone akcentem optymistycznym, podkreśleniem osiągnięć. Stąd niejaki zdziwienie gdy dowiadujemy się po imponujących zestawieniach ilości absolwentów szkół rozmaitego stopnia, czy ilości wybudowanych szkół, że „w 1970 roku, nadal blisko 5 milionów osób nie posiadało wykształcenia podstawowego i około 10,5 mln. osób legitymowało się tylko wykształceniem podstawowym”, przy czym pod uwagę możemy brać jedynie ludność powyżej 15 lat (24 mln.) Ale żeby nie wprowadzać bałaganu w dalszym ciągu przy omawianiu stanu oświaty w Polsce będzie-

my trzymać się tej kolejności omawiania problemów, jaką znajdujemy w raporcie Komitetu Ekspertów.

A więc sprawa dostępności systemu szkolnego. Wskaźnik realizacji obowiązku szkolnego wynosi 99,5% w stosunku do dzieci w wieku 7-16 lat. Tym niemniej okazuje się, że w roku 1967 mieliśmy w I klasie szkoły podstawowej dzieci z pięciu roczników. Zdaniem autorów raportu „większość dzieci wiejskich ma nie tylko trudniejszy dostęp do szkół ze względu na dzielącą je od nich odległość, lecz także uczęszcza do szkół o niższym na ogół poziomie wyposażenia, słabszej kadrze, niższej jakości budynków. Oprócz tego istniejąca obecnie sieć szkół zawodowych, średnich szkół ogólnokształcących i techników także stwarza bardzo różnicowane szanse dalszego kształcenia, w wielu wypadkach utrudniając pewnej liczbie dzieci wiejskich i małomiasteczkowych bezpośredni do nich dostęp. Tę sytuację dodatkowo utrudnia słabość obecnych instytucji poradnictwa zawodowego, orientacji szkolnej i poradnictwa wychowawczego, wskutek czego absolwenci szkół podstawowych nie otrzymują na ogół właściwej pomocy przy podejmowaniu decyzji w tak istotnej sprawie, jak wybór kierunku dalszej nauki lub pracy zawodowej”. Dalsze momenty na które zwraca uwagę raport, to słaba sieć internatów, wadliwy system stypendialny, wreszcie „obowiązująca do niedawna zasada kierowania strumieniem młodzieży do szkół zawodowych i ogólnokształcących w proporcji 4:1 na korzyść szkół zawodowych”.

Choć oficjalnie oświata jest w Polsce bezpłatna, to „w ostatnich latach systematycznie wzrastają wydatki ludności na kształcenie. Szczególnie wysoki jest udział ludności w finansowaniu szkolnictwa podstawowego (wydatki komitetów rodzicielskich sięgają w wielu miastach nawet 100% wydatków z budżetu państwa przeznaczonych na zakup inwentarza i pomocy szkolnych)! W tej sytuacji jakże uzasadniona wydaje się konkluzja: warunki materialne rodzin i ich obciążenia finansowe z racji kształcenia dzieci — niezależnie od aspiracji poziomu wykształcenia rodziców — są istotnym czynnikiem przy dokonywaniu wyboru form kształcenia ponadpodstawowego, a w konsekwencji wpływają w poważnym stopniu na strukturę klasową przyszłej inteligencji”.

Analizę obecnego ustroju szkolnego raport rozpoczyna od przypomnienia, że „ciągle jeszcze mamy poważne braki w poziomie wykształcenia ludności stające się zaporą dla szybkiej i efektywnej modernizacji wszystkich dziedzin życia społeczeństwa. Tak więc na podstawie spisu powszechnego z 1970 roku wśród 11 milionów robotników i rolników mieliśmy około 800 tysięcy z wykształceniem średnim i około 1 miliona 200 tysięcy z wykształceniem zasadniczym zawodowym”. Zupełnie rewelacyjne wydają się dane na temat poziomu wykształcenia zatrudnionych w gospodarce społecznej. Aż 16,4% nie miało wykształcenia podstawowego, a 400 tys. osób to analfabeci i *półanalfabeci* (!).

Aktualny ustrój szkolny jest zdaniem Komitetu Ekspertów absolutnie nieefektywny. Aparat administracyjny szkolnictwa jest

sformalizowany, „gubi z pola widzenia treść działalności szkoły na rzecz zagadnień formalno-prawnych, zdarzają się wypadki niewłaściwego doboru kadr na stanowiska dyrektorów szkół wszystkich stopni, część personelu inspektorskiego i wizytatorskiego nie ma odpowiednich kwalifikacji”.

Programy nauczania są przeładowane szczegółami, a poza obrębem nauki pozostaje szereg ważnych dziedzin, jak „organizacja własnego życia, ekonomika gospodarstwa domowego, funkcjonowanie rodziny, społeczeństwa i państwa, prawa, itp.”.

Nieefektywne jest również szkolnictwo zawodowe: „rozdrobione specjalizacje i długi cykl kształcenia zawodowego powodują, że młodzi absolwenci masowo podejmują pracę poza zawodem i specjalnością wyuczoną i wymagają ponownego przyuczenia do zawodu”.

Raport krytycznie ocenia efekty systemu szkolnictwa w gospodarce narodowej, świadomości społecznej i rozwoju osobowości, bowiem „nie daje (szkolnictwo) wszechstronnej wiedzy o rzeczywistym funkcjonowaniu państwa, nie zapewnia wielu obywatelom podstaw umożliwiających im pełne zrozumienie polityki państwa, nie przygotowuje należycie do pełnowartościowego partnerstwa w budowaniu ustroju. Wynika to między innymi z *wadliwej koncepcji przedmiotu „Wychowanie obywatelskie”*.”

W dużym stopniu źródłem nieefektywności systemu szkolnego jest niski poziom kadr nauczycieli. Oto co Komitet Ekspertów ma do powiedzenia na ten temat: „Trzeba stwierdzić, że w tym zakresie bardzo silnie występowały ujemne procesy negatywnej selekcji do zawodu, że zawód ten, do niedawna źle płatny i o stale spadającym prestiżu, nie przyciągał dostatecznej liczby kandydatów wartościowych. Ponadto zachodziła w nim dodatkowa selekcja negatywna, gdyż szeregi nauczycieli opuszczali ludzie z lepszym wykształceniem i zdolniejsi, szukając pracy poza szkołą. Racjonalny dobór kadr do szkolnictwa wyższego utrudniały ponadto sztywne przepisy meldunkowe i deglomeracyjne, które praktycznie eliminowały możliwości zatrudnienia kandydatów najzdolniejszych na rzecz stałych mieszkańców miast akademickich. Trzeba także stwierdzić, że dobór kadr kierowniczych na stanowiska w szkołach wszystkich poziomów nie zawsze gwarantował obejmowanie tych stanowisk przez osoby o wysokich kwalifikacjach. Stąd też bierze się paradoks, że na stanowiska kierownicze w szkołach wyższych przygotowuje się kadrę nadal metodami tradycyjnymi, a nie nowoczesnymi”. Podsumowując rozważania na temat efektywności systemu szkolnictwa raport zamyka je konkluzją: „Zebrane materiały wskazują na niebezpieczne zjawisko pewnego obniżenia jakości pracy dydaktyczno-wychowawczej, co ma swoje przyczyny zarówno w organizacji i w ustroju szkolnictwa, jak również w metodach kierowania strumieniem młodzieży przez system szkolny przepływającej, w doborze treści, w zaoferowaniu metodycznym, złym wyposażeniu, wreszcie w brakach kadry nauczającej”.

W podrozdziale na temat warunków i kosztów funkcjonowa-

nia systemu szkolnego najważniejsze wydają się następujące ustalenia raportu: „Mówiąc o doskonaleniu systemu oświaty musimy pamiętać, że wiele jego elementów zależy bezpośrednio od czynników zewnętrznych. Jeżeli więc te elementy zewnętrzne nie zostaną udoskonalone, wtedy także nie można doskonalić samego systemu szkolnego. Tymczasem w wielu kręgach istniało milcząco przyjmowane założenie, że system szkolny jest **autonomiczny i że jego doskonalenie można przeprowadzić wyłącznie w jego ramach. Było to niesłuszne**”.

„Z zebranych materiałów wynika, że zarządzanie systemem szkolnictwa przez 24 ministerstwa i instytucje centralne powoduje wiele trudności, prowadzi do rozproszenia wysiłków i środków, utrudnia jednolitą politykę szkolną, sprzyja tworzeniu się podsystemów resortowych, ułatwia powstawanie różnych grup interesów”.

„... zasadniczego udoskonalenia wymaga dotychczasowy system zarządzania szkolnictwem, zarówno podstawowym, średnim jak i wyższym. Dotyczy to zwłaszcza podziału kompetencji między władze terenowe i centralne. Gruntownej analizy wymaga aktualnie obowiązujący system finansowania szkół, a przede wszystkim różne wskaźniki ustalające poziom wydatków, zupełnie już nieadekwatne do istniejących aktualnie zadań i potrzeb szkolnictwa”.

„Ogólna suma nakładów na oświatę stanowiła 5,1 % dochodu narodowego podzielonego. Nakłady te *nie zabezpieczają w pełni potrzeb szkolnictwa*. Szczególnie odczuwalne są braki w budownictwie i wyposażeniu szkół wiejskich oraz szkolnictwa wyższego. Wysokie są też wskaźniki uczniów (studentów) przypadających na jednego nauczyciela, lub nauczyciela akademickiego. Przeciążenie personelu nauczającego i niedoinwestowanie szkolnictwa wyraża się w ostatnich latach *zmniejszającym się kosztem kształcenia ucznia (studenta) co zapewne posiada swój wpływ na jakość kształcenia*”.

Te ogólne rozważania stały się punktem wyjścia dla analizy i oceny poszczególnych form kształcenia. Żadna z aktualnie istniejących form kształcenia — zdaniem komitetu ekspertów — nie spełnia stojących przed nią zadań. Poczynając od przedszkoli do studiów podyplomowych, na wszystkich poziomach zjawiska negatywne zdominowały procesy kształcenia.

Jeśli idzie o przedszkola to: upowszechnienie ich jest u nas niedostateczne, metody i treść wymagają modernizacji odpowiadającej współczesnemu stanowi psychologii rozwojowej i pedagogiki, kadra wychowawców wymaga lepszego wykształcenia, możliwe na poziomie wyższym, a przyjęta u nas norma dzieci na jednego wychowawcę jest najwyższa w krajach socjalistycznych, sieć przedszkoli jest skupiona głównie w miastach. W szkole podstawowej jest nielepiej, rejestr negatywów jest podobny: złe programy, złe podręczniki, brak współpracy szkoły z rodziną, nienowoczesne formy nauczania, zbyt liczne klasy. Ale zupełnie alarmujące są dane na temat poziomu wykształcenia nauczycieli szkół podstawowych. Tylko 6 % nauczycieli szkół podstawowych

posiada wykształcenie wyższe, 70,5 % ukończyło studia nauczycielskie, 23,5 % ma zaledwie wykształcenie średnie.

Jeśli idzie o szkoły średnie, to podstawowym ich celem jest przygotowanie absolwentów do studiów wyższych. Ale „szkoła ta nie jest popularna w kręgach robotników i chłopów, gdyż nie przygotowuje absolwentów do podjęcia pracy zawodowej. Wskutek tego staje się ona coraz wyraźniej, przede wszystkim w dużych ośrodkach miejskich, szkołą o przewadze dzieci wywodzących się ze środowisk inteligentnych, co nie pozostaje bez późniejszego wpływu na skład socjalny młodzieży akademickiej. Ponad 70 % ogółu uczęszczających do niej uczniów stanowią dziewczęta”.

Później powracają sprawy znane: złe programy, podręczniki, przestarzałe metody nauczania. I znów problem nauczycieli: zupełnie niebываły wydaje się fakt zmniejszenia się procentu nauczycieli z wyższym wykształceniem wśród tych, którzy uczą w szkołach średnich z 91,9 % w 1968 roku, do 84,9 % w 1971. Wreszcie okazuje się, że szkoły średnie w Polsce posiadają zaledwie 15-20 % *potrzebnego im wyposażenia*.

Wagi szkolnictwa zawodowego nie trzeba uzasadniać. Stanowi ono podstawowe źródło wykwalifikowanych robotników i średniego personelu technicznego. Tymczasem: „Szkoly zawodowe z wyjątkiem szkół przyzakładowych są niedostatecznie na ogół powiązane z zakładami pracy, kształcą pracowników dla nieznanego odbiorcy, co ujemnie odbija się na jakości przygotowania do pracy i gotowości jej podejmowania, a oprócz tego są to szkoły drogie i o długim cyklu kształcenia... Szkolnictwo tego typu daje również za mało wiedzy o organizacji pracy i kierowaniu pracą, nie daje należytej kultury pracy i troski o przestrzeganie etyki zawodowej, zapewnia niezadawalającą znajomość nowoczesnych maszyn i technologii, a zależność szkół przyzakładowych od przedsiębiorstw sprawia, że szkoły te niekiedy traktują uczniów jako rezerwę produkcyjną”. Wreszcie zjawiska charakterystyczne dla całego szkolnictwa: niski poziom wykształcenia nauczycieli, złe wyposażenie w nowoczesną aparaturę laboratoryjną, urzędnictwo i maszyny, złe zaopatrzenie szkół w materiały i narzędzia niezbędne dla organizowania procesów praktycznej nauki zawodu itp.

Szkolnictwo wyższe było chyba najczęściej przedmiotem manipulacji ze strony partii. Brzmi to prawie humorystycznie, ale jak podaje raport komitetu ekspertów działalność szkolnictwa po wojnie była regulowana przez sześć zmieniających się ustaw „które jednak nie doprowadziły do ukształtowania jasnej koncepcji modelowej”.

Listę niedomagań szkolnictwa wyższego należy zacząć od wadliwego systemu selekcji. Wysoki odsiew na egzaminach wstępnych świadczy nie tylko o złym przygotowaniu kandydatów, ale także o słabości systemu orientacji szkolnej i poradnictwa zawodowego. Zastrzeżenie budzi, zdaniem Komitetu Ekspertów, system punktowy za pochodzenie „w praktyce mało skuteczny —

wymaga udoskonalenia m.in. na tle niezadowolenia tych grup inteligencji ludowej, które awansowały do zawodów inteligentnych dzięki pomocy władzy ludowej”.

„Zbyt poważny odsetek młodzieży zdolnej nie dochodzi do szkół wyższych” — formułując taką opinię raport szuka źródeł tego zjawiska m.in. w słabościach systemu stypendialnego. Okazuje się, że w ciągu ostatnich lat liczba studentów pobierających stypendia systematycznie spada: podczas gdy w 1970 roku pomocą objętych było 43,6 %, to w 1960 54,4 %. I znów mamy do czynienia ze sprawą treści nauczania: „Treść kształcenia i wychowania jest przedmiotem licznych dyskusji i krytyki wobec przeciążenia programów nadmierną specjalizacją, małą efektywnością wychowawczą, a także z powodu niedostatecznej łączności z postępem naukowym”. Podobnie jak w przypadku szkół średnich rozmiary niedoinwestowania szkół wyższych są zastraszające: „kubatura przeliczeniowa na jednego studenta budynków dydaktycznych wynosiła w roku 1970 — 35 m³, wobec pożądanego stanu na poziomie 90 m³”.

Brakuje kadry naukowej i dydaktycznej. Cyfry, które ilustrują ten stan rzeczy również budzą zdumienie: na jednego nauczyciela akademickiego przypadało w Polsce w 1970 roku dziewięciu studentów, a na jednego profesora i docenta 50, podczas gdy w optymalnej sytuacji wskaźniki te powinny wynosić 5 i 25.

W nie najlepszym stanie jest system studiów podyplomowych. Rozważania na temat szkolnictwa wyższego kończy następująca konkluzja: „Sieć szkół wyższych budzi poważne wątpliwości. Ze słuszną krytyką spotyka się zwłaszcza lokalizacja szkół w ośrodkach powiatowych, gdzie nie ma ani bazy, ani koniecznego środowiska naukowego. Ogólnie można powiedzieć, że szkolnictwo wyższe wymaga racjonalizacji struktury, podniesienia efektywności nauczania i wychowania przez modernizację metod i programów, a także przez intensywne inwestycje”.

Dane na temat szkolnictwa specjalnego są wstrząsające. W 1970 roku na specjalistyczną opiekę w domu bądź w przedszkolu oczekowało 3 tys. dzieci z wadami wzroku i słuchu, 30 tys. dzieci opośledzonych umysłowo oraz 5 tys. dzieci kalekich i chorych. W tymże roku, ze względu na brak miejsca w specjalnych szkołach i klasach podstawowych, nie objęto tymi formami kształcenia około 15 tysięcy dzieci z wadami słuchu i wzroku, ponad 80 tys. dzieci opośledzonych umysłowo oraz 10 tys. dzieci kalekich i chorych, a także znaczną liczbę dzieci niedostosowanych społecznie. Wreszcie na miejsce w ponadpodstawowych szkołach specjalnych oczekowało w 1970 roku ponad 40 tys. młodzieży defektywnej. Na dziesięć tysięcy nauczycieli szkolnictwa specjalnego połowa nie posiada wymaganych kwalifikacji. W rezultacie opieką objętych jest tylko 20 % *młodzieży defektywnej*, przy czym szczególnie drastycznie przedstawia się ten problem na wsi i w małych miasteczkach.

Kształcenie nauczycieli: Poziom wykształcenia ilustrują następujące cyfry: „w roku 1971 na 358.158 pracujących w zawodzie

nauczycielskim studia wyższe magisterskie posiadało 15,8 %, wyższe zawodowe 3,5 %, studium nauczycielskie 53,9 %, liceum pedagogiczne 24,4 %, średnie zawodowe 1,9 %, średnie ogólnokształcące 0,2 %, poniżej średniego 0,3 %". Ale wymowniejsze są inne dane, te które obrazują odpływ i fluktuację wewnątrz zawodu nauczycielskiego. I tak w latach 1952-1964 odeszło z zawodu nauczycielskiego 146 tysięcy osób. W roku 1968/9 z zawodu odeszło 19.500 nauczycieli, co spowodowało ograniczenie przechodzenia na emeryturę; od października 1969 do listopada 1970 odeszło ich 18.752. Zwracaliśmy już uwagę na eufemistyczny ton wielu sformułowań raportu. Tym razem jednak Komitet Ekspertów pozwolił sobie na pewną dosadność: „są to zjawiska alarmujące, gdyż jest rzeczą stwierdzoną, że odchodzą nauczyciele z wyższym wykształceniem, z większym zasobem inicjatywy”. Wreszcie wśród nauczycieli zbyt duży jest odsetek tych, którzy nauczają przedmiotów niezgodnych z ich specjalnością, co oznacza, że w takim wypadku mamy do czynienia z siłami niekwalifikowanymi. System kształcenia nauczycieli spotyka się z ostrą krytyką: „Wyższe szkoły nauczycielskie skupiają bardzo małą liczbę doktorów habilitowanych, nie ma tam profesorów, kadra nauczająca samodzielna i pomocnicza jest w wielu wypadkach dobrana przypadkowo, co niewątpliwie wpływa na poziom nauczania. Kształcenie nauczycieli na uniwersytetach wymaga zmian i udoskonalania, gdyż studia w zakresie pedagogiki i dydaktyki są skromnym dodatkiem do kształcenia merytorycznego i nie dają dostatecznego przygotowania w zakresie teorii i praktyki nauczania i wychowania”.

Analizę rozmaitych form kształcenia kończą uwagi na temat kształcenia pracujących. I tu sytuacja niewesoła: „Zasady i przepisy prawne powstałe na początku lat pięćdziesiątych są obecnie przestarzałe i wymagają daleko posuniętej modyfikacji. Istnieje szczególna potrzeba poprawy warunków pobierania nauki, tworzenia programów, i przygotowywania pomocy dydaktycznych...”. Gorzko wypada więc podsumowanie przedstawionych analiz: „Aktualny system jest zbyt kosztowny, a przy tym mało efektywny pod względem pedagogicznym, politycznym, społecznym, ekonomicznym i kulturalnym” (!).

Część czwarta raportu i jego skrótu zawiera proponowane kierunki naprawy szkolnictwa. Punktem wyjścia dla przedstawionych propozycji jest decyzja VI Zjazdu o wprowadzeniu w najbliższym czasie obowiązkowego wykształcenia średniego. Przedstawiając kilka wariantów przyszłej reformy Komitet Ekspertów opowiada się za jedenastoletnią szkołą ogólnokształcącą: „Podstawę systemu szkolnego ma stanowić po raz pierwszy w dziejach Polski — jednolita, powszechna 11-letnia szkoła ogólnokształcąca. Likwiduje ona dotychczasową dwoistość losów szkolnych młodzieży, gdy po ukończeniu szkoły podstawowej, jedna jej część wstępowała na drogę maturalną, wiodącą bezpośrednio do studiów wyższych, druga zaś ucząc się zawodu z bliską perspektywą pracy, faktycznie miała utrudniony dostęp do tych stu-

diów”. Postulując taki kształt przyszłej szkoły raport zwraca uwagę na konieczność podniesienia poziomu przedszkoli, gdzie celem zajęć byłoby przede wszystkim wyrównywanie ewentualnych braków wychowania rodzinnego. Start szkolny następowałby w takim wariacie wcześniej; dzieci, które do końca czerwca ukończą sześć lat, powinny być w tym roku przyjmowane do I klasy. Najniższym szczeblem powszechnej szkoły ogólnokształcącej byłyby klasy I-III, tak zwane klasy wstępne. Kolejny etap omawianego modelu szkoły to klasy IV-VIII, gdzie również obowiązywałby jednolity w skali całego kraju program. Na tym etapie raport kładzie duży nacisk na zajęcia pozalekcyjne dostosowane do zdolności i możliwości uczniów, jednym słowem zajęcia o zindywidualizowanym programie. Ostatni wreszcie etap szkoły średniej to klasy VIII-IX, gdzie wprowadzono by następujące ciągi nauczania: a) matematyczno-fizyczno-techniczny b) chemiczno-biologiczno-rolniczy c) społeczno-ekonomiczny d) humanistyczno-kulturalny. Matura w jej obecnym kształcie musi, zdaniem komitetu, ulec likwidacji, a wszyscy absolwenci szkoły średniej otrzymywaliby świadectwo uprawniające do ubiegania się o przyjęcie na studia wyższe. Tak więc w proponowanym modelu oświaty obowiązkiem szkolnym byłaby objęta cała młodzież do 18 roku życia.

Wprowadzenie szkoły średniej w omówionym wyżej kształcie spowodowałoby konieczność gruntownych zmian jeśli idzie o szkolnictwo zawodowe i akademickie. Generalnie rzecz biorąc proponowane przez Komitet Ekspertów kierunki reformy szkolnictwa zawodowego przewidują przerzucenie ciężaru szkolenia zawodowego na barki pracodawcy: „Intensywne kształcenie przy udziale i pod nadzorem pracodawcy, w połączeniu z uzyskanym przez absolwenta szkoły średniej wykształceniem ogólnym, pozwala na efektywne przygotowanie do zawodu pracownika chłonnego wobec zmian w technice i technologii”.

Przewidywana struktura szkolnictwa wyższego przewiduje podział tego szkolnictwa na dwa podstawowe i równoległe tory kształcenia: a) Kształcenie wyższe zawodowe, o ok. 3-letnim okresie studiów, b) kształcenie wyższe magisterskie, o 4-6-letnim okresie studiów. Wreszcie projektuje się wprowadzenie dla najzdolniejszych absolwentów, potencjalnych pracowników naukowych, uzupełniających studia naukowych o ok. 2-letnim czasie trwania, pogłębiających wiedzę teoretyczną i przygotowujących do doktoratu.

Jeśli idzie o przyszłą reformę szkolnictwa specjalnego, to nim zostanie ona podjęta konieczne są gruntowne studia nad tym rodzajem szkolnictwa.

Raport zakłada, że szkolnictwo specjalne obejmuje 5 % każdego rocznika. Nie jest to odsetek zbyt wysoki, jednak zapóźnienia w rozwoju kształcenia dzieci defektywnych stały się już alarmujące.

Tak zaprojektowany system szkolny wymaga uzupełnienia w postaci dobrze zorganizowanej sieci poradnictwa wychowawczego

i orientacji zawodowej, rozbudowy wymaga system kształcenia ustawicznego, obejmujący wszystkich zatrudnionych w gospodarce narodowej przez cały okres ich aktywności zawodowej.

W części analitycznej raportu jego autorzy ostro skrytykowali aktualną treść i metody kształcenia oraz wychowania. Tak więc w proponujących reform raport nie pomija i tego problemu. Należy zrekonstruować treści kształcenia w taki sposób, by „nie stan, zakres i encyklopedyczne ujęcie wiedzy w aktualnym stanie nauki, lecz wiedza umożliwiająca racjonalne funkcjonowanie absolwentów w procesach życia społeczeństwa stanowiła podstawowy punkt wyjścia w konstruowaniu programów i treści kształcenia”. Zdecydowanej rozbudowy wymaga przemysł środków nauczania, wreszcie nie może pozostać bez zmian aktualna organizacja nauczania, co m.in. wymagać będzie „rozluźnienia sztywnych organizacyjnych struktur klas, okresów nauczania, indywidualnych programów dla szczególnie zdolnych, co z kolei wymaga zmian w systemie przepisów i schematów organizacyjnych”.

Kolejny punkt proponowanej reformy to zmiany w przygotowywaniu kadr nauczycielskich. „Zróżnicowany i wielostopniowy system kształcenia nauczycieli trzeba zastąpić systemem jednolitym, realizowanym w szkołach akademickich”. Wreszcie raport zwraca uwagę w dość alarmującym tonie że „etapowe dokształcanie wszystkich nauczycieli do poziomu wyższego akademickiego jest palące i że wymaga ono stworzenia specjalnych form łączących kształcenie w szkołach wyższych z wykorzystaniem środków masowego przekazu”.

Daleko idących zmian wymaga organizacja administracji szkolnictwa, a ponieważ „obecne techniki i metody finansowania szkolnictwa budzą poważne wątpliwości wśród planistów, oraz wiele niezadowolonych wśród pedagogów”, to „konieczna jest rewizja systemu kompetencji w planowaniu i finansowaniu oraz realizacji budżetu oświaty”.

Dużą rolę wyznacza raport w przyszłym systemie szkolnictwa samorządowej roli młodzieży: „Postuluje się zatem rozwinięcie samorządu w szkołach, zmianę zarządzeń ograniczających rolę samorządu, pozostawienie młodzieży większej samodzielności w zakresie działania organizacji młodzieżowych”... Nie może być jaskrawych rozbieżności między deklaracjami o roli młodzieży i „jej rzeczywistymi możliwościami i kompetencjami”.

Tak skonstruowany przyszły model szkolnictwa wymaga równocześnie rozwinięcia zaplecza naukowo-badawczego „tak więc postuluje się by badania naukowe weszły w skład systemu szkolnego i systematycznie zasilaty go w informacje warunkujące proces samoadaptacji i samodoskonalenia tego systemu”.

Proces nauczania w ramach szkół rozmaitego stopnia wymaga — według raportu — zharmonizowania go z całością wszystkich instytucji oświatowych: „Postuluje się więc utworzenie skoordynowanego systemu kształcenia i wychowania, obejmującego rodzinę, przedszkole, system szkolny, organizacje młodzieżowe, ins-

tytucje opiekuńcze i ochrony zdrowia, instytucje społeczno-polityczne i organizacje, zakłady pracy i związki zawodowe, wojsko, instytucje upowszechnienia kultury, instytucje naukowe i upowszechnienia wiedzy, radio, telewizję, prasę, biblioteki, muzea, teatr, kino i film, instytucje wychowania muzycznego, sportu i turystyki”. Zwraca uwagę wysoka pozycja w tym rejestrze instytucji ochrony zdrowia. Nie zdziwi to specjalnie nikogo, bo jak to formułuje dalej raport „*stan zdrowotności młodzieży jest alarmujący*”.

Ta część raportu postuluje także w reformowaniu systemu szkolnictwa uwzględnienie wychowawczej działalności Kościoła: „Niemalą rolę wychowawczą spełnia w naszym kraju także Kościół Katolicki i inne grupy wyznaniowe. Kościół prowadzi samodzielną politykę w zakresie oświaty i wychowania, jest ciągle siłą o dużych wpływach także na młodzież, dlatego też jego cele, metody i techniki działania powinny być uważnie badane. Kościół bowiem stanowi swoistą instytucję wychowania i kształcenia o celach odrębnych, a w niektórych punktach przeciwstawnych polityce oświatowej państwa. Postulaty Kościoła w zakresie wychowania były wyraźnie sformułowane, znane są również cele wychowania religijnego, stąd trzeba je brać pod uwagę w przygotowaniu treści metod i środków pracy wychowawczej, kształtującej marksistowski pogląd na świat”.

Ostatnia, szоста część raportu omawia etapy i warunki realizacji przyszłych zadań oświatowych. Raport proponuje realizację reformy w dwóch etapach. Etap pierwszy założony na lata 1976-1980, ma być etapem o charakterze doraźnym i najpilniejszym, zmiany długofalowe powinny nastąpić w etapie drugim w latach 1981-1990. Ponieważ reforma w proponowanym przez Komitet Ekspertów kształcie nie została jeszcze zdecydowana i jej losy zależą od późniejszych postanowień kierownictwa partyjnego, raport zwraca uwagę, że: „Niezależnie od generalnych decyzji w sprawie przyszłego modelu oświaty, bezsporne są kierunki natychmiastowej realizacji programu doraźnych reform, umożliwiających przyszłe zmiany w szkolnictwie”. Do prac tych należą: 1) rozszerzenie sieci przedszkoli zwłaszcza wiejskich, 2) zmiany w systemie kształcenia i dokształcania nauczycieli, 3) rozbudowa bazy dydaktycznej i lepsze wyposażenie szkolnictwa ogólnokształcącego oraz wyższego, 4) rozbudowa szkolnictwa specjalnego, 5) rozbudowa zaplecza socjalnego i sportowego szkolnictwa, 6) utworzenie systemu komunikacji szkolnej, 7) rozbudowa sieci poradni zawodowo-wychowawczych, 8) generalna rewizja systemu stypendialnego na wszystkich szczeblach.

Jeśli jednak generalna reforma w proponowanym kształcie zostanie podjęta, to w okresie jej realizacji do 2000 roku obejmie ona następującą część młodzieży: z rocznika rozpoczynającego naukę, szkołę średnią ukończy 65 %, odsetek ten zwiększy się do 70 % rocznika w 1985, 75 % — 1990, 80 % — 1995, 90 % — w 2000 roku.

Podsumowując swoje rozważania Komitet Ekspertów stwier-

dza, że reforma w proponowanym w raporcie kształcie jest najtańszym sposobem uzdrowienia polskiej oświaty. Wymaga to jednak zabezpieczenia dla potrzeb oświaty 6% dochodu narodowego. Choć reforma systemu szkolnego wywołać może doraźne złagodzenia, bądź zakłócenia w napływie młodzieży do miejsc pracy, to zdaniem raportu konsekwencje tych wahań w proponowanym modelu reformy zostają maksymalnie złagodzone, a nawet „w następstwie zreformowania szkolnictwa dopływ młodzieży do pracy będzie w okresie 1971-2000 bardziej równomiernie rozłożony między poszczególnymi pięciolecia, aniżeli wynikałoby to ze zróżnicowania w ich przyrostach demograficznych”.

Przedstawiony powyżej skrót był pobieżny, jego wartość umniejsza niewątpliwie fakt, że nie był on robiony na podstawie oryginału raportu. Jednak starałem się wiernie przytoczyć najważniejsze dane na temat sytuacji systemu oświaty w Polsce. Nie ma oczywiście wątpliwości, że aktualny stan systemu narodowej edukacji w Polsce jest funkcją panującego w kraju systemu społecznego i politycznego. Raport o tym wspomina. W wywiadzie dla krajowego *Miesięcznika Literackiego*, przewodniczący Komitetu Ekspertów, prof. Jan Szczepański, powiedział m.in.: „równocześnie trzeba także zmieniać te wszystkie instytucje pozaoświatowe, które wyznaczają funkcjonowanie tego systemu w społeczeństwie”. Wolno chyba przypuszczać, że raport w zbyt dużym stopniu prawdę tę ujawnia, że choć w tym samym wywiadzie prof. Szczepański podkreśla, że „raport nie proponuje szczegółowych ulepszeń innych sfer naszego życia”, to wyniki prac Komitetu Ekspertów potwierdzają konieczność zasadniczych przemian, nie tylko w oświacie. W dwa i pół roku „po Grudniu” prawda w tak szerokim wymiarze okazała się dla nowej ekipy niewygodna, posłużono się więc wypraktykowaną metodą jej zatajenia.

Andrzej ŻAK

Artykuł nadesłany z Kraju.

Palenie książek w PRL

„Dajmy mu na poświsko / Sprzeczne
z naturą nazwisko”.

(J. Słowacki, *Kordian*).

Niewątpliwie trudno jest popełnić zbrodnię doskonałą, nawet jeśli jest to zbrodnia na książkach, choć prawda o zbrodni ujawnia się nieraz późno. Jednocześnie tego typu zbrodnia zaskakuje tych wszystkich, którzy słyszą

stale jak wiele wysiłku władza Państwo socjalistyczne w gromadzenie księgozbiorów i zabezpieczenie starych książek. Nie pozwala się wywozić ich za granicę bez zezwolenia, wiele bibliotek państwowych (np. Narodowa w Warszawie) wydają na zakup dawnych pozycji nie błahe sumy; wielu wreszcie bibliofilów i co inteligentniejszych kierowników punktów skupu makulatury wyławia różne stare książki, ratując je przed zagładą dla dobra kultury polskiej.

— Tymczasem zgoda inaczej zdecydowano postąpić z dawnymi książkami w Wydziale Oświaty w Nowym Targu: posiadany przedwojenny księgozbiór Biblioteki Pedagogicznej zwanej w różnych okresach „Biblioteką Inspektora Szkolnego” lub „Biblioteką Rady Szkolnej Powiatowej” przeznaczono po prostu na spalenie. Całopalenia posiadane księgozbioru dokonano, z uwagi na jego rozmiary, w kilku etapach pod koniec lipca 1967 roku. Choć trudno dzisiaj podać dokładną liczbę owych porządnie oprawionych książek, oddanych na pastwę ognia, nie mogła ona być mała skoro książki te zwałone na stos zajmowały pół biurowego pokoju w wyżej wymienionym Wydziale. A były między nimi cenne doprawdy pozycje, całkowicie dzisiaj wyczerpane na rynku (np. książki Bujaka, Krzywickiego, Mysłakowskiego itp.). Podobno Wydział Oświaty w Nowym Targu chciał książki te przekazać tamtejszej Bibliotece Pedagogicznej, która (podobno) odmówiła ich przyjęcia zaskaniając się brakiem miejsca nawet na nowe tytuły...

Istnieją jakoby w Polsce Ludowej przepisy, nie pozwalające trzymać w lokalnych bibliotekach publicznych książek wydanych przed 1945-ym rokiem. Jeśli nawet tak jest, to nie brakuje bibliotek w Polsce, które podobny księgozbiór przyjęłyby z przysłowiowym pocałowaniem ręki, ba nie tylko przyjęły ale i zapłaciły, bo na te cele rozporządzają znacznymi funduszami. Wreszcie istnieją antykwariaty i setki instytucji, nie mówiąc o licznych, na szczęście, miłośnikach książek (również na pewno wśród nauczycieli Wydziału Oświaty w Nowym Targu), które takie właśnie pozycje chętnie by nabyły. Dlaczego więc wybrano w Nowym Targu właśnie ogień, nawet nie zbiornicę makulatury?

Sprawa wymaga wyjaśnienia, mimo upływu kilku lat, gdyż nie chodzi tu tylko o dobre imię Wydziału Oświaty w Nowym Targu, lecz o to, by za tym przykładem nie poszły inne Wydziały Oświaty oraz szkoły. Jak na razie krąży pogłoska, że podobnego całopalenia książek dokonano w jednej ze szkół średnich w Zakopanem („przykład” nie poszedłby więc, niestety, na marne). Ponadto jest prawdopodobne, że przepisy regulujące gromadzenie książek w lokalnych bibliotekach są dość niejasno sformułowane, co zwykle umożliwia względnie ułatwia podejmowanie nieobliczalnych decyzji. Jeśli zaś podobnego księgożarstwa w Zakopanem nie było, należałoby podać do wiadomości publicznej, co się stało z owym przedwojennym księgozbiorem, komu i kiedy został on przekazany. Tylko jasne wyjaśnienie położy kres pogłoskom budzącym niepokój u miejscowej społeczności.

ZAKOPIAŃCZYK

Polemiki

Siła filozofii czy filozofia siłacza

(Replika na Andrzeja Rapaczyńskiego „Niemoc filozofii czy filozofia niemocy”)

Wolałbym pismo filozoficzne do tej polemiki, lecz nie ma takiego. Rapaczyński zaś wymaga od czytelników swojej rozprawy, by uprzednio dokładnie znali moją książeczkę. Jest to niezbędny warunek, by jego krytykę zrozumieć, lecz bynajmniej nie wystarczający, żąda on bowiem ponadto, by czytelnik nie tylko znał obronę transcendentalizmu w doktrynie Hegla i Kanta, ale nadto już ją podzielał. Jakkolwiek bowiem byłbym zbudowany wiadomością, podaną przez Rapaczyńskiego, iż w 1781 roku ukazała się *Krytyka Czystego Rozumu*, musiałbym, chcąc jego zarzuty uznać, uznać zarazem, że tam właśnie wszystko to zostało udowodnione, co Rapaczyński chce udowodnić. *Quod nego*. Nie żądam bynajmniej, by Rapaczyński w swej polemice streszczał *Krytykę Czystego Rozumu*, skoro jednak główny jego argument sprowadza się do wyrażenia poglądu, iż sprawy, którymi ja się zajmuję zostały już w tym właśnie dziele (na moją niekorzyść) rozstrzygnięte, to grzeszy karygodnym dogmatyzmem, gdy mnie, iż nie warto tych rozstrzygnięć ostatecznych na nowo bronić, tak są oczywiste. Jeśli zaś brak miejsca na taką obronę mu nie pozwala, to krytyka jego podpada pod porzekadło, które w podręcznikach gramatyki łacińskiej przytacza się często jako przykład formy nierzeczywistej trybu warunkowego czasu przeszłego: *si tacuisses, philosophus mansisses*.

Spójrzmy na przedmiot sporu. W książeczce swojej starałem się wyjaśnić, jakie są powody do przypuszczenia, że konstrukty mitologiczne — a zaliczam do nich nie tylko swoiście religijne konstrukty, lecz także realności transcendentalne, którym przypisuje się walor uniwersalnie obowiązujący — a więc wartości logiczne, moralne i estetyczne — są nieodzownym składnikiem życia kultury, że jednak aktom, w których realności takie się

afirmuje, nie można nadawać statusu „twierdzeń” w takim samym znaczeniu sensownych i prawdziwych, jak sądy naukowe. Z drugiej strony próbowałem wyjaśnić, dlaczego sądzę, że w myśleniu naukowym pojęcie „prawdy” w sensie transcendentálním ani się skonstruować nie daje, ani nie jest konieczne. Te właśnie części moich wywodów budzą niepokój Rapaczyńskiego, który się w nich dopatruje wsparcia dla poznawczego i moralnego nihilizmu. Argumenty jego odnoszą się do trzech punktów.

Po pierwsze, sens twierdzeń logicznych. Wedle Rapaczyńskiego, logika jest „zbiorem poznań absolutnie prawdziwych, nieempirycznych i zarazem odnoszących się do jakichś rzeczywistych przedmiotów”. Pierwsza i ostatnia z tych trzech własności są bardzo ważne, lecz w dalszych wywodach Rapaczyński zapomniał na ich rzecz argumentować. Twierdzi natomiast, że zdania logiki nie są analityczne, gdyż nie można wykazać, że są analityczne, a wykazać nie można, bo wymagałoby to założenia, że wiemy, co to jest równoznaczność, a więc także, co to „znaczenie, niezależnie od desygnacji i od sposobu posługiwania się danymi słowami”. Wszystko to jednak argumenty wątpliwe. Nie widzę wcale, dlaczego nie mielibyśmy prawa posługiwać się pojęciem równoznaczności nie mając uprzednio gotowej teorii znaczenia. Twierdzenie Gödla zaś nic tu do rzeczy nie ma. Czyżby Rapaczyński na serio wierzył, że wprawdzie nie możemy wiedzieć, co to jest znaczenie i co to równoznaczność, natomiast możemy udowodnić, że logika jest tym właśnie, czym twierdzi on, że jest, tj. zbiorem poznań absolutnie prawdziwych etc.? Co więcej, w książeczce swojej nie twierdzę wcale, że sądy logiki są analityczne, chociaż przytaczam ten pogląd. Powiadam tylko, że najlepszą i najbardziej radykalną próbą obrony transcendentalnego waloru prawd logiki jest metoda Husserla i że obrony tej nie mógł on przeprowadzić inaczej, niż za pomocą mitologicznego konstruktów, jakim jest świadomość transcendentalnie zredukowana (choć konstrukty ten nie jest konieczny w jego krytyce psychologizmu zawartej w *Badaniach logicznych* i w rzeczy samej nie figuruje jeszcze w tym dziele). Obok psychologizmu skrajnego, który Husserl krytykuje i który zapewne jest nie do utrzymania, przytaczam jednak nową wersję psychologizmu Piageta, który opiera się na wyjaśnieniu, w jaki sposób przeświadczenia logiczne powstają. Rapaczyński mógłby może powiedzieć, że wyjaśnienie genetyczne nie ma znaczenia dla rozumienia sensu twierdzeń logicznych; w moim przekonaniu ma ono znaczenie podstawowe, lecz nie będę tej sprawy rozstrząsał, skoro jej Rapaczyński nie podjął. Ponieważ nie twierdzę również, że sądy logiki są opisami empirycznymi, odnośny fragment polemiki Rapaczyńskiego chyba mnie nie dotyczy. Ze zaś „możliwość ewentualnego zastąpienia naszej logiki przez jakąś inną jest zupełnie niezrozumiała” jest to prawdziwe po części, lecz nie wiadomo wcale dlaczego miałyby przemawiać za wiarą w racjonalność transcendentalną. Powiadam „prawdziwe po części”, bo matematycy-intuicyjniści myślą rzeczywiście wedle innej logiki, niż potoczna i byłoby niejako

kim zuchwalstwem ze strony Rapaczyńskiego zapewniać, że nie rozumieją oni, o czym mianowicie myślą. Pewnie więc chodzi mu nie o logikę, która byłaby „inna” pod jakimkolwiek względem, lecz o logikę, w której nie obowiązywałaby zasada sprzeczności. Myślenie wedle takiej logiki jest dla nas istotnie niepojęte, lecz nie jest to wcale argumentem na rzecz transcendentalnego ujęcia. Pytanie bowiem, dlaczego tak się dzieje, pozostaje otwarte. Można sądzić, że logika dwu-wartościowa została nam zaszczepiona przez Boga albo można sądzić, że ma ona uwarunkowania genetyczne. Ten drugi pogląd nie jest wprawdzie udowodniony, lecz szanse, że udowodniony zostanie, są większe, niż w przypadku pierwszego rozwiązania. Zaś rozwiązanie Husserlowskie nie jest w lepszej pozycji, niż teologiczne.

Całkiem zaś gołosłowne jest twierdzenie Rapaczyńskiego, że „uniwersalność praw logiki (rozumianych jako nieanalityczne) jest zupełnie nie do pogodzenia z ich instrumentalnością, gdyż nie do pomyślenia jest narzędzie (odruch), które daje się użyć do wszystkiego”. Dlaczego mianowicie jest to nie do pomyślenia? Co jest niemożliwego w fakcie, że używamy narzędzi językowych o bardzo wysokim stopniu ogólności? Wystarczy przez chwilę pomyśleć nad zdumiewającą apodyktycznością takich twierdzeń, by uprzytomnić sobie niedbalstwo argumentacyjne Rapaczyńskiego. Z nadzwyczajną pewnością siebie zdaje się on wierzyć, że skoro są trudności ze zdefiniowaniem zdania analitycznego i skoro nie można uważać twierdzeń logiki za empiryczne opisy, to mamy rację do przyjęcia transcendentalizmu. Jest to wszakże odtworzenie sposobu myślenia ongiś — lecz rzadko współcześnie — uprawianego przez filozofów katolickich: skoro nie wiemy w jaki sposób świat powstał, to istnienie Boga jest udowodnione.

A oto druga grupa argumentów. Powiada Rapaczyński, że „sens twierdzenia o redukowalności nauki do statusu odruchów warunkowych ma bardzo swoisty charakter, graniczący z błędnym kołem. Twierdzenie to mówi bowiem między innymi, że samo nie ma właściwie sensu w mocnym znaczeniu tego słowa i że nie jest ono prawdziwe w klasycznym rozumieniu”. I dalej: „...naturalistyczna redukcja samowiedzy jest przedsięwzięciem zupełnie beznadziejnym, gdyż u swych podstaw zakłada tej ostatniej nieredukowalność”. Otóż w książeczce mojej wspominam parokrotnie o błędnym kole naturalizmu, chociaż nie mówię, że twierdzenie naturalizmu ma „bardzo swoisty charakter”. Dlatego również przekonuje mnie argumentacja Husserla, wedle której „epistemologia empiryczna” (rozumiejąc przez epistemologię m.in. badania nad warunkami ważności wszelkiego możliwego doświadczenia) jest niemożliwa. Jest to zresztą poszczególny przypadek antynomii kłamcy, wysuwanej od wieków jako argument przeciw sceptykom (Jeśli nic nie jest prawdą, to również twierdzenie, że nic nie jest prawdą, nie jest prawdą itd.). Lecz jeśli tak jest, to nie wynika stąd wcale, że możliwa jest epistemologia transcendentalna. Może raczej wynikać, że epistemologia jest niemożliwa, jeśli nie decydujemy się bądź na błędne koło bądź na arbitralne

założenia co do natury bytu lub natury racjonalności uniwersalnej (a jedne i drugie są, w moim przekonaniu, równie mitologiczne). Przykro mi powtarzać tę samą śpiewkę, lecz Rapaczyński co krok wyraża swoją pewność, że każdy argument przeciw skrajnemu empiryzmowi jest zarazem argumentem na rzecz transcendentalizmu, podczas gdy związek ten nie zachodzi, jako że transcendentalizm we wszelkich znanych mi wariantach (i chyba w rozumieniu Rapaczyńskiego) nie jest zwykłą negacją empiryzmu, lecz pozytywnym przyjęciem tak czy inaczej rozumianej dziedziny idealnych i uniwersalnie ważnych znaczeń. Zaś obiekta Rapaczyńskiego, iż rozważam tylko „dosyć słaby wariant Husserla”, nie zaś mocny wariant kantowski transcendentalizmu, również wydaje mi się bezprzedmiotowa. Nie wiem dlaczego Husserl miałby być „słabszym” wariantem; w moim przekonaniu jest to najbardziej radykalna próba wyciągnięcia wszystkich konsekwencji z zasady, iż „musi” być jakaś dostępna nam dziedzina pewności absolutnej; jest to przy tym próba o tyle doskonalsza od Kantowskiej, że usuwa dualizm form apriorycznych i przypadkowego materiału hyletycznego, że więc stara się znieść całkowicie „przypadkowość” w polu doświadczenia. Myślę wprawdzie, że oparta jest ta próba na zawrotnym złudzeniu, nie wiem tylko dlaczego miałaby być „słabsza”. Zdaje się, że Rapaczyński chce po prostu zapewnić mnie, że wystarczy zajrzeć do Kanta (a przecież już w 1781 roku!) i wszystko stanie się jasne. Wydaje się on wierzyć, że transcendentalna teoria poznania została udowodniona w podobnym sensie słowa „udowodnić”, w jakim udowodnione jest twierdzenie Archimedesusa. Jest to naiwność, którą można tylko zanotować, gdyż dyskutować mógłbym dopiero, gdyby Rapaczyński sam własny wariant (lub choćby Kantowski) tych dowodów przedstawił.

A oto punkt trzeci. Rapaczyński twierdzi, że przypisując mitologicznym konstruktom sensowność, muszę im także przypisać wartość logiczną (prawdy lub fałszu), czego jednak bądź nie uczyniłem bądź uczyniłem niekonsekwentnie. Otóż to zależy od tego, co się rozumie przez „sensowność”, Rapaczyński zaś nie stara się sprawy wyjaśnić. Mówiąc o zdaniach, że są sensowne, przypisujemy im wartość prawdy lub fałszu. Mówimy jednak o „sensie” ludzkiego zachowania lub o „sensie” celowo skonstruowanych przedmiotów i orzeczniki „prawdziwy” lub „fałszywy” nie są nam wtedy potrzebne, gdyż sens oznacza odniesienie do intencji. Nie ma więc żadnej niezgodności między uznaniem kulturotwórczego „sensu” mitologii, a odmówieniem jej wartości logicznej. Powiedzenie zaś, iż „unikam wyboru” między przypisywaniem konstruktom mitologicznym wartości logicznej a ich redukcją naturalistyczną jest najzupełniej mylne, jako że wyjaśniłem kilkakrotnie powody, dla których właśnie mitologii odmawiam prawa do tego, by podpadała pod dyktando „prawda-fałsz” i nie sądzę, bym pod tym względem czegokolwiek nie dopowiedział.

Jest i oskarżenie o „złą wiarę” (w filozoficznym, nie moralnym

sensie słowa). Oskarżenie dla Rapaczyńskiego ryzykowne, gdyż można pokazać, o ile jest mocniejsze, gdy je przeciwko niemu obrócić. Zważmy bowiem, o co chodzi. Staram się w swojej książeczce pokazać, że również naczelną wartości moralne (tj. wartości nie-instrumentalne, nie zrelatywizowane do innych, ogólniejszych) należą do dziedziny arbitralnych (logicznie) postanowień i tworzą, jako takie, część koniecznego nam mitologicznego ryzostunku kultury. Rapaczyński dopatruje się w tym złej wiary, gdyż sądzi, że nie możemy w dobrej wierze obstawać przy jakichkolwiek wartościach a zarazem przeczyć temu, byśmy potrafili udowodnić ich transcendentálną ważność. Otóż, jeśli wyrażenie „zła wiara” znaczy cokolwiek, to znaczy właśnie postawę, która jest przeciwieństwem przeze mnie proponowanej: w złej wierze żyje ten, kto twierdzi, że udowodnił coś, czego udowodnić nie podobna, nie zaś ten, kto oświadcza, że musi się na coś zdecydować, chociaż nie potrafi ugruntować swoich decyzji w wyrokach, wpływających z królestwa idei transcendentálnych. Nie jest w złej wierze ten, kto powiada, że wierzy w Boga, lecz zdradza złą wiarę ten, kto twierdzi, że istnienie Boga jest naukowo udowodnione, a twierdzi tak bądź dlatego, że chce sobie samemu wmówić pewność, bądź dlatego, że twierdzić inaczej byłoby społecznie niebezpieczne. Nie jest w złej wierze ten, kto oświadcza, iż życie ludzkie jest wartością, ale nie można bez złej wiary twierdzić, że powiedzenie to jest prawdą w tym samym sensie jak powiedzenie, że przekątne kwadratu przecinają się pod kątem prostym.

Rapaczyński, co więcej, ową wiarę demonstracyjnie przyświadcza, gdyż twierdzi, że stanowisko moje „wytrąca z ręki argument w walce z czymś tak specyficznym ludzkim jak nihilizm”. Otóż jest to, powiadam, rozumowanie niebezpieczne i podejrzane, gdyż szukać racji na rzecz jakiegoś twierdzenia w tym, iż negacja tego twierdzenia „wytrąca nam z ręki” jakiś społecznie pożyteczny argument, jest niczym innym jak uniwersalną sankcją dla „pobożnego kłamstwa”. Jest na świecie wiele prawd przykrych, co do których wolelibyśmy, by nie były prawdami i wiele argumentów, które by się nam przydały w polemikach, lecz są, niestety, fałszywe. Obawa, że uznać jakąś prawdę to „wytrącić sobie argument” skądinąd przydatny, wydaje mi się wybitnie ryzykowna i smuciłbym się, gdyby Rapaczyński na serio stosownie do takiej obawy myślał. Lecz nie zaprzeczam temu, że w ogólności jest rzeczą sensowną rozważać społeczne konsekwencje pewnych twierdzeń, chociaż trzeba dokładnie odróżniać konsekwencje społeczne od racji rzeczowych. Ale również w tej sprawie — tj. właśnie społecznych konsekwencji owej niewiary w transcendentálne ugruntowanie wartości — obaw Rapaczyńskiego nie podzielam. Czy rzeczywiście mniema Rapaczyński, że zanim skoczę do schronu, by się ukryć przed bombą, albo zanim uderzę napastnika, który mi grozi, muszę uprzednio dysponować systemem transcendentálnych wartości usprawiedliwiających moje czynności, a w przeciwnym razie nic uczynić nie mogę? Byłoby

to przecież fantastyczne złudzenie intelektualistyczne. Jeśli zaś powie Rapaczyński, że jest to potrzebne w sytuacjach konfliktowych, to wyzywam go, by mi pokazał spójny system wartościowań, który w zastosowaniach nie prowadziłby do konfliktów. Nie ma takiego i póki ktoś go nie stworzy (lecz bądźmy spokojni w tej sprawie), *onus probandi* leży na tym, kto twierdzi, że taki system jest możliwy. Nie widzę groźby w fakcie, że wartości naczelną są niedowodliwe. Rapaczyński martwi się tym, że w takim razie nie mogę argumentować przeciwko komuś, kto chce spowodować zagładę całego gatunku ludzkiego. Lecz gdybym umiał argumentować — cóż by mi to pomogło? A skoro nie umiem — dlaczego miałoby mi to przeszkodzić w próbie unieszkodliwienia mego „oponenta”? Wszystkie historyczne przykłady także przemawiają przeciwko przypuszczeniu, że ludzie są lepsi, jeśli bardzo stanowczo i bez wątpliwości wierzą, że wartości, które wyznają, nie są dowolne czy arbitralne, ale objawione i nienaruszalne. Raczej fanatycy, niż sceptycy, zwykli się wyrzywać. W praktycznych granicach umiemy odróżnić dobro od zła, nie potrzebna nam jest ponadto pewność, że rozróżnienie między dobrem i złem daje się przedstawić jako prawda nauki; racjonalistyczny dogmatyzm, który lęka się, że zostaniemy praktycznie sparaliżowani, jeśli przestaniemy podtrzymywać transcendentálny fundament wartości, jest takim samym złudzeniem, jak przypuszczenie, że przestalibyśmy umieć chodzić, gdybyśmy zapomnieli anatomii.

Nie pozostaje mi przeto na razie nic innego, jak czekać, aż Rapaczyński udowodni, że sfera racjonalności transcendentálnej naprawdę istnieje, miast zapewniać że jest to już udowodnione (mówiąc „udowodnić” mam na myśli „udowodnić bez błędnego koła”; z błędnym kołem sam potrafię).

Mam nadzieję, że się Rapaczyński nie obrazi na moje przytyki. Chociaż bowiem myślę, że nie ma racji, wcale nie uważam, by kwestie, które rozważa, były urojone albo nieważne albo z innych motywów wyrosłe niż rzetelny radykalizm filozoficzny. Dlatego z nim przecież polemizuję, czego nie zwykłem czynić w stosunku do całej gawiedzi o mentalności trochę-żandarma, trochę-lokaja i trochę-niemowleńca, która w Polsce od lat zastęgiwała się zwierzchności drukowanymi donosami na mnie i licznych moich przyjaciół. Do tych ostatnich pozwałam sobie Rapaczyńskiego zaliczyć we wszystkich materiach prócz poglądu na naturalizm i transcendentálny, a także prócz optymistycznej wiary w wartość filozoficznej tężyzny.

Leszek KOŁAKOWSKI

Notatki polemiczne

1.

Marek Głogoczowski przydał swej „Kuracji antyszokowej (I)”¹ motto z Dostojewskiego: „Kaźda ideologia, choćby najbardziej zwariowana, jest mniej niebezpieczna od racjonalizmu, który nie widzi dalej, niż koniec swego nosa. Ponieważ taki racjonalizm jest ślepy”. Nie mam pod ręką oryginału rosyjskiego, nie mniej już na pierwszy rzut oka przekład wydaje mi się nieściśły, gdyż wywołuje w moim umyśle coś jakby potknięcie się. Da się tu mianowicie odczytać dwie wersje: 1) Racjonalizm nie widzi dalej, niż koniec swego nosa i wobec tego jest ślepy; 2) taki racjonalizm, który nie widzi dalej, niż koniec swego nosa, jest ślepy. Wobec „zwarowanej ideologii” mam też pewne zastrzeżenia: znając Dostojewskiego domniemywam, że miał na myśli szaloną albo szaleńczą ideologię; ale to już sprawa odcienia i mniejsza z tym. Natomiast zagadnienie odczytania zasadniczej myśli Dostojewskiego jest istotne, zachodzi bowiem pytanie, czy pisarz był przeciwny wszelkiej postawie racjonalistycznej, czy też tylko określonej jej odmianie. Rzecz w tym, że na podstawie całości dzieła Dostojewskiego problemu tego rozstrzygnąć się nie da; Dostojewski nie był Pascalem i podejrzewam, że również i on (Dostojewski) dałby odpowiedź powikłaną, gdyby go o to zapytać. Przedkładanie „szalonej ideologii” tak czy owak świadczy o przedkładaniu emocji.

Ta podstawa widoczna jest w całym tekście Głogoczowskiego i czytając go, tęsknię do czasów, kiedy obowiązywał jeszcze „klasyczny” podział na trzy władze duchowe: rozum, wola i uczucie. Wtedy to bowiem, stosując ten podział czysto, niektórzy teologowie przyjmowali, że cnota miłości w swej najwyższej postaci, czyli miłość do Boga, jest aktem woli i rozumu; o uczuciu nie było mowy. Nie wiem, czy Głogoczowski jest religijny; sądzę wszelako, że jeśli nim jest, to wolałby przyjmować, iż miłość do Boga jest spontanicznym aktem emocjonalnym.

Przed wielu laty zaatakowałem Ryszarda Matuszewskiego za nietrafne postawienie pewnego pytania, mianowicie: czy wiersz nowoczesny wzrusza? Matuszewski żalił się, że go większość nowych wierszy nie wzrusza. Odpowiedź moja brzmiała: „Uczuciowość człowieka nie powinna być dziedziną intersubiektywną; powinna, moim zdaniem, pozostawać w czterech ścianach jego czaszki; mamy bardzo złe doświadczenia społeczne wskutek wywoływania zbiorowych emocji lub nastrojów. Jeśli sztuka miała

1. Marek Głogoczowski: „Kuracja antyszokowa”, *Kultura* nr 7/310-8/311, 1973.

spełniać takie zadania, jako zadania główne, w każdej chwili może się stoczyć do roli narzędzia demagogów”. Chodziło mi wówczas o poezję, ale jestem pewien, że da się to przeświadczenie rozszerzyć i na pozaartystyczne obszary życia i przyznając dzisiaj wręcz, że i wówczas te pozaartystyczne obszary miałem na myśli; obszar polityki, powiedzmy; tego napisać nie mogłem z racji cenzury.

Postawa Głogoczowskiego wydaje mi się podobna do postawy Matuszewskiego. I tu chciałbym ostrzec: nostalgia za wzruszeniem, za tym, co Tomasz Mann nazywa „ciepłem krowiej obory”, jako za podstawą komunikacji międzyludzkiej jest dlatego niebezpieczna, ponieważ zwodzi nas w dziedzinę, gdzie łatwo stracić równowagę moralną.

Osobiście odrzucam propozycję wyboru między szaleństwem ideologicznym a krótkowzrocznym racjonalizmem; gdyby ktokolwiek mnie przed takim wyborem postawił, odmówiłbym opowiedzenia się. I, żeby już pozostać przy wielkiej literaturze rosyjskiej: od Dostojewskiego wolę Czechowa; Czechow był mądry.

2.

Czytuję uważnie Herlinga-Grudzińskiego „Dziennik pisany nocą” nie tylko dlatego, że jest pisany brawurowo, ale również i dlatego, że jest pisany nocą właśnie. Określenie to pojmuję metaforycznie; mówiąc nie obrazowo, ale konkretnie wyznaję, że osobiście pisuję tylko za dnia; w nocy spiam. Nigdy nie przepadałem za Nokturnami Chopina, przepadam za jego Etiudami i Preludiami: wywodzą się z Bacha; Nokturny natomiast mają proveniencję nieco żenującą: wywodzą się z Fielda. Chopin, mimo całej swojej bezbłędności, jest kompozytorem nierównym.

Herling-Grudziński (a jest między nim a mną mnóstwo połączy polemicznych; wybieram z nich dzisiaj bodajże jedną tylko) zajmuje w swoim pisarstwie postawę, którą przez analogię nazwałbym idealizującą. Analogia ta wygląda następująco:

Jeśli inżynier chce wybudować most, musi przyjąć trzy idealizacje: musi założyć, że szybkość światła jest nieskończona oraz że stała grawitacyjna i stała Plancka równają się zeru. Wówczas może sprawnie dokonać potrzebnych mu obliczeń; na poziomie makroskopowym, na którym operuje, postępuje tak słusznie, gdyż jeśli tych idealizacji nie dokonał (tzn. gdyby nie zignorował rzeczywistych wielkości jak szybkość światła itd.), nie tylko, że uwikłałby się w rachunkach, ale nadto jeszcze popadłby w niestosowne wątpliwości i rozterki: znalazłby się bowiem na poziomie mikroskopowym, gdzie wielkości te obowiązują i wówczas załamałoby się konieczne dla jego pracy przeświadczenie, że ważny nadal jest determinizm oraz zasady ciągłości i tożsamości. W rezultacie mostu by nie zbudował.

Sedno w tym, jak pisarz odpowie sobie na pytanie: czy zada-

niem jego jest budować mosty, czy też drażyć napotkaną materię w głąb? Jeśli ma budować mosty, musi być ufny wobec materiału, jakim z nawyku rozporządza oraz wobec metod, jakie zastał; jeśli ma drażyć materię w głąb, to wobec materiału musi być nieufny, wątpiąc o jego widomych właściwościach, wobec zastanych zaś metod znajdzie się w dość dramatycznym dylemacie, stwierdzi bowiem, że te zastane metody penetracji nie są odpowiednie dla badania danej materii, innymi słowy: środki wyrazu są nieprzystające. Przyznaję, że wybór między tymi dwoma postawami jest w istocie (wraz z wszystkimi tego następstwami) bardzo osobisty i wręcz samotny; obie postawy kryją w sobie rozliczne niebezpieczeństwa i pułapki, między innymi dlatego, że samotna decyzja miewa publiczne skutki.

Herling-Grudziński wyboru takiego niedwuznacznie dokonał: wybrał idealizację. Wybór ten szanuję, ale mu się przeciwstawiam.

Tu przykład:

Pod datą 13-go maja br.² Herling-Grudziński, pisząc o trzech postawach („dobrej roboty”, „ochrony substancji narodowej” i „pracy organicznej”) krajowej polskiej inteligencji opozycyjnej, mówi o postawie „ochrony substancji narodowej”, że powstała w zięj wierze: „Strażnicy 'substancji narodowej' muszą przyjmować, że wyobraźalny jest naród bez artykułowanego społeczeństwa. Tak rozumiana 'substancja narodowa' przypomina raczej lotnego ducha zwabionego do butelki i szczelnie w niej zakorkowanego, niż żywą i zdolną do rozwoju wspólnotę kulturalną [...]. U większości 'substancjonalistów' główną rolę odgrywa zapewne szczątkowy odruch moralności narodowej: pragnienie podparcia się we własnym sumieniu godziwym alibi”.

Polemikę zaczynam od postawienia znaku pytajnego przy zwrocie „naród bez artykułowanego społeczeństwa”. Przyznam się, że nie bardzo rozumiem, co to znaczy; czy chodzi o społeczeństwo, które jako całość „samo” się artykułuje, czy też o społeczeństwo, które jest artykułowane przez jakąś swoją część, pośrednio, przez, powiedzmy, twórców wartości? W pierwszym wypadku będziemy mieli do czynienia ze zjawą, ponieważ takich zbiorowości do tej pory w historii nie było; w drugim wypadku autor wikła się w sprzeczność: artykułacja taka, gorsza czy lepsza, chwalebna czy naganna, będąca wynikiem takiej czy innej postawy, istniała w Polsce zawsze i istnieje po dziś dzień. Przyjmijmy więc wersję pierwszą, jako prawdopodobnie odpowiadającą intencjom Herling-Grudzińskiego; prawdopodobnie, powiadam.

Spróbujmy zatem zjawę sprowadzić do postaci konkretnej. Co to mogłoby znaczyć, że społeczeństwo „samo” się artykułuje? — Jest to chyba możliwe tylko przy artykułacji ściśle politycznej, czyli pośledniej: w przypadku wolnych wyborów (czyli wyraże-

2. Gustaw Herling-Grudziński: „Dziennik pisany nocą”, *Kultura* nr 7/310-8/311, 1973.

nia woli politycznej legalnie), w przypadku wojny, w przypadku rewolty (czyli wyrażenia woli politycznej nielegalnie) itp. Ale czy wówczas mamy do czynienia z „substancją narodową”? Raczej nie; raczej z warunkami egzystencji, z okolicznościami, wśród których „substancja narodowa” może tak czy inaczej istnieć. Sam autor nie jest tu w pełni konsekwentny, pisząc o „żywej i zdolnej do rozwoju wspólnocie kulturalnej”.

I tu wchodzimy w sedno zagadnienia: „substancja narodowa” (wyrażenie raczej nieściśle, ale przyjmijmy, że je rozumiem) nie jest kategorią polityczną i artykulacja jej w kategoriach politycznych jest nie do pomyślenia (gdyż wówczas całe to zagadnienie nie miałoby sensu). Dla potrzeb własnego rozumowania zakładam, że „substancja narodowa”:

1) Nie ma ciągłości; podobnie jak promień świetlny jest miarowym następstwem pojawiania się partykuły elementarnej i jej znikania (w promieniu świetlnym tak się ma rzecz z fotonem), czyli: światła i braku światła. Na przykład w dramaturgii polskiej ciąg: Słowacki-Wyspiański-Witkacy-Gombrowicz. Jest to ciąg, że tak powiem, nieciągły.

2) Tożsamość „substancji narodowej” w jej trwaniu czasowym nie da się stwierdzić; podobnie jak nie da się stwierdzić tożsamości jawiącego się i znikającego fotonu w promieniu świetlnym. Ktoś, kto by twierdził, że w ciągu: Słowacki-Wyspiański-Witkacy-Gombrowicz wyraża się trwająca czasowo tożsamość (w ścisłym rozumieniu słowa „tożsamość”), „substancji narodowej”, świadomie lub nieświadomie przyjmuje postawę idealizującą.

3) I znowu, podobnie jak przy promieniu świetlnym: „substancja narodowa” w swoim procesie bytowym nie jest zdeterminowana. Nie można przyjąć, że Słowacki zrodził Wyspiańskiego, Wyspiański Witkacego, Witkacy zaś Gombrowicza; albowiem każdy z nich jest osobowością indywidualną; i: albowiem każdy stan aktualny zawiera w sobie wiązkę możliwości przyszłych, która się zaś z nich urzeczywistni, jest do przewidzenia w fizyce jedynie statystycznie (czyli bez absolutnej pewności), w twórczości natomiast wartości duchowych raczej w ogóle nie jest do przewidzenia.

4) Ale: miejsce „substancji narodowej” na jakiejś skali powszechniejszej jest określone, analogicznie jak jest określona barwa promienia przez frekwencję. To określenie miejsca na skali nie ma nic wspólnego z 1), 2) i 3), w tym sensie, że brak albo i nie brak ciągłości, tożsamości lub determinizmu o niczym w miejscu na skali nie decyduje. Przypuszczam jednak, że to, co metaforycznie określamy jako „barwę”, nie pomaga nam „substancję narodową” wartościować.

Ten mój wywód ma służyć wyjaśnieniu dlaczego, jeśli się przyjmuje postawę nieidealizującą, przyjmuje się zarazem, że „strażnicy substancji narodowej” działają w wierze dobrej, a być może nawet w wierze najlepszej. Strzec „substancję narodową” można tylko przykładając się do jej rozwoju; do jej wzbogacenia; niewzbogacana staje się skamieliną, traci wewnętrzne na-

pięcie; innymi słowy chodzi o przydawanie nowych wartości (nawet „mylnych” wartości) kulturze. Przydawać zaś można jedynie, będąc duchowo wolnym, tj. nie ulegając rzekomo nieodwracalnym koniecznościom determinizmu, tożsamości i ciągłości. Strzec „substancję narodową” da się tylko wtedy, jeśli baczy się, aby pozostawała *wieloznaczną* (nawet, trzymając się raz obranej metafory, nie zmieniając frekwencji); nieidealizująca postawa wieloznaczności sprzyja.

Postawa idealizująca sprzyja *jednoznaczności*, wyznaczanej przez determinizm oraz zasady ciągłości i tożsamości. Taki jest mój spór z Gustawem Herling-Grudzińskim; a może jeszcze:

Praca organiczna, którą Herling-Grudziński pochwała, jest w moim przekonaniu jedynie swoistą odmianą „dobrej roboty”; nie pochwalam jej więc, a nadto w ogóle nie lubię zbyt dziesiętnastowiecznych — i to z drugiej połowy owego stulecia — sposobów myślenia. Jeśli Polska ma przetrwać dwudziestowieczną podległość, na nic modele sprzed stu lat.

3.

Kazimierz Wóycicki, pisząc o najmłodszej generacji poetyckiej³ i mówiąc na ogół rzeczy słuszne, przeoczył kilka istotnych publikacji i stąd obraz stał się niepełny, niektóre zaś stwierdzenia mijają się z istotą rzeczy. Ważne przeoczenia to: twórczość Ewy Lipskiej i Krzysztofa Karaska (Karasek to co prawda rocznik nieco starszy, ale z wielu przyczyn należy go zaliczać do tej samej generacji), książka Stanisława Barańczyka „Nieufni i zadufani” oraz nr 1/2 (1973) *Nowego wyrazu*, gdzie zamieszczono sprawozdanie z Wiosny Kłodzkiej z roku 1972. Stąd nastąpiło zamieszanie w materii „mistrzów”, którą to materię Wóycicki tak opisuje: „Pozostali więc pokoleniem bez wychowawców, bez mistrzów. Mistrzów odnaleźli później — Camus, Fromm, autor „Traktatu poetyckiego”, Herbert, Brecht. (Tu właśnie jest poplątanie z pomieszaniem — W.W.). Jednak był to już wybór, którego dokonali świadomie, dowód na to, że w jakimś stopniu przestali dojrzewać, stając się dojrzałymi. Mistrzów, którzy wychowują, których się nie dobiera, lecz których się ma — nie posiadają”.

Wedle wypowiedzi samych poetów sprawa wygląda nieco inaczej. Być może nie mają oni „mistrzów” w dawnym tego słowa znaczeniu, ale przyznają się, i to nie od dziś, to znaczy nie od chwili, kiedy to, jak powiada Wóycicki, „przestali dojrzewać”, do pokrewieństw z wyboru. Szczególnie wyraziście czyni to Stanisław Barańczyk w swojej książce „Nieufni i zadufani”, analizując twórczość poetów-lingwistów (określając ich jako przedstawicieli romantyzmu dialektycznego; są to: Tymoteusz Karpowicz, Miron Białoszewski, Edward Balcerzan i moja skromna osoba) i powiadając w eseju o Balcerzanie, że poezja lingwistyczna stanowi najdobitniejsze „ostrzeżenie przed faszyzmem”.

3. Kazimierz Wóycicki: „Poezja i fakty”, *Kultura* nr 7/310-8/311, 1973.

Krzysztof Karasek, którego „Drozd i inne wiersze” jest jednym z najbardziej reprezentatywnych tomików poetyckich tej generacji, mówił w czasie dyskusji, zorganizowanej przez redakcję *Poezji* w roku 1971 (chodziło o przyznanie przez młodych nagrody poecie starszego pokolenia; nagrodę dostał Różewicz) o pięciu poetach, których obecność jest współcześnie w Polsce ważna: Różewicz, Karpowicz, Białoszewski, Herbert i Wirpsza. Ryszard Krynicki dorzucił w roku 1972 podczas Wiosny Kłodzkiej nazwisko Wiktora Woroszyńskiego. Obserwując twórczość Ewy Lipskiej widać wyraźnie, że jej krewnymi z wyboru są Czesław Miłosz i Wisława Szymborska.

Zarysowuje się więc obraz zupełnie inny, niż sugeruje Wóycicki. Zapewne, tego rodzaju pokrewieństwa z wyboru nie są następstwem na sposób dziesiętnastowieczny pojmovanej determinacji rozwoju, nie mają nic wspólnego z ciągłością, ani nie dowodzą utożsamiania się młodych poetów ze swymi „krewnymi”. Natomiast ukazują kierunek polemiki: skierowana jest przeciwko poprzednikom bezpośrednim (Grochowiak, Jerzyna, w ogóle pokolenie *Współczesności* i nieco późniejsze), skarżącym się niegdyś, że nie dała im historia życiorysów; pokolenie najmłodsze do życiorysu się przyznaje (1968 i 1970); okazywana jest również i solidarność, szczególnie wobec pokolenia średniego, czyli: pokolenia z życiorysem, przy czym w tym pokoleniu średnim o wiele więcej waży Karpowicz, aniżeli Herbert; w pokoleniu starszym Przyboś o wiele więcej niż Miłosz. Brecht, jak przypuszczam, wziął się u Wóycickiego z tego powodu, że go przekładał Krynicki, ale moim zdaniem mało to znaczy: Barańczak przekładał Gottfrieda Bennę, Dylana Thomasa, Osipa Mandelstama; i cóż z tego? A liczne przekłady z poetów angielskich, dokonane przez Karaska? — Fromm i Camus to chyba nazwiska akcydentalne: polskie parantele są w tym kontekście znacznie ważniejsze.

Rzeczywiste proporcje i współzależności (nie: zależności!) zostały więc przez Wóycickiego pomyłone. Nadto dodać trzeba, że dzisiaj na pewno już widać, że wśród krewnych najistotniejszy jest Tymoteusz Karpowicz, którego „Odwrócone światło”, śmiem mniemać, jest najwybitniejszą polską publikacją poetycką (włączam w to i publikacje emigracyjne) po drugiej wojnie światowej, a może i w ogóle w dwudziestym stuleciu. A skoro zacząłem już te moje notatki od przytyków pod adresem Ryszarda Matuszewskiego (proszę, aby Wóycicki ich nie brał do siebie!), powiem na zakończenie: tego Matuszewscy nigdy pojąć nie będą w stanie.

Witold WIRPSZA

P.S. Zapomniałem w jakimś miejscu napisać, że cenię sobie znacznie wyżej poezję Kochanowskiego od poezji Mickiewicza. Kochanowski był mądrzejszy. Może to uczyni moją postawę bardziej zrozumiałą.

W. W.

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI:

- Dlaczego w Polsce jest tak źle?
- Bo wielu zdejmują, a nikogo nie wieszają.



- Dlaczego lubią w kraju Gierka?
- Bo przyłączył Polskę do Śląska a nie do Związku Sowieckiego...



- Jaka jest różnica pomiędzy Gierkiem a Szwejkiem?
- Szwejk był mądry, ale udawał głupiego...
- A Gierek?
- Nie służył w austriackiej armii...



- Kto to jest emigrant?
- To taki człowiek, co życie oddałby za ojczyznę, ale zdrowie mu nie pozwala...

HUMOR SOWIECKI:

- Jaka jest różnica pomiędzy satyrykiem a humorystą?
- Ten kto myśli, że w Związku Sowieckim można być satyrykiem — jest humorystą.



Pewien Żyd chcąc wyjechać ze Związku Sowieckiego złożył podanie o paszport. Wezwano go do odpowiedniego urzędu żądając podania powodów tego kroku.

- Są dwa powody — wyjaśnił Żyd. — Po pierwsze, mój sąsiad powiedział mi: „Zarżnę cię, ty parszywy Żydzie, jak tylko skończy się tu komunizm!... Po drugie...”
- Przecież komunizm się nie kończy! — przerwał mu urzędnik.
- No, właśnie — powiedział Żyd — to jest ten drugi powód...



W sądzie po rozprawie, prokurator wpada do pokoju w którym siedzą jego koledzy, zataczając się ze śmiechu.

- Co się stało, dlaczego pękasz ze śmiechu?
- Genialny, po prostu genialny dowcip polityczny...
- Jaki?
- Nie mogę wam powiedzieć.
- Dlaczego?
- Bo właśnie przed chwilą za ten dowcip skazałem na 3 lata...

Zebrała Zofia HERTZ

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

Encyklopedyści (2) oraz o « kulturze otwartej »

Encyklopedia — dzieło wielotomowe o wielu tysiącach stron — redagowane jest z myślą o czytelniku niecierpliwym. Pragnie on nie tylko znaleźć potrzebne mu informacje, ale żąda przejrzystego ich układu. Informować trzeba przy tym zwięźle, ale nie zbywać czytelnika byle czym. A więc dzisiaj o metodzie i układzie.

Układ: alfabetyczny najszerszej w encyklopediach stosowany — chociaż ostatnio w najnowszych encyklopediach zachodnich najostrzej zwalczany (na przykład w nowym wielkim Larousse'ie, w Combi-International i w innych). W układzie alfabetycznym sąsiadują ze sobą hasła o różnorodnej tematyce, choć czasem o zabawnych skojarzeniach, co od nielicznych maniaków czytania encyklopedii „ciurkiem” wymaga nie byle jakiej sprawności umysłowej. Układ alfabetyczny ułatwia rozpoznanie encyklopedii, odsłania jej założenia programowe, o których pisałem uprzednio. Przejrzenie 20-30 wybranych artykułów wystarczy czytelnikowi do oceny postawy redakcji wobec interesujących go problemów.

Zacznijmy od dygresji. Po wielu latach milczenia wokół tych spraw w roku 1973 coraz więcej w prasie krajowej publikacji na temat warunków rozwoju kulturalnego. Przykład najbardziej chyba wymowny: *Trybuna Ludu* (z 25 maja br.) drukuje artykuł o kulturze „otwartej”. Redakcyjny cudzysłów poparty jest wielu zastrzeżeniami i mistycznymi zaklęciami: „Kultura 'otwarta' ale z własnym kręgosłupem, własną wizją świata i kultury, własnym programem. Nikt jej w tym najgłębiej pojętym nowatorstwie nie zastąpi, — i niech lepiej nikt takiego zastępstwa nie proponuje”. Nie sposób odgadnąć kto (?) chce zastąpić kulturę i kto kogo na to „zastępstwo” proponuje. Uważny czytelnik znajdzie w artykule wołanie o cenzurę (policyjną) i samocenzurę (wydawniczą). Zaleca się „dojrzałe wartościowanie dóbr kultury świata

zewnątrznego", „programowanie w taki sposób, by proces przyswajania naszej kulturze... zjawisk i wartości zrodzonych w kulturach obcych służył naszym własnym potrzebom...".

Ale artykuł zasługuje na tak obszerne cytowanie ze względu na pochwałę swobodnego rozwoju kultury. Chociaż „otwarta” tylko w cudzysłowie, „musi to być” — czytamy w artykule — „kultura weryfikowana i doskonała nieustannie właśnie w konfrontacji z kulturami odmiennymi...”, „musi posiadać każde ziarno prawdy, słuszności i piękna, jakie znajduje się poza nią”. „Musি to być wreszcie — pisze z emfazą w zakończeniu artykułu *Trybuna Ludu* — „kultura, która jest żywą częścią kultury światowej, częścią w naszym przekonaniu najistotniejszą, bo będącą zarodkiem przyszłości (? — A.B.). Ale właśnie dlatego nie może być obojętną na żadne dokonanie, żadne formalne, czy techniczne doświadczenie, które może się tej przyszłości przydać, które ją zbliża”.

Analogie historyczne zawsze kuleją. A jednak nie mogę się oprzeć pokusie: artykuł *Trybuna Ludu* kropka w kropkę przypomina gromkie tyrady na temat wolności kultury socjalistycznej, drukowane w tym samym organie w okresie popaździernikowym 1957/1958. Wyobrażam sobie jak się przy czytaniu tego eleboratu w kułak śmiał Janusz Wilhelmi (tegoroczny laureat Nagrody Ministra Kultury za działalność publicystyczną), który w owoych latach redagował dodatek literacki *Trybuna Ludu*. Organ ten, jak wiadomo, usiłował przemówić zrewoltowanej inteligencji do rozumu; podejmował gromkie hasła modnej podówczas teorii „stu kwiatów” — wszechstronnego rozwoju kultury. Opatrywał je jednak tysiącem wszelkiego rodzaju zastrzeżeń. Hasła były nadzieją i punktem wyjścia dla programu działania popaździernikowych „rewizjonistów”. Natomiast zastrzeżenia i ograniczenia p. Wilhelmi i jego organu były instrukcją dla cenzury, dla dogmatycznego aparatu partii i policji: jak przeciwdziałać liberalizacji.

Hasła popaździernikowe legły również u podstaw założeń programowych encyklopedystów. Mówiliśmy już o nich. Wskazać jeszcze warto na założenia metodologiczne, formalno-techniczne.

W poszukiwaniu najbardziej nowoczesnych rozwiązań encyklopedyści zgromadzili i zbadali kilkadziesiąt wydawnictw encyklopedycznych polskich i zagranicznych. Zapoznali się również z najpoważniejszymi warsztatami encyklopedycznymi Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, Jugosławii, NRD, NRF, ZSSR. Spośród najbardziej doświadczonych redaktorów i młodych specjalistów wyodrębniono zespół redakcyjny (stuosobowy) encyklopedystów, entuzjastów polskiej encyklopedii. Zastugą tego zespołu był nie tylko nastrój (niepowtarzalny nastrój uczestnictwa w tworzeniu dzieła o wielkim znaczeniu dla kultury narodowej), ale przede wszystkim poszukiwania warsztatowe najcelniejszych rozwiązań metodologicznych. Opracowano typy informacji encyklopedycznej według rozmiarów artykułu i prezentacji graficznej. Wyważono proporcje ustalając udział każdej grupy informacji. Przykład: w ZSSR encyklopedie powszechne mają przewagę informacji

z zakresu nauk matematyczno-przyrodniczych i stosowanych. Na Zachodzie — przeciwnie — więcej miejsca poświęca się humanistyce. Polska Encyklopedia Powszechna PWN zachowuje równowagę (50 : 50) między tymi dwoma wielkimi grupami informacji.

W encyklopedii polskiej utrzymano tradycyjny układ alfabetyczny z dużą ilością krótkich informacji (łącznie ok. 80.000). Ale nowoczesną była tendencja do grupowania informacji w obszernych artykułach zbiorczych (na przykład 224-stronicowy zespół informacji o Polsce), do których tom ostatni — XIII — miał dostarczyć indeksu. (Zaznaczmy, że subskrybentów spotkał przykry zawód — indeksu nie otrzymali. Tom XIII Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, z góry na wiele lat przed wydaniem opłacony, ukazał się w wielokrotnie zmniejszonej objętości. Indeks, wskazujący gdzie szukać informacji, nie posiadających hasła w układzie alfabetycznym, nie został wydrukowany. Zmarnowana została wieloletnia praca specjalnej redakcji, a wartość informacyjna encyklopedii znacznie obniżona). W wielkich encyklopediach powszechnych Zachodu przeważa obecnie układ rzeczowy. Przy układzie alfabetycznym — skupia się informacje w wielkich artykułach przeglądowych. Nowa wielka encyklopedia powszechna Larousse'a składać się ma zaledwie z 9000 obszerne artykułów, ale wydawca zapowiada wydanie indeksu składającego się z 400.000 odsyłaczy. Bez takiego indeksu żadna nowoczesna encyklopedia ukazać się nie może.

O nowoczesności polskiej encyklopedii powszechnej PWN świadczą również pomysłowe tablice przeglądowe (na przykład przegląd chronologiczny filozofii europejskiej). Nowoczesność — to również zdecydowane zwalczanie schematycznych sformułowań, „urzędowego” języka, cytatomani. Według założeń encyklopedystów należało w miarę możliwości unikać tekstów redakcyjnych, bezosobowych. Artykuły powinno się drukować z zachowaniem odrębności stylu i ujęcia autorów. Przyjęto jednak pewne wspólne zasady. Dotyczyły one na przykład granic ocen zarówno negatywnych, jak również pozytywnych. Postanowiono stłumić nadużywanie w encyklopediach ZSSR epitety potępienia (wróg, zdrajca) i hagiograficzne apoteozy pochwał (genialny).

Wskazałem tu na problemy najważniejsze, choć oczywiście encyklopedyści musieli ustalić wiele ważnych spraw szczegółowych: zasady ilustrowania, kartografii, terminologii, transkrypcji, zapisu fonetycznego, układu graficznego. Należało zorganizować — rzecz w Polsce arcytrudna — produkcję papieru najwyższej jakości i jednolitej receptury, korektę i druk w rytmie umożliwiającym publikację dwu tomów rocznie itd. Są to już jednak sprawy oczywiste — zostawmy je specjalistom. Nasze zadanie bowiem ogranicza się do przypomnienia dróg i odrębności polskiej encyklopedii popaździernikowej w dyskusji nad pogrudniowym programem wydawnictw leksykograficznych.

Powtórzmy nasze pytanie: jakież będą te nowe edycje encyklopedyczne? Czy znów zastosowany będzie model sowiecki, który przyjęto w roku 1968 za wzór przy wydaniu tomu XI i XII

Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, nowej edycji jej tomu I oraz Małej Encyklopedii PWN 1970 r.? Leksykon PWN 1972 r. wskazuje na pewne elementy opamiętania, mniejsze są rejonny przemilczeń, ogólniejsze sformułowania; ale zbyt wielkie jest znaczenie kulturalne encyklopedii, by społeczeństwo polskie mogło bez obszernej zasadniczej informacji i jawnej dyskusji za wierzyć zapowiedziom wydawcy, że przyszłe encyklopedie będą znakomite.

Opis poczynań encyklopedystów ma tej dyskusji służyć. Jest to bowiem przykład działania grup nacisku w specyficznych warunkach polskiego życia kulturalnego; ale również przykład formowania ośrodków ochrony istotnych wartości kulturalnych, współstanowiących o kształtowaniu się nowego pokolenia.

Z tej przyczyny, oraz ze względów osobistych, pomijam w zasadzie nazwiska zarówno moich przyjaciół i współpracowników, jak również przeciwników dawniejszego (dogmatycznego) i nowego („antysyjonistycznego”) chowu.

Pierwsze trudności, na jakie napotkała w roku 1957 inicjatywa powołania zespołu encyklopedycznego PWN (Państwowego Wydawnictwa Naukowego) wynikały z administracyjno-biurokratycznego „profilowania” przedsiębiorstw wydawniczych. Jedynym wydawcą encyklopedii miała być „Wiedza Powszechna”. Ale właściwa batalia była do rozegrania w gmachu Komitetu Centralnego partii. Chodziło o uzyskanie zgody na wydawanie przez PWN encyklopedii na ustalonych przez zespół encyklopedystów warunkach.

Odpowiedni wydział komitetu centralnego miał wypróbować receptę na uśmiercenie projektu — zażądał „notatki” dla kierownictwa partii. „Notatka” — myśl ludzka w klatce z tych kilku kartek papieru — po bezlitosnej wiwisekcji, dokonywanej przez obojętnych, czasem nieżyczliwych referentów sprawy, traciła wszelką świeżość i zdolność przekonywania. Jak długo „notatka” spoczywała pod sukniem — a mogło to trwać lata całe — jej autorzy byli sparaliżowani, wszelkie działanie było zakazane. Jeśli nawet „notatkę” zatwierdzono, wracała ona z reguły odmieniona do niepoznania, z licznymi uzupełnieniami, zastrzeżeniami, zaskakującymi decyzjami organizacyjnymi i personalnymi.

Udało mi się wtedy spotkać „prywatnie” członka kierownictwa partyjnego — nazwijmy go sekretarzem. Chodziło o ustalenie jakie są szanse uzyskania zgody bez „notatkowej” biurokracji. Sekretarz uznał pomysł wydawania encyklopedii za „przedwczesny”. Projekt jest wprawdzie przygotowany dobrze, encyklopedie bardzo potrzebne, ale wynikną z tego trudne problemy, zwłaszcza w zakresie stosunków z zagranicą. Pamiętam jego sformułowanie chyba dosłownie: „Polska może się obejść bez encyklopedii jeszcze dziesięć i dwadzieścia lat, jeśli miałyby z tego powstać dla nas tyle kłopotów w stosunkach z ZSSR, co brudu za paznokciem”. Cytuję to niezbyt piękne porównanie, bo stanowi ono przykład coraz częstszego wówczas uzasadnienia odrotu ekipy partyjnej od hasła październik obawą przed pogorsze-

niem stosunków z ZSSR. Sekretarz doradzał zastosowanie metody asekuracyjnej: unikać własnej odpowiedzialności i czekać na powołanie komisji Komitetu Centralnego do spraw encyklopedii; komisja zatwierdzać będzie każdą ważniejszą decyzję, każdy drażliwy artykuł.

Powołanie takiej komisji oznaczałoby oczywiście przekreślenie ustalonych przez encyklopedystów zasad wydawania polskiej encyklopedii.

Nastąpiła krótka dyskusja (cała rozmowa o największej polskiej imprezie wydawniczej trwała niespełna 15 minut). Niespodzianie Sekretarz z wyraźną irytacją zgodził się na wydawanie encyklopedii na odpowiedzialność przedsiębiorstwa wydawniczego PWN. Zrezygnował z notatki dla władz, ale zapowiedział tak surowy nadzór cenzury i władz, że każde uchybienie będzie na czas ujawnione i wobec „winnych” wyciągnięte zostaną „najsurowsze konsekwencje”.

To przyzwolenie opatrzone groźnym ostrzeżeniem nie miało żadnego praktycznego znaczenia, gdyby encyklopedyści nie wykorzystali go do następnego najważniejszego kroku, który dopiero zdecydował o publikacji encyklopedii: ogłoszona została subskrypcja, której towarzyszyła kampania reklamowa, prowadzona z rozmachem dotąd w polskim księgarstwie niespotykanym. Chodziło o zdobycie popularności wśród społeczeństwa i narzucenie aparatowi zwierzchniemu i organom kontroli, a także samemu wydawnictwu, fabryce papieru i drukarni żelaznych terminów wydania kolejnych edycji i tomów wydawnictw encyklopedycznych. Należało stworzyć sytuację, w której zaniechanie sprzedawanego w subskrypcji wydawnictwa i każde opóźnienie kolejnej edycji, czy tomu powodowało skandal — lawinę protestów zawiedzionych prenumeratorów.

Kampania reklamowa słusznie oparła się na zaufaniu społeczeństwa do uczonych polskich, którzy stanęli na czele komitetów redakcyjnych i rady naukowej. Byli to Tadeusz Kotarbiński, Bogdan Suchodolski, Aleksander Gięsztor i in. Sukces kolejnych subskrypcji przeszedł wszelkie oczekiwania. W ciągu trzech lat ok. 500.000 subskrybentów wpłaciło z góry ok. 70 milionów złotych. 13-tomową Wielką Encyklopedię Powszechną PWN w dwu kolejnych subskrypcjach zamówiło w przedpłacie 178.000 czytelników.

Sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Od dnia ogłoszenia wyników pierwszej subskrypcji Małej Encyklopedii PWN (250.000 zgłoszeń) nikt już nie rozważał CZY należy wydawać encyklopedie, a nawet KTO ma je wydawać. Jedynym zespołem, który przygotował się do tego, byli encyklopedyści, jedynym wydawnictwem, które podejmowało się wydania kolejnych edycji i tomów w ustalonych krótkich odstępach czasu i miało po temu organizacyjne i finansowe możliwości było Państwowe Wydawnictwo Naukowe (700 osób zatrudnionych, 1200 książek naukowych wydawanych rocznie).

Z perspektywy lat nagłą zmianę stosunku do wydawania ency-

klopedii przez PWN wspominam jak polityczną groteskę. Władze wszystkich szczebli ofiarowywały się z pomocą, nalegały na dotrzymanie terminów, poganiały przy każdym opóźnieniu. Cenzura przyjęła do wiadomości (wydane zresztą drukiem) zasady wydawania encyklopedii PWN; zawarte zostało szczegółowe porozumienie, ustalono na piśmie tryb czytania encyklopedii arkuszami oraz tryb dyskusowania i rozstrzygania wątpliwości wysuwanych przez cenzorów. Sytuacji konfliktowych było wiele, ale trzeba przyznać, że przyjęcie przez cenzurę tezy o obiektywnym (w miarę możliwości) i naukowym charakterze informacji w encyklopediach PWN sprzyjało poszukiwaniu sformułowań kompromisowych. Jeśli nawet budziły one sprzeciw encyklopedystów, to jednak zawsze uznawane były za dopuszczalną cenę, jaką musiało się zapłacić za wydawanie dzieł według ustalonych zasad. W dalszych uwagach o encyklopedystach, o ich dorobku i dziejach zilustruję te kompromisy kilku przykładami.

Adam BROMBERG

P.S. Otrzymałem list z zapytaniem, czy pochwała pracy encyklopedystów nie jest również samochwalstwem. Wyjaśniam: nie jest. Byłem wprawdzie jednym z inicjatorów wydawania encyklopedii, a następnie służyłem jak mogłem radą i pomocą zespołowi encyklopedystów, ale nie byłem jego członkiem. Usunięty w roku 1965 z Państwowego Wydawnictwa Naukowego jeszcze przed rozpoczęciem nagonki na encyklopedystów, obserwowałem ich pracę i walkę, gromadząc materiały umożliwiające krytyczną ocenę ich dorobku. Co niniejszym czynię.

A. B.

Książki

Bilard

Książka Alicji Lisieckiej o Norwidzie* składa się z 9 szkiców-rozdziół. Autorka porusza w nich takie kwestie jak: stosunek poety do starożytności, Grecji zwłaszcza; reakcje — lub brak reakcji — Norwida na twórczość współczesnych mu autorów (Gautier, Hugo, parnasiści, Baudelaire, Nerval, Hölderlin); zbieżność tonu poezji norwidowskiej i liryków lozańskich Mickiewicza. Teza książki — sformułowana w tytule — wyznacza refleksji historiozoficznej rolę dominantę życia i dzieła Norwida. Poeta ten w interpretacji Lisieckiej jest twórcą przepojonym historią, lecz jako twórca bardziej „apolliniński” niż „dionizyjski” dostrzegającym w niej raczej ciąg idei i typów świadomości, niż egzotykę i koloryt. Klasycystyczna więź z przeszłością, romantyczna predylekcja do pewnych wzorów (Sokrates, chrześcijaństwo) i nowoczesne, ironiczne spojrzenie na świat składają się na sylwetkę Norwida-synkretysty, zajmującego osobne, własne miejsce w literaturze.

Tyle — i niewiele więcej, obawiam się — dowiaduje się czytelnik tej książki o Norwidzie. Jest to praca z gatunku krytyczno-literackich i materiał faktograficzny przyjmuje się tu jako *datum*; *novum*, które — w zamierzeniu — ma dać praca, to interpretacja, synteza, horyzonty. Pod tym względem książka Lisieckiej rozczarowuje, jest bowiem chaotyczna, ogólnikowa i do tego pisana stylem tak zmanierowanym, że chwilami w ogóle nie wiadomo, o co autorce chodzi. Oto próbka (na chybił trafił, bo cała książka pisana jest w ten sposób):

„Egzotyzm Leconte de Lisle'a stanowi paradoksalną kontynuację deskryptywnego egzotyzmu Chateaubrianda. Zrodził się nie tylko w Jardin de Planes, czy w wyniku osiemnastowiecznych podróży dookoła świata. Zrodził się w podobnej atmosferze jak ta, która kształtowała orientalistyczne zaintere-

* Alicja Lisiecka, „Norwid — poeta historii”, Veritas Foundation Publication Centre, London 1973.

sowania wczesnych romantyków. Z jednej strony typ spekulacji metafizycznej, odnajdywany w egzotycznych literaturach, odpowiadał duchowi nowej epoki. Od Ramayany i Mahabharaty do Schopenhauera — tej perspektywy nie widział jeszcze autor *Les Poèmes antiques* i *Les Poèmes barbares*. Ale nie ulegał już i russowskiemu mitowi ucieczki od współczesnej cywilizacji na łono natury, do szczęśliwego i samotnego życia na pustyni, w górach. Ten mit przyswiecał literaturze od Bernardina de Saint-Pierre do *Les Orientales* Wiktora Hugo: ale już Chateaubriand przestrzegał przed skłonnością do „samotnych namiętności” i idealizując swoich Indian, opiewał mimo to w *Les Natchez* ich niedole, głosił wyższość życia w ewangelicznym społeczeństwie pracy nad koczującym i próżniaczym życiem dzikich” (str. 140).

Cytat ten ilustruje zarówno idiosynkrazje stylu Lisieckiej (nadmiar przymiotników i nazwisk na metr bieżący tekstu) jak i rzecz bardziej istotna: założenia badawcze. Uderza tu zgęszczenie takich twórców abstrakcyjnych jak typ, duch, mit, oraz różni-izmy. To już nie ozdobniki, a pewien pogląd na literaturę. Istotą tego poglądu jest przeświadczenie, że twórczość artystyczna dokonuje się nie tyle indywidualnym wysiłkiem twórcy, co raczej na skutek interwencji fluidów, przenikających epokę. Twórca nie porusza się w mniej więcej otwartej przestrzeni, lecz objaja bezwzględnie po ciasnej rupieciarni, zapchanej pomnikami i na dodatek poprzecinanej na wszystkie strony tendencjami, prądami i kierunkami. Konsekwencją tego ujęcia („z tragedii całej klasycznego świata / Podziały znacie, a z wymowy style”) jest przekonanie, że celem badań literaturoznawczych jest nie tyle sam autor, co jego tzw. droga artystyczna — traktowana jako wypadkowa potrażeń o wszystkie abstrakcje zaludniające (zdaniem badacza) daną epokę. Stąd też metoda badawcza niepokojąco przypomina bilard elektryczny. Każdy wie, jak to wygląda: wsadza się metalową kulkę do katapulty, naciąga sprężynę i paf — kulka-autor wylatuje na pole najeżone lampkami i zasadzkami z gwoździ-ków; co którą potraści, a nie ugrzęźnie: brzęk, na oświetlonej tarczy wyskakują punkty dla gracza-badacza; na koniec kulka stacza się do dołka w stosownym napisem — brzdęk, brzdęk, jeszcze dodatkowe punkty — i runda skończona.

W polskiej polonistyce bilard ten jest spadkiem po czasach, kiedy narzucono jej zamówienie ideologiczne: przy pomocy odpowiednio rozmieszczonych lampek i odpowiedniego naciągania bez trudu uzyskiwało się pożądane naświetlenia twórców rodzimych i obcych. W czasach postalinowskich ideologia mocno zwietrzała, ale sprzęt został: mniej jadowity, ale równie jałowy. Głównym moim zastrzeżeniem przeciw jego używaniu jest to, że rozkład lampek jest dowolny, a brzdąknięcia są na ogół ogólnikami. Ogólniki w wywodach nieformalnych pełnią zaś tę samą rolę, co fałsz w implikacji logicznej: wynika z nich dowolny wniosek. Czyli nic nie wynika.

Gdy czytamy u Lisieckiej: „Świat Norwida był dziełem boga Dionizosa i boga Apollina. Świat Leconte de Lisle'a jest dziełem Apollina i Jehowy” (str. 131) — to trzeba to przyjąć w pokorze, bo z metaforami się nie dyskutuje. Stwierdzenie: „Człowiek

wieczny' Emersona, Faust, Fenomenologia Hegla — oto źródło parabolicznych natchnień Norwida” (str. 81) jest nie do odparcia (choć autorka przyznaje, że nie wiadomo, czy Norwid Hegla w ogóle czytał, por. str. 77), ponieważ natchnienie może być takie i siakie; pośrednie, „kulturowe”, podświadome, etc. Nawet teza naczelną: „Norwid — poeta historii”, jest tego samego pokroju, ponieważ wszystko co się z nią nie zgadza — np. nurt religijny tej poezji — można wyinterpretować jako produkt uboczny, np. jako dreszcz mistyczny wywołany wiewem historii (ten styl jest zaraźliwy!). Równie dobrze można by nazwać Norwida „poetą chrześcijaństwa” — i podporządkować temu cały jego antyk, Sokratesa i historiozofię. I co z tego?

Rozwodzę się nad tym nie w celu znęcania się nad autorką, lecz dla podkreślenia, że jałowość tej książki jest prostą konsekwencją metody bilardowej. Pretensje należy więc raczej skierować do wszystkich, którzy ją autorce wpoili i wypieścili w niej przekonanie, że tak właśnie trzeba, że tak jest naukowo. Czyli przede wszystkim do oberbilardzistów w IBL-u, gdzie autorka pracowała przed wyjazdem z Polski i gdzie miała się na podstawie omawianej pracy habilitować (obacz: „Od autorki”). Wiele fragmentów książki świadczy, że na te fajerwerki zmarnowano sporo autentycznej erudycji, inteligencji i samodzielnego spojrzenia autorki. Np. w szkicu „Norwid a wiek XX” Lisiecka zatrzymuje się nad skazami twórczości poety. Wobec powszechnej obecnie manieri pisania o Norwidzie laurkowo i mętnie taki punkt wyjścia zaciekawia i mógłby doprowadzić do czegoś istotnie nowego. Niestety, wszystko kończy się i tu na „zasygnalizowaniu problemu” i ogólnikach.

Książka Lisieckiej jest bardzo IBL-owska w znaczeniu złej szkoły. Emigracja nie sprzyja pracy naukowej, ale jest zmianą szkoły. W ogóle — jest szkołą. Należy więc mieć nadzieję, że Lisiecka na emigracji będzie mogła kontynuować pracę nad Norwidem. Jej następna książka będzie na pewno lepsza.

M. BRŃSKI

P.S. O ile mi wiadomo, nikt dotąd nie zwrócił uwagi, że porównanie Norwida w „Post Scriptum”: „... jakby poszedł kto na grobie brata / Herboryzować! ziota rwać...” jest pożyczką z Wordsworth'a „Poet's Epitaph”; odpowiedni fragment brzmi:

*Philosopher! a fingering slave
One that would peep and botanize
Upon his mother's grave*

Zastrzegam sobie pierwszeństwo tego — przypadkowego, wyznaję — odkrycia norwidologicznego. Nie wątpię, że po należytej weryfikacji IBL nada mi za nie doktorat *honoris causa* z grono-stajową kitką.

M. B.

Jeszcze o «Cudownej melinie»

Powieść Kazimierza Orłosa, wydana przez Instytut Literacki w Paryżu, jest wydarzeniem niemal równym ukazaniu się w roku 1958 „Cmentarzy” Marka Hłaski.

Oprócz analogii czysto formalnych, jak ta, że obaj jako młodzi pisarze krajowi wydali swe książki na Zachodzie omijając cenzurę, lub że to właśnie Instytut Literacki patronował im obu, jest i podobieństwo bardziej zasadnicze.

Marek Hłasko po wielu sukcesach w kraju stworzył książkę większego kalibru niż poprzednie opowiadania. Powieść o człowieku nękanym systemem Polski Ludowej. I tej powieści nie mógł wydrukować w Polsce.

Tak samo Kazimierz Orłós uzyskawszy niemałe sukcesy jako autor krótkich opowiadań o małych, zagubionych ludziach polskiej prowincji, stworzywszy większe dzieło obejmujące szerzej i prawdziwiej problem owej „Polski powiatowej”, nie znalazł w kraju wydawcy. Musiał sięgać do nieskrępowanych cenzurą wydawców w Paryżu.

Dlaczego tak się stało? Nie trudno odpowiedzieć na to pytanie. W małych opowiadaniach gorzkie prawdy o życiu w Polsce, podawane jakby w drobnych dozach, dotyczą zawsze spraw indywidualnych. Powieść, choćby nawet z pozoru była zapisem zamkniętego środowiska, ukazuje szerszą panoramę i sugeruje uogólnienie.

Czy Polska stalinowska była jednym wielkim cmentarzyskiem, jakie widział Hłasko?

Czy Polska Ludowa po nadziejach, zrywach, buntach nawet, po obietnicach zmian i reform jest tylko „cudowną meliną”, w której zamelinowała się grupa spryciarzy i oportunistów?

Cenzorzy PRL pozwalają na aluzje, ale odpowiednio stonowane. Taka wielka, poszerzona aluzja nie mogła przejść. Nikt w Polsce nie uwierzyłby, że Orłós pisał tylko o jednym, szkaradnym, nieszczęsnym miasteczku, gdzieś na Podkarpaciu.

Nie ma to jest w kraju książek krytycznie opisujących „Polskę powiatową”. Cenzorzy pozwalają grzeszyć małym sekretarzom wiejskich aktywów, znajdować łapowników nawet na szczeblu kierownika PGR, ale zawsze, wszędzie po okropnych czynach zdeprawowanych urzędników niskiej kategorii wkracza rzetelny partyjnik, bolszewik ze stażem sprzed wojny i dobrotliwie działając naprawia wszelkie zło. Schemat polskiego produkcyjniaka jest do znudzenia jednostajny.

* Kazimierz Orłós, *Cudowna melina*, Powieść. Instytut Literacki, Paryż, 1973; cena F. 20,00.

U Orłosa sprawiedliwość nie zwycięża. Szlachetni partyjnicy nie zjawiają się jak *Deus ex machina*. Walka dobrego ze złem zostaje zawieszona i autor nie daje nam żadnej nadziei, że dobro zwycięży w następnym tomie.

Tak jak w „Cmentarzach” właśnie, sprawy kończą się na skrzyżowaniu dróg.

Jedynym sędzią jest czytelnik.

Treścią powieści Orłosa są dzieje jednego „sprawiedliwego”, przewodniczącego Rady Miejskiej, i całego zespołu małych, nikczemnych, wrośniętych głęboko w miasteczko oportunistów, wykorzystujących możliwości, jakie im daje system tak zwany „so-cjalistyczny”.

Sekretarz partii na powiat, towarzysz Miedza, władca dusz i ciał mieszkańców, major milicji, dyrektor szpitala, główny architekt miejski, dyrektor szkoły, kierownik budowy niepotrzebnej fabryki, kierownik robót miejskich Jasio Flacha i inni źli, gorsi, lub tylko podli ludzie, szukający własnej korzyści i wygodnego życia — oto zespół „właścicieli miasteczka”, którzy pazurami trzymają się swego i bronią przed wszelką reformą i naprawą.

„Sprawiedliwy” — przewodniczący — Turon niby jakiś nowy Judym marzy o naprawie społecznej wbrew temu, co dyktuje mu zwykłe prawo życia. No, bo on jest „niezyciowy”, on jest dziwak, który kieliszka wódki nie weźmie do gęby, papierosa nie zapali. Jakiś komunista z księżycą, albo z książek przedrewolucyjnych.

Tych to ludzi wraz z całym miasteczkiem Orłós opisuje bez gniewu, bez złośliwości, czasem z przymrużeniem oka, najczęściej po prostu realistycznie, tak jakby pisał reportaż najbardziej obiektywny. Widzimy ich wszystkich poprzez ich działanie, rozmowy i króciutkie jakby znienacka podrzucane uwagi odautor-skie. Jest to epika najlepszego gatunku. Od czasów Hłaski nikt tak prosto i bezpośrednio nie pisał po polsku.

W zachwaszczone monologami, dywagacjami, opisami, stylistycznymi wygibasami, piśmiennictwo polskie uderzyła znów prosta, tradycyjna, a jakże nowoczesna, oszczędna w słowach i jasna w opisie powieść realistyczna.

Orłós, którego poprzednie opowiadania zdradzają ogromną wiedzę o człowieku i wielką sympatię dla upośledzonych, ma w sobie wiele z Prusa. Nie odmawia najgorszym oportunistom i łajdakom człowieczeństwa. Nie wierzy w czarno-białe malowanie socrealistyczne. Uśmiecha się nawet w chwili tragicznej, aby powiedzieć czytelnikowi, że to tylko ludzie. Głupi, tępi, nieświadomi własnych słabości i niedomagań, chorzy, po prostu... ludzie.

Do miasteczka, gdzie wre walka sprawiedliwego a śmieszne-go, ze złymi a głupimi, przyjeżdża niespodziewanie człowiek zagubiony. Jakiś włóczęga, jakiś niezdarzeniec, mający za sobą i więzienie nawet za sprzeniewierzenia. Ten przybysz szuka pomocy u dawnego przyjaciela, przewodniczącego Turonia. Turoniowi wpada do głowy fantastyczny pomysł. Przebiera włóczęgę za reportera pisma stołecznego i każe mu chodzić od dyrektora do

dyrektora, od urzędu do urzędu i odkopywać prawdę o machlojkach, wykroczeniach, niedociągnięciach swych wrogów.

Śmieszna sytuacja przypomina gogolowskiego „Rewizora”, ale toczy się po innej płaszczyźnie i znajduje zupełnie inne rozwiązanie. „Rewizor-reporter” nie podołał zadaniu. W końcu wszystko się załamuje i stajemy przed tym, co było na początku. Zamelinowani łajdacy są bezpieczni. Cudowna melina! Miasteczko powiatowe, gdzie rządzą się prowincjonalni kacykowie, gdzie wszyscy żyją w strachu przed wszechwładnym sekretarzem, gdzie żadne z haseł socjalistycznych nie ma pokrycia, gdzie dobytek i pieniądze Polski Ludowej ciekną jak woda wzbogacając jedynie szubrawców.

I nikt nie może na to poradzić. Ani żartem, ani bohaterskim czynem.

Siła talentu Orłosa jest tak wielka, że zapominając o stronie politycznej, czy socjalnej, o zagadnieniach dręczących nas przez tyle lat, nagle zaczynamy żyć życiem tego jednego małego, zapomnianego przez centralę miasteczka, że chodzi nam tylko o tych właśnie ludzi, o ich zmartwienia i o te podłości jakim muszą ulegać.

Mogłaby to być jeszcze jedna powieść polityczna. Pozbawiona obciążenia cenzurą szmira socrealistyczna à rebours. Nie jest jednak; jest świetną, żywą, przejmującą powieścią współczesną, którą czyta się jednym tchem.

I koniec smutny, straszliwie smutny. Kiedy czytelnik staje przed ciemnością, w której próżno szukać drogi. Kiedy czytelnik cofa się przed surowym osądzeniem owego sekretarza Miedzy, czy nieuczciwego lekarza kierownika szpitala... kiedy następuje tylko żal, obejmujący wszystko i wszystkich...

I wreszcie myśl okrutna: Jaka to melina? Czy to jedynie mała, malutka, cudowna melina podkarpacka, gdzie zdołali się zadowolnić malutcy nieważni kacykowie?

Czesław DOBEK

Dwa wcielenia Strumphy

„*Wbrew rozkazowi*” to książka o wielkim znaczeniu dokumentalnym i literackim, na którą, jak to się zwykło mówić, od dawna już czekają tysiące ludzi, pragnących poznać kulisy działalności emigracyjnego rządu polskiego i rzeczywiste sprężyny jego poczynań politycznych i wojskowych — tak pisał krajowy periodyk *Dokoła Świata*.

Książka ta wyszła dawno, bo w 1964 roku, nakładem Czytelniaka. Autora — Strumph-Wojtkiewicza — poznałem swego czasu w Bużulu, gdzie był szefem biura Oświaty i Propagandy wojska polskiego, z nominacji gen. Andersa. Poznałem tak, jak mógł poznać osobnik (to znaczy ja) zawoszony, zmarznięty, scyngowany i wygłodzony — elegancika w dobrze skrojonym mundurze z Wielkiej Brytanii.

Już to jest charakterystyczne, że książka Wojtkiewicza ukazała się z podtytułem „Wspomnienia oficera prasowego 1939-1945”, ale w bibliografii na końcu książki ani słowem nie wspomina się o jakichkolwiek tytułach prac Wojtkiewicza z tego okresu. Do ponownego zajrzenia do *Wbrew rozkazowi* skłoniła mnie działalność pisarska Wojtkiewicza sprzed wojny. Bo oto leży przede mną pikantna książka: Autor: — Stanisław Strumph-Wojtkiewicz; tytuł: — *Nasz Wódz*. Ta książka została wydana w 1939 roku nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska”. Rok 1939 to rok wojny, ale autor miał pecha — wojna nie zdjęła z maszyny jego książki, zdążyła wyjść i dlatego mam przed sobą jeden jej egzemplarz.

Aby bliżej przyjrzeć się autorowi podajemy najpierw kilka cytat z *Wbrew rozkazowi*.

Str. 14: — „pułkownicy z najbliższego otoczenia marszałka” Rydza-Śmigłego, wszyscy, jak jeden chcą iść w nadchodzącą wojnę z Niemcami, inaczej on — Strumph-Wojtkiewicz.

Str. 29: — Autor zamierza „stanąć Śmigłemu do oczu”.

Na str. 30 perełka insynuacyjno-samochwalna: „Kochanka ministra spraw wojskowych Kasprzyckiego, aktorka Kajzerówna, wiozła jakoby całe walizy zegarków i kosztowności. Może znalazły się tam i nasze domowe precjoza, oddane na Fundusz Obrony, mianowicie dwie obrączki i złota dziesięciodolarówka”.

Str. 31: — jakiś młody oficer wzywa Wojtkiewicza do generała, potem okazało się, że tym generałem był Sikorski, ale nasz rotmistrz jeszcze o tym nie wiedział. Wojtkiewicz odpowiada: „Powiedźże temu generałowi, że mam ich wszystkich w d...!”

Str. 39: — Autor przyznaje się, że broń pozostawianą przez policjantów przechodzących do Rumunii „rozsprzedawał, oczywiście za bezcen”. Dalej przy wymianie przez Rumunów pieniędzy w ograniczonej wysokości nasz bohater daje nadmiar swoich pieniędzy do wymiany innym, *fifty-fifty*.

Str. 63: — Ktoś wymienia nazwisko Rydza-Śmigłego, a potem się do tego nie przyznaje. Strumph wtrąca się do rozmowy: „— Jak to nie, wszyscy słyszeli! Pan Pułkownik tak ryczał, żeby w Polsce było słychać. Z serca, psiakrew!”

Str. 72: — Autor przypomina b. ministrowi Kościątkowskiemu, że on, Strumph, pisał dla ministra w Warszawie przemówienia w sprawie pomocy zimowej. Nawiasem tu dodam od siebie, że jako były przedwojenny referent prasowy Biura Głównego Funduszu Pracy przypadkowo znam organizację pomocy zimowej dla bezrobotnych. Artykuły Kościątkowskiego pisał nie Wojtkiewicz, a zupełnie ktoś inny, kto potem poległ w Katyniu.

Na str. 82 dzielny bohater Strumph krzyczy: — „Po prostu chcecie łatwiej i wygodniej uciekać” i to pod adresem „sztabowców, wywołując w nich zimną furję”. I zaraz na stronie następczej: — „Wstydy, pułkowniku — korzystać z pomocy niewiast”.

Na str. 106, o sobie: — „Jeszcze bardziej zasłynąłem wtedy u starszyny oficerskiej jako niebezpieczny wichrzyciel i buntownik”. A wkrótce potem pewien major oskarża Wojtkiewicza o udział „w żołnierskim komunistycznym wiecu”. Mimo to gen. Kukiel (str. 116) wskazuje na Wojtkiewicza, jako na „wzór dla innych oficerów”. Do III brygady kadrowej dowództwo wysyła ten wzór celem „zrównoważenia wpływów sanacyjnych”. Dalej nasz anty-sanator posądza pewnego pułkownika o „bezczelność” i zapytuje go „czy był już kiedykolwiek porządnie obity”.

Przez całą książkę przewija się chęć wielu oficerów polskich do poddania się Hitlerowi, ale on — Strumph — przynigdy.

Tu i ówdzie żołnierze całują ręce Strumph, jak np. na str. 135: — „Panie poruczniku! To pan! Nareszcie Pana spotykam! Niech ucałuję tę rękę, która pomściła moje krzywdy”.

Str. 143: — Autor wykrzykuje do majora Zychonia: — „Teraz już wiem, kto to jest 'piłsudczyk'! Jest to taki goryl, który po pijanemu bije się pięścią we włochatą pierś i publicznie wykrzykuje 'piłsudczyk jestem’”.

Ciekawe kiedy naprawdę powstała poniższa strofa (bo Strumph to także poeta) o Rosji:

*...Pokażcie mi, pokażcie — gdzie
mieszka na świecie naród, który
już nie o grosze, lecz o słowa,
o nową życia treść się starał
krzykiem zuchwałym i żalosnym,
który mi jeszcze w uszach brzmi.
Pokażcie mi, pokażcie — gdzie
godniejszy znajdzie się przyjaciel,
wierniejszy znajdzie się sojusznik
na zawieruchę przyszłych dni.*

„Nadzieje miałem określone, stosunek do przyszłości — krytyczny” — pisze potem nasz wieszcz.

Przerzucamy dalsze strony, na których Wojtkiewicz ciągle jest na pierwszym planie, ciągle „wbrew rozkazowi”, „pełen swady, ogólnej wesołości...”, „ku zadowoleniu dowódców i nawet radzieckich oficerów” (str. 215), obrońca komunizmu w rozmowie z generałem Okulickim, jest też „pochwalającym pewne wzory rosyjskie”, wykonującym „doskonałą robotę”. W rozmowie z generałem Andersem pan rotmistrz (już, mimo że działa ciągle „wbrew rozkazowi”) mówi: „Wypraszam sobie podniesiony głos pana generała” (str. 244), a później wykrzykuje o generale Okulickim do tegoż generała Andersa: „Pan pułkownik szef sztabu kłamie!”. Gdy generał Anders rzekomo proponuje Strumphowi, aby został

„jego człowiekiem” — słyszymy oburzoną odpowiedź czułego sumienia pana rotmistrza: „O Boże, ja — czymis człowiekiem”...

A oto opinia Wojtkiewicza o naszej emigracji: — „Emigracja wywozła ze sobą na świat umarłe pretensje, nieżywe nadzieje, poronione koncepcje i cuchnące średniowieczem odpadki po zbyt długo trwającym ucztowaniu. Ale walczone tu nadal o ochłapy — już teraz nie na miecze i szpady, ale na stopień jadowitości — w ślinie i w próchniejącym uzębieniu kasty, tracącej siłę i prężność”. Poznać było pana po cholewach, poznać zawsze pisarza po jego stylu. W „zbyt długo trwającym ucztowaniu” brał udział także sam autor powyższych słów.

W bibliografii *Wbrew rozkazowi* pisarstwo Strumph-Wojtkiewicza zaczyna się w 1946 roku. A co było przedtem? Tu dopomożemy „Czytelnikowi”.

Chronologicznie pierwszą książką (z 1939 roku) Stanisława Strumph-Wojtkiewicza jest *Nasz Wódz*. Na okładce reprodukcja portretu marszałka Rydza-Śmigłego pędzla Michała Byliny.

„Nasz Wódz” — to marszałek Śmigły-Rydz.

Spis rozdziałów mówi nam z góry o treści i formie książki: *Naród odnajduje Wodza — Odznaka ukończenia Strzeleckiej Szkoły Oficerskiej w 1913 r. — Buława w tornistrze uczniowskim — Odznaka I-go pułku Piechoty Legionowej — Rok pracy wojennej — Odznaka „Za wierną służbę” — Zastępca Piłsudskiego — Krzyż Legionowy — Wódz Naczelny i młodzież — Odznaka Polskiej Organizacji Wojskowej — Śmigły-Rydz wychowawcą narodu — Krzyż za Wilno.*

Książka jest pełna cytat z przemówień Marszałka Piłsudskiego i Marszałka Śmigłego-Rydza.

Wojsko, u Strumph-Wojtkiewicza, kocha Wodza, bo „wie, że dowódca jest znakomitym i wytrawnym żołnierzem”.

„Bojowa sława i ogromny trud życia dały Marszałkowi całkowity i głęboki autorytet nie tylko w wojsku. Jesteśmy świadkami przyłączenia się całego społeczeństwa do wojska, w jego posłuchu i głębokim oddaniu dla Naczelnego Wodza. Postać Marszałka Śmigłego budzi żywiołowe wyrazy serdeczności i entuzjazmu, gdziekolwiek ukaże się, widzimy Marszałka otoczonego milionem szeregów, maszerujących we wskazanym przez niego kierunku” (str. 8). Śmigłemu „Polska powierzyła nie tylko ochronę granic, ale i najbardziej wierne i miłujące serca żołnierzy i młodzieży” (str. 10).

„Po raz drugi zdarza się rzadki i szczęśliwy wypadek kolejnego łączenia w jednej osobie zarówno kierownictwa sił zbrojnych kraju jak i najwyższego, jaki może być, autorytetu, wynikłego nie tylko z faktu sprawowania wysokiej władzy, ale z rozkazu serc” (str. 15).

Pamiętając zacytowaną wyżej strofę Strumph z innej książki, o Rosji — odnotowujemy w *Naszym Wodzu* takie zdanie: — „Pomiędzy Zachodem, który nadmiernie ulega sile pięści lub pieniądza, a Wschodem, gdzie od tysiąclecia niewiele znaczy jed-

nostka ludzka i wszystko podporządkowane jest bezwzględnej i despotycznej władzy — jesteśmy odrębni”.

Str. 18-19: — „W Marszałku Śmigłym odczuł naród właśnie takiego kość z kości Polaka, budowniczego nowej Polski, który sam sobie wyrąbał swoją drogę sławy wojennej i sam rozwijał talenty i umiejętności. Wreszcie wszyscy zobaczyli w nim jeszcze jedno — najważniejsze, że jest świetnym wychowawcą”. Wszystkie problemy rozstrzyga Śmigły-Rydz „z rzadko spotykaną lotnością umysłu”, daje „sprawie wielkości i mocarstwowości Polski nowe silne podstawy gospodarcze i moralne, wybudowane zbiorowym wysiłkiem pod jego uważnym kierownictwem”.

Na str. 40 autor podkreśla, że „przy Piłsudskim stawał natchnięty każdy prawdziwie szlachetny i prawy, a jednocześnie śmiały i ofiarny Polak”, stanął więc i Śmigły. „Ileż pracy włożył w zorganizowanie nowoczesnej armii polskiej i w sprawę zjednoczenia narodu polskiego Marszałek Śmigły-Rydz — abyśmy mogli dziś być spokojni, silni i gotowi wobec każdego bez wątku napastnika”.

I tak przez 160 stron, w tym cikliwa i naiwna historyjka o spotkaniach Marszałka z dziećmi i młodzieżą.

Książka kończy się następująco: „Niechże patrząc w nasze oczy widzi nasz Wódz, że zwyciężymy za jego przewodem, że honor i miłość Ojczyzny są naszymi jedynymi dyktatorami. Serca całej młodzieży polskiej uderzają mocno w takt wszystko mówiących słów:

Wodzu, prowadź nas!”

Koniec. Aha, jest jeszcze rysunek Krzyża-Odznaki za zdobycie Wilna.

Ponadto na egzemplarzu możemy przeczytać taką oto odręczną dedykację:

„Panu Generałowi Wieniawie Długoszowskiemu egzemplarz ten podpisuje zawsze oddany i serdecznie kochający autor Stanisław Strumph Wojtkiewicz. Warszawa, 4/8/39”.

Witold ZAHORSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Dziękuję wam rodacy. Praca zbiorowa. Autorzy ppłk J. Srebrzyński, mjr K. Bogacki, płk dypl. T. Rola, mjr D. Tarnowski, mjr S. Popkiewicz, z przedmową gen. St. Ko-

pańskiego. Str. 278 i 2 nlb. Szkice w wykonaniu inż. W. Neumanna. Obwoluta A. Popkiewicza. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1973).

KISIELEWSKI (Stefan). *Materii pomieszanie*. Zbiór artykułów wojennych. Str. 355, i 1 nlb. (Wyd. ODNOWA, Londyn, 1973).

WERON (Eugeniusz, Ks. SAC). *Laikat i apostołstwo*. Zarys teologii laikatu i apostołstwa ludzi świeckich. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paris, 1973).

GRABSKI (Władysław). *Wspomnienia ze Spa*. Wstęp i przypisy opr. St. Kirkor. Str. 53 i 3 nlb. (Drukiem Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1973).

SOSNKOWSKI (Kazimierz, gen.). *Przyczynki do sprawy zbrodni polskich w okresie 1935-1939*. Str. 24 i 2 nlb. (Wyd. Marian Włodzimierz Żebrowski, Londyn, czerwiec 1973).

Katyni. Dispatches of Sir Owen O'Malley to the British Government. (Tłumaczenie polskie). Opr. mgr Romuald Bilek. Wprowadzenie Louis Fitz-Gibbona. Str. 27 i 1 nlb. (Wyd. Polish American Congress, Inc. Katyn Memorial Fund Commission. Chicago, Ill., 1973).

REUT-WITKOWSKA (Zofia). *Ofiarze innego słońca*. Wiersze. Str. 87 i 1 nlb. (Drukiem Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1973).

SIX (J. F.). *Karol de Foucauld*. Przekład z francuskiego Zofii Nosalowskiej. Str. 137 i 7 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue. Seria „Znaki czasu”, tom 25, Paryż, 1973).

ZYTOMIRSKI (Eugeniusz). *O Noemi rapsod pośmiertny*. Proza poetycka. Maszynopis konspiracyjny z 1943 r. Str. 27 i 5 nlb. (Nakł. autora, Toronto, 1973).

W. A. A. F. — *Polska Lotnicza Służba Kobiet*. Jednodniówka wydana w 30-lecie powstania 1943-1973. Str. 57. (Wyd. Sekcja b. Ochotniczek P.L.S.K. przy Skrzydle Lotniczym „Warszawa” No 430 Royal Canadian Air Forces Ass'n. w Toronto; Cena z przesyłką dol. 2,50. Jednodniówkę podającą krótki zarys historii służby przy Lotnictwie Polskim w czasie 2-ej wojny można nabywać w Sekcji P.L.S.K.-W.A.A.F. — Skrzydło „Warsza-

wa”, 94 Merrick Str., Toronto, Ont., Canada M6R-1C8).

Kombatant w Południowej Afryce i Rodezji. Str. 16. Powielacz. (Wyd. w czerwcu 1973 w 33 rocznicę zbrodni bolszewickiej w Katyniu 1940-1973).

BUJNOWSKI (Józef). *Niektóre uwagi o tzw. IV systemie wersyfikacyjnym*. Str. 165-236. (Nadbitka z *Dutch Contributions to the Seventh International Congress of Slavists*).

KORZENIEWSKI (Bohdan). *O wolność dla pioruna... w teatrze*. Str. 470 i 2 nlb. Fotografie w tekście. (Wyd. Państwowy Inst. Wydawniczy, Warszawa, 1973, cena zł. 50,00).

TABORSKI (Bolesław). *Wybór wierszy*. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1973, cena zł. 30,00).

FLUKOWSKI (Stefan). *Oko byka*. Wiersze. Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn, 1973, cena zł. 20,00).

JAROSZYK (Witold). *Dziennik lotnika Dywizjonu 301*. Str. 66 i 10 nlb (wraz z fotografiami). Wstęp i przypisy Wł. Chojnackiego (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn, 1972).

Słoneczna kantata. Wiersze poetów polskich poświęcone Mikołajowi Kopernikowi. Antologia; ok. 1540-1971. Zebrała i opracowała Matylda Wiśniewska. Przedmowa Ryszarda Matuszewskiego. Str. 210 i 4 nlb. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn, 1973).

BORWICZ (Michel). *Ecrits des condamnés à mort sous l'occupation nazie (1939-1945)*. Przedmowa René Cassin. Wydanie nowe przejrane i powiększone. Str. 374 i 10 nlb. (Wyd. Ed. Gallimard, collection „Idées”).

MARTIN (André). *Soljenitsyne le croyant. Lettres, Discours, témoignages*. Str. 170 i 5 nlb. (Editions Albatros [Editions Etapes], Paris, 1973).

YURIEFF (Zoya). *Joseph Wittlin*. Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. Twayne Publishers, Inc. New York, 1973).

**WYDAWNICTWA INSTYTUTU LITERACKIEGO
W PARYŻU
POSIADANE JESZCZE NA SKŁADZIE**

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria: „Archiwum Rewolucji”)	256	15,00
Amalrik, A.: <i>Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?</i>	96	10,00
Andrzejewski, J.: <i>Apelacja</i>	112	9,00
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Bell, D.: <i>Praca i jej gorycze</i> (<i>Kult wydajności w Ameryce</i>) ..	68	4,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Bobkowski, A.: <i>Szkice piórkiem</i> (<i>Francja 1940-1944</i>) t. I/II ..	760	18,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Rejs do Smithton — Stary ocean</i>	208	12,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	17,50
Czapski, J.: <i>O k o</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	531	30,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VI „ <i>Dziennik (I) 1953-1956</i> ”	304	25,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VII „ <i>Dziennik (II) 1957-1961</i> ”	256	25,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VIII „ <i>Dziennik (III) 1961-1966</i> ”	224	22,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. I „ <i>Ferdynurke</i> ”	292	24,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IV „ <i>Kosmos</i> ”	160	15,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „ <i>Opowiadania</i> ” ..	208	24,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane, t. III „ <i>Pornografia</i> ” ..	168	15,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „ <i>Teatr</i> ”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. II „ <i>Trans-Atlantyk</i> ” ..	132	14,00
Greene, G.: <i>Moc i chwała</i>	247	6,50
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”)	112	9,00
Guilley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjście</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i>	192	22,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	256	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	7,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Upiory rewolucji</i>	176	15,00
Hersch, J.: <i>Polityka i rzeczywistość</i>	225	7,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Huxley, A.: <i>Nowy wspaniały świat poprawiony</i>	121	7,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li żizn' na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii (1940-1945)</i>	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i>	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmenty wspomnień</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	240	13,50
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1958</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	12,50
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962</i>)	80	9,00
Krzyzanowski, A.: <i>Dzieje Polski</i>	456	35,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Dokumenty”)	144	12,00
<i>Kultura masowa</i> — opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”) ..	145	6,00
Lednicki, W.: <i>Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905</i> ..	144	9,00
Lewickij, B.: <i>Terror i rewolucja</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	288	15,00

	Stron	F.
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	7,00
Mackiewicz, J.: <i>Kontra</i>	272	7,00
Mackiewicz, St.: <i>Polityka Becka</i>	190	12,50
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	18,50
Mieroszewski, J.: <i>Polityczne neurozy</i>	192	13,50
Miłosz, Cz.: <i>Człowiek wśród skorpionów</i>	128	9,00
Miłosz, Cz.: <i>Miasto bez imienia</i> (Poezje)	72	9,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i>	256	25,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	18,50
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłoś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Orwell, G.: <i>1894</i>	256	13,50
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	3,50
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Preiss, P.: <i>Biurokracja totalna</i>	208	18,50
<i>Program Związku Komunistów Jugosławii</i> (Seria „Dokumenty”)	276	8,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”)	288	18,50
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
<i>Rewolta szczeecińska i jej znaczenie</i> (Seria „Dokumenty”) ..	256	25,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Sołżenicyn, A.: <i>Krąg pierwszy, t. I/II</i> (wydanie drugie) ..	704	60,00
Sołżenicyn, A.: <i>Oddział chorych na raka</i>	480	40,00
Staliński, T.: <i>Cienie w pieczarze</i>	368	30,00
Staliński, T.: <i>Romans zimowy</i>	208	24,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	15,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Kolumbowy błąd</i> (Seria „Dokumenty”) ..	205	9,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Swinarski, A. M.: <i>Sasza i bogowie</i>	280	15,00
Terc, A. (Siniawski, A.): <i>Opowieści fantastyczne</i>	224	12,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50

	Stron	F.
Vincenz St.: <i>Po stronie pamięci</i>	256	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism, opr. i przekład Cz. Miłosz</i>	384	10,00
Weissberg-Cybulski, A.: <i>Wielka czystka</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	576	30,00
<i>Węgry, opr. Cz. Miłosz</i> (Seria „Dokumenty”)	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia) ..	354	18,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienie, t. I/III</i>	1324	87,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zaremba, P.: <i>Historia Polski, Cz. I</i>	588	20,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał 4 razy do roku. Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty Nry 2, 4, 5, 6, 7 i 15 są wyczerpane. Cena pojedynczego Zeszytu		20,00

DO CZASU UNORMOWANIA SYTUACJI MONETARNEJ PRZELICZNIK NA WIELKĄ BRYTANIĘ I KRAJE DOLAROWE WYNOŚI 1 £ = F. 10,00; 1 \$ = F. 4,00

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-6-73

W województwie warszawskim jest jeszcze pół miliona budynków krytych słomą. W ciągu najbliższych lat przewiduje się wymianę dachów jedynie nad 50 tysiącami budynków. ■ Szczawnica otrzymała tytuł najlepszego uzdrowiska w Polsce w 1972. ■ Według danych Rady Motoryzacyjnej PRL, w roku 1975 jeden samochód będzie przypadał na 38-miu mieszkańców Polski, w 1980 — na 20 osób, w 1990 — na 7. ■ Według danych Narodowego Banku Polskiego rok rocznie niszczy się 400 ton banknotów o nominalnej wartości około 20 miliardów złotych. Na ich miejsce wypuszcza się nowe emisje, których koszt (papier i druk) wynosi 60 milionów złotych. Najkrótszy żywot — do 7 miesięcy — mają banknoty 20 i 50 złotych. Najdłużej, bo około 5 lat, wytrzymują tysiączłotówki. Szybkość zużywania banknotów jest spowodowana złym gatunkiem papieru i niechlujstwem użytkowników. ■ Bezpieka w Lublinie zamknęła Puławskie Studium Teatralne. Był to teatr kierowany przez młodych reżyserów i aktorów jak Małgorzata Dziewulska, Ryszard Peryt, Ewa Benesz. Teatr był przeznaczony dla robotników. ■ ZBOWiD ogłasza, że przyznawanie odznaczeń za czyny bojowe z okresu wojny zostanie zamknięte w lipcu 1974 — w 30-lecie rocznicę istnienia PRL. Jak dotąd dość masowo nadawano krzyże *Virtuti Militari*, Krzyż Grunwaldu, Krzyż Walecznych i Krzyż Partyzancki, bardzo zaś masowo medal „Zwycięstwa i Wolności” dla uczestników kampanii wrześniowej 1939.

19-6-73

Two „Polonia” przygotowuje się już do jubileusza 30-lecia PRL, który ma mieć miejsce w przyszłym roku. Planuje się m.in. symposium polonijne dziennikarzy i wydawców, 3-ci Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Artystycznych, oraz 3-cią Olimpiadę młodzieży pochodzenia polskiego.

24-6-73

W Warszawie zmarł prof. dr Stanisław Herbst, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego.

26-6-73

Zmarł w Warszawie płk Emil Kaliński, żołnierz I-szej Brygady Legionów, ostatni minister Poczty i Telegrafu RP do wybuchu wojny.

30-6-73

Na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa kompozytorowi Witoldowi Lutosławskiemu i prof. Ianowi Naimowi Snedton, znanemu matematykowi brytyjskiemu.

1-7-73

W Warszawie zmarł, w wieku lat 61, Janusz Makowski, wiceprezes Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, b. poseł na Sejm PRL. ■ Biblioteka Narodowa w Warszawie liczy obecnie 2 i pół miliona tomów. W ciągu roku 1972 zbiory Biblioteki powiększyły się o 140 tysięcy książek, broszur, druków ulotnych i map, w tym 4 tysiące tomów ofiarowanych w większości przez Polonię zagraniczną. W 1972 roku Zakłady Biblioteki Narodowej udzieliły ogółem 57 tysięcy informacji. Biblioteka wydaje 11 serwisów informacyjnych, które rejestrują rocznie około 300 tysięcy opisów bibliograficznych. ■ Grono pisarzy i artystów złożyło kwiaty pod tablicą

na cześć pamięci Jerzego Stempowskiego, na grobie rodzinnym Stempowskich. Na płycie jest napis: „Ku czci Jerzego Stempowskiego — niespiesznego przechodnia”. Tablica została ufundowana przez aktorkę Zofię Małynicz.

8-7-73

Redakcję miesięcznika *Znak* objął Bohdan Cywiński, autor „Rodowodu niepokornych”. Przyszedł on na miejsce Hanny Malewskiej. ■ W czasie pobytu w PRL prezydent Iraku zawarł umowę, na mocy której Irak będzie dostarczał Polsce do roku 1980 ropę naftową w zamian za kompletne urządzenia inwestycyjne. ■ Jak podaje GUS, w 1971 roku na 1000 nowożartych małżeństw wybudowano 653 mieszkania. Jest to najniższy wskaźnik wśród krajów europejskich. ■ *Zycie Warszawy* podaje, że 60% placówek Służby Zdrowia pracuje w lokalach złych, nie nadających się do dalszej eksploatacji. Dwie trzecie obiektów liczy sobie ponad 50 lat.

10-7-73

W Moskwie odsłonięto pomnik Kutuzowa „połkowca ziemi ruskiej”. Na pomniku znajdują się płaskorzeźby ilustrujące najważniejsze zwycięstwa Kutuzowa. Prasa sowiecka nie podaje czy jest również płaskorzeźba zdobycia Pragi.

13-7-73

W Moskwie zmarł, w wieku 69 lat, Awerkij Aristow, który przez 10 lat począwszy od 1961 był ambasadorem sowieckim w Polsce. ■ Według obecnych przepisów PRL każdy artykuł, który ma być wydrukowany w wydawnictwach zagranicznych, musi być przed wysłaniem przedstawiony do akceptacji. Dotyczy to zwłaszcza świata naukowego.

15-7-73

Do Sejmu PRL wpłynął rządowy projekt ustawy o emerytalnym zaopatrzeniu członków stowarzyszeń i związków twórczych. Działalność twórczą w PRL wykonuje około 10 tysięcy osób. Jest wśród nich 7.500 artystów, ponad 1100 literatów, 140 kompozytorów, 25 choreografów. Ponad 300-tu twórców jest dziś w wieku emerytalnym. ■ Ryszard Wojna został usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego *Życia Warszawy*, na jego miejsce mianowano Bohdana Rolińskiego z *Trybuny Ludu*.

17-7-73

Po czterdziestu latach nieprzerwanego pobytu, opuścił Moskwę korespondent *United Press* Henry Shapiro, który przechodzi na emeryturę. Pożegnał go serdecznie i z żalem Breżniew, a pewien niewymieniony z nazwiska dyplomata sowiecki wykrzyknął: „Jest pan częścią historii naszego kraju”. Przy czynny tych czułości i komplementów mógłby wyjaśnić Amalrika, ale Amalrika zatrzymano w łagrze po wygaśnięciu trzyletniego wyroku.

22-7-73

Z okazji 22 lipca przyznane zostały nagrody min. Kultury PRL. Nagrody Literackie 1-go stopnia otrzymali: K. Bunsch, S. Lem, J. Meissner, S. Szmałglewska; 2-go stopnia: Ernest Bryll, St. Grochowiak, Jan Pierzchała oraz Janusz Wilhelmi za „twórczość publicystyczną”; 3-go stopnia m.in. Jerzy Pertek.

25-7-73

Doroczne nagrody Klubu Zagadnień Polonijnych Stow. Dziennikarzy Polskich w PRL zostały przyznane: Redakcji *Audycji dla Polaków* w krajach euro-

pejskich, zespołowi *Kuriera Polskiego* oraz Cz. Brzózce, J. Grygielowi, Lidy Klimeczak i E. Orciszewskiemu.

1-8-73

Według nowych przepisów dewizowych PRL obywatele polscy, pracujący za granicą, będą mogli dysponować uzyskanymi zarobkami; autorzy dzieł literackich wydanych za granicą będą mogli dysponować honorariami finansując swoje podróże zagraniczne. To samo dotyczy osób uzyskujących waluty obce z tytułu eksportu wynalazków i osiągnięć naukowo-technicznych. ■ PRL zawarła ze Szwecją kontrakt na dostawę 17 milionów ton rudy żelaza. ■ Towaroznawcy handlu PRL skontrolowali w roku 1972 towary łącznej wartości 242 miliardów zł. Zakwestionowano jakość towarów na sumę 15 i pół miliarda zł., z czego jako nie nadające się całkowicie do sprzedaży towary za 672 miliony złotych. ■ Dominik Horodyński, były działacz PAX'u, objął redakcję warszawskiego tygodnika *Kultura*. Dotychczasowy redaktor, Janusz Wilhelm został dyrektorem generalnym w Komitecie do Spraw Radia i Telewizji. ■ Plaża sopocka jest zagrożona pollutioną i ma być w najbliższym czasie zamknięta. ■ Konto narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia przekroczyło już kwotę 1 miliarda złotych. ■ Kosztem 1,6 miliardów złotych ma być wybudowana w Łodzi nowoczesna fabryka dzianin. Zakład ma być importowany ze Szwecji. Przewidziana produkcja zakładu ma wynosić 23 miliony metrów rocznie. ■ Prasa sowiecka podała, że w dniach 25-31 października br. ma odbyć się Światowy Kongres Sił Pokoju na skalę dotąd niespotykaną. Udział w obradach Kongresu zapowiedziało już 80 organizacji międzynarodowych i regionalnych. Przygotowania do kongresu rozpoczęły się w 98 krajach. ■ Stanisław Wyłupek został mianowany wiceministrem Łączności PRL.

2-8-73

W ZSSR obchodzono uroczyste 40-letnią rocznicę budowy „Białomerkanału”... Prasa nie wspomina o ilości osób zmarłych przy tej budowie. ■ Górny bieg Wisły został zanieczyszczony na skutek wyciekania ropy naftowej z rafinerii w Czechowicach.

4-8-73

W Koszalinie rozpoczął się 2-gi Festiwal Chórów Polonijnych, który ma trwać do 12 sierpnia. Bierze w nim udział 11 chórów z Francji, NRF, USA, Czechosłowacji i Danii, liczących łącznie (wraz z działaczami polonijnymi) 700 osób.

5-8-73

I Sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR Warszawa-Śródmieście, Mieczysław Wojtczak, mianowany został wiceministrem Kultury i Sztuki. Odeszli z tego resortu wiceministrowie: Czesław Wiśniewski i Bogusław Płaza.

8-8-73

Represje w stosunku do intelektualistów w ZSSR: Poza sprawą Wł. Maksimowa, o której pisze na innym miejscu Adam Kruczek, znany matematyk Jurij Czichanowicz został internowany w zakładzie psychiatrycznym; aresztowano zamieszkałego w Archangielsku Siergieja Pirogowa — przyjaciela A. Sacharowa; pozbawiono obywatelstwa sowieckiego Jauresa Miedwiediewa, przebywającego na rocznym stypendium w Londynie i odebrano mu paszport (Londyński dom wydawniczy McMillan wydał ostatnio w językach rosyjskim i angielskim jego książkę, poświęconą Sołżenicynowi z okazji 10-ciolecia ukazania się „Jednego dnia Iwana Denisowicza”); 18 lipca br. Andreja Amalrika skazano ponownie na 3 lata łagrów w Talaja, 200 km. na północ

od Magadanu. Ponadto jeden z najzdolniejszych kompozytorów sowieckich, Andrej Wołkoński, na skutek szykan i represji (miał tylko jeden publiczny koncert w 1961 r.) musiał wyemigrować z Rosji na wizę... izraelską. Wołkoński pochodzi z jednej z najstarszych książęcych rodzin rosyjskich. *Analogiczne represje w PRL*: Kazimierz Orłoś został usunięty z redakcji *Literatury*. Z telewizji warszawskiej usunięto: Joannę Rostocką za noszenie broszki-krzyżka; Jareme Stempowskiego za wzięcie udziału w wizycie grupy aktorów u Kardynała Wyszyńskiego oraz Zadrowskiego za puszczenie w pogadance historyczno-dokumentarnej głosu Marszałka Piłsudskiego. Ponadto w telewizji zdjęto sztukę Leskova, przedwojennego wybitnego pisarza rosyjskiego. W związku z tym mówi się w Warszawie: „Dziś emisja, jutro dymisja”. Książka Olgierda Terleckiego *Generał Sikorski*, która miała ukazać się w Wydawnictwie Literackim w Krakowie i była już złożona, została zakazana i skład jej został rozsypany na polecenie i pod kontrolą krakowskiego cenzora.

ZACHÓD — EMIGRACJA

5-6-73

Prof. M. Kamil Dziewanowski z Boston University wygłosił w amerykańskiej szkole wojskowej „Army Advanced School of Soviet and East European Studies” w Garmisch pod Monachium odczyt pt. „Communist China and Eastern Europe” („Komunistyczne Chiny a Europa Wschodnia”). Prof. Dziewanowski był w ciągu roku akademickiego 1972/73 wykładowcą historii Europy Wschodniej w NATO Shape oraz w Berlinie Zachodnim.

8-6-73

Komitet Wykonawczy Fundacji Polskiego Ośrodka Studenckiego w Paryżu podaje, że dotychczasowa zbiórka na Dom Stowarzyszenia Studentów Polskich wyniosła 36.000 franków.

15-6-73

W Mediolanie został powołany Komitet dla budowy autostrady, która połączyłaby Włochy — przez Wiedeń, Bratysławę, Katowice, Warszawę, Białystok, Mińsk i Smoleńsk — z Moskwą. Inwestycja ta ma być sfinansowana przez zainteresowane kraje, Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju, Europejską Wspólnotę Gospodarczą i RWPG.

18-6-73

W Londynie odbyło się walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Uchodźstwie. W skład nowego zarządu weszli: Prezes Kazimierz Sowiński, wiceprezes Józef Garliński, sekretarz Krzysztof Rowiński, skarbnik Franciszek Wysłouch, członkowie — Marta Reszczyńska-Stypińska, Paweł Moskwa, Bronisław Przyłuski i Ignacy Wieniewski. Ponadto przyznano trzy równorzędne nagrody literackie: Bronisławowi Przyłuskiemu, Karolowi Wędziągolskiemu i Franciszkowi Wysłouchowi. Nagrodę im. Herminii Naglerowej, ufundowaną przez Mec. M. Chmielewskiego, otrzymał Paweł Moskwa.

19-6-73

W Maison des Métiers d'Art Français w Paryżu odbył się wernisaz tkanin Grażyny Meretik.

20-6-73

Zygmunt Drozdek z Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych i poseł J. Zabłocki przygotowują razem z Centralnym Komitetem Katolików Nie-

mieckich w Bonn książkę w języku niemieckim o Polsce. ■ Deficyt PRL w handlu z NRF wynosi obecnie 523 miliony marek.

1-7-73

Rada Fundacji im. Kościelskich w Genewie przyznała na rok 1973 cztery nagrody literackie po 3.500 Frs., które otrzymali: Tomasz Burek, Warszawa, za krytykę literacką, Ks. Janusz Ihnatowicz za twórczość poetycką, Ewa Lipska, Kraków, za twórczość poetycką i Alicja Lisiecka, Londyn, za książkę o Norwidge. ■ W Galerie Maison Bleue w Honfleur (Francja) została otwarta wystawa Ernesta Kosmowskiego pt. „Poésie et Lumière”. Wystawa trwać będzie trzy miesiące. ■ W Szwajcarii ukazał się tom „Théâtre Complet” Mariana Pankowskiego w tłumaczeniu i wyborze Alain Van Crugtena. ■ W jugosławskim miesięczniku literackim *Delo* ukazał się wiersz Czesława Miłosza „Ars Poetica” w przekładzie znanego tłumacza Petara Vujicicza.

3-7-73

W związku z otwarciem konferencji w Helsinkach w *The Guardian* ukazała się w formie płatnego ogłoszenia deklaracja *Poland*, podpisana przez Ciołko-sza, Sabbata, Zaleskiego, Czerwińskiego, Helczyńskiego, Pragiera, Wilka, Soboniewskiego i Żmigrodzkiego. To samo w *The Times* i w *Dagens Nyheter*. Podpisani pytają „czy nie znajdzie się choć jeden przyjazny rząd demokratyczny, gotów przemówić imieniem Polski”. Nie znajdzie się.

6-7-73

W Londynie, w dn. 1-6 lipca odbył się szereg uroczystości ku czci gen. Wł. Sikorskiego — w 30-tą rocznicę katastrofy Gibraltarskiej.

7-7-73

Weszła w życie konwencja konsularna polsko-amerykańska.

9-7-73

W Holandii, w Vlissingen zmarł kpt. marynarki wojennej, inż. Józef Minkiewicz. Brał on udział w obronie Wybrzeża w 1939 roku na O.R.P. „Sęp”. Po zakończeniu działań wojennych był internowany w Szwecji. Po wojnie zamieszkał w Holandii, gdzie był wybitnym działaczem społecznym, m.in. prezesem SPK w Holandii i członkiem honorowym Towarzystwa „Axel-Polen”. Był również przedstawicielem *Kultury* na Holandii.

15-7-73

W Oslo zmarł, w wieku 71 lat, Odd Nansen, znany architekt, jeszcze bardziej znany — przed wojną — jako działacz na rzecz uchodźców i bezpaństwowców, twórca tzw. nansenowskich paszportów.

18-7-73

W Genewie zmarł, w wieku 66 lat, Marian Piotrowski, korespondent PAT'a w Paryżu przed wojną, ochotnik w wojsku polskim we Francji gdzie został wzięty przez Niemców do niewoli. Po ucieczce przedostał się do Anglii gdzie pracował w Min. Spraw Wewnętrznych w dziale Armii Podziemnej. Potem był wice-dyrektorem Radia Free Europe, które opuścił w 1960 roku na skutek nieporozumień z kierownikiem Sekcji Polskiej. W latach 1967-1972 był profesorem w Texas University wykładając ekonomię, w 1973 roku został mianowany wice-dyrektorem Rencontres Culturelles Internationales w Genewie.

23-7-73

Watykan uznał faktycznie Niemcy Wschodnie mianując administratorów apostołskich w Magdeburgu, Erfurtmeiningen i w Schwerinie. ■ W Niem-

czech Zachodnich krążyć uprzejme pogłoski, że na miejsce dotychczasowego amb. PRL, Wacława Piątkowskiego, ma przyjść Mieczysław Rakowski, redaktor *Polityki*.

5-8-73

Z okazji 50-lecia Związku Harcerstwa Polskiego we Francji odbył się w Ośrodku harcerskim Tatry (Wogezy, Alzacja) zlot Jubileuszowy.

15-8-73

Nagrodę pisarską SPK za rok 1973 przyznano *ex aequo* płk. Kazimierzowi Irankowi-Osmeckiemu za pracę „He Who Saves One Life” i dr. Zdzisławowi Stahlowi za książkę „Najazd od Wschodu”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Prezydent Nixon mianował adwokata Michell Kobylińskiego dyrektorem banku Export-Import w Waszyngtonie. M. Kobyliński jest Prezesem Kongresu Polonii na stan Illinois. ■ Uniwersytet Wayne State przyznał tytuł doktora p. Izydorowi Modelskiemu za pracę pt. „Komisje sejmowe w polskim ustroju politycznym”. I. Modelski był żołnierzem 2-go Korpusu. Obecnie wykłada nauki polityczne na Uniwersytecie Western Michigan w Kalamazoo. ■ Redaktorem naczelnym *Gwiadzy Polarnej* w USA został dr Frank Kmietowicz na miejsce Adama Bartosza, który przeszedł na emeryturę. ■ Zmarł w Chicago Karol Rozmarek, wieloletni prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej. ■ PRL ofiarowała Chicago pomnik Kopernika. Odplynął on do USA na statku „Zawiercie”. ■ Wydawnictwo „Promyk”, Doylestown, Pa. 18901, PO, BOX 833, planuje wydanie książki-albumu „Biografia b. więźniów politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych”. Książka będzie opracowana przez dr. Antoniego Gładysza. Wydawnictwo prosi o nadsyłanie materiałów. ■ Amerykańskie wydawnictwo Greenwood Press, specjalizujące się w przedrukach metodą fotokopii na użytek uniwersytetów, zakontraktowało angielski przekład „Innego Świata” Gustawa Herling-Grudzińskiego. ■ Dr Jerzy J. Maciuszko, rektor Wydziału Studiów Sławistycznych w Alliance College, otrzymał nagrodę Hilbert'a T. Ficken na rok 1973 z Baldwin-Wallace College.

KRONIKA KANADYJSKA

Nowela, wniesiona przez Roberta Andrasa, obecnego ministra Zasobów Ludzkich i Imigracji, w pierwszym rządzie udziela amnestii imigrantom, którzy przybyli do tego kraju nielegalnie w okresie do 30 listopada 1972 roku. Zostają oni zobowiązani do zarejestrowania się w najbliższym Urzędzie Imigracyjnym w ciągu 60 dni od dnia wejścia w życie ustawy. Nikt nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności za nielegalny pobyt i nie będzie to miało żadnego wpływu na jego dalsze losy w Kanadzie. Po rejestracji Urzędy rozpatrzą wszystkie sprawy w terminie przyspieszonym. Jedyne osoby mające kryminalną przeszłość zostaną wydalone. Ci, którym Urzędy Imigracyjne odmówią prawa pobytu będą mieli — jak dotychczas — prawo odwołania się do Imigracyjnego Trybunału Apelacyjnego. Po upływie 60-dniowego terminu nielegalni imigranci będą jednak bezwzględnie deportowani. Minister Andras zaznaczył, że przewiduje się oczywiście pewne wyjątki. Nie wiadomo ilu jest tzw. nielegalnych imigrantów — tj. osób, które przybyły bądź w odwiedzin, bądź bez wiz, i pozostali w Kanadzie. Nie wyklucza się, że liczba ich przekracza 50 tysięcy, zakłada się jednak iż co najmniej poło-

wa znajduje się w prowincji Ontario i w większości w granicach wielkiego Toronto. Imigracyjny Trybunał Apelacyjny ma około 17.500 zaległych spraw. Postanowiono powiększyć jego skład z 9 osób do 16, z tym iż 7 nowych członków mianowanych zostanie na okres nie dłuższy niż 2 lata. Znowelizowana ustawa przewiduje równocześnie, że w wielu wypadkach sprawy odwoławcze będą mogły być rozpatrywane przez Imigracyjny Trybunał Apelacyjny jednoosobowo, a nie jak dotychczas w składzie trzech sędziów. Rząd zakłada, że w ten sposób zlikwiduje się nienaturalną sytuację, w której rozstrzygnięcie apelacji od nakazu deportacyjnego trwa do 4-ch lat. Jednocześnie urzędnicy imigracyjni będą mieli prawo odmówić wjazdu osobom, posiadającym wizy turystyczne, co do których istnieją poważne podejrzenia, iż pragną pozostać w Kanadzie. Osoby te będą mogły odwołać się jedynie do wyższego urzędnika w miejscu wjazdu i jego decyzja będzie ostateczna. Praktycznie oznacza to, że osoby te będą zatrzymane i natychmiast deportowane. Wydaje się, że większość owych nielegalnych imigrantów rekrutuje się z krajów rejonu Morza Karaibskiego, z państw azjatyckich i z pewnej ilości Amerykanów. Nowe przepisy nie naruszają zasady „punktów” kwalifikujących do uzyskania prawa stałego pobytu, ale wydaje się, że będą one stosowane bardzo liberalnie w odniesieniu zarówno do tych, których sprawy znajdują się w Trybunale Apelacyjnym, jak i do tych, którzy zarejestrują się w przewidzianym nowelą terminie, natomiast wobec nowych przybyszów nastąpi zaostrożenie kursu. Oczekuje się jednak, że przygotowywany i kilkakrotnie już zapowiadany, projekt nowej Ustawy Imigracyjnej zostanie wniesiony na następną sesję Izby Gmin. W odniesieniu do osób przybywających w odwiedziny z Polski i pragnących następnie pozostać, nowela nie wprowadza właściwie żadnych zmian. Teoretycznie istnieją nawet pewne utrudnienia, ale wobec wyraźnego zaznaczenia, że przewiduje się możliwość odwołania dla różnych kategorii turystów z zaznaczeniem, że wobec specjalistów restrykcje nie będą stosowane, uzyskanie statusu imigracyjnego może być nawet dla szeregu turystów ułatwione. Izba Gmin po uchwaleniu wyżej podanych zmian w ustawie imigracyjnej uchwaliła rządowy projekt ustawy, na mocy którego osoby które przybyły do Kanady z wizą turystyczną do dn. 8 listopada 1972 nie mogą się ubiegać o status imigranta. Nie przysługuje im prawo odwołania się do Apelacyjnego Trybunału Imigracyjnego. Ustawa ta ma wsteczną moc działania. ■ Delegacja Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej udała się w maju br. do Ottawy, gdzie złożyła memoriały w Prezydium Rady Ministrów, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych oraz w Ministerstwie Zasobów Ludzkich i Imigracji. Delegacja miała możliwość przeprowadzenia rozmów z premierem Trudeau i kilkoma członkami jego gabinetu. Minister stanu do spraw wielokulturowości, dr. S. Hajdasz, podejmował delegację lunchem. ■ Walny zjazd delegatów SPK odbył się w maju br. w Ottawie. Na uroczystym otwarciu obecny był m.in. gubernator generalny, Roland Michener. Z Londynu przybyli: gen. Kopański i prezes Soboniewski. Pierwszy był honorowym gościem na otwarciu wystawy polskich pamiątek wojskowych w Państwowym Muzeum Wojskowym. Prezesem SPK w Kanadzie został wybrany p. Jan Kot. Na zjeździe tym zakończyła się walka z największym i najsilniejszym Kołem Nr 20 w Toronto, które było w zdecydowanej opozycji wobec dotychczasowego prezesa Teodora Barankiewicza i jego polityki. Dzięki — jak twierdzą — interwencji Londynu doprowadzono do kompromisu. ■ W skład 100-osobowej Komisji Doradczej do Spraw Wielokulturowości weszli z grupy polskiej następujący nowomianowani członkowie: w prowincji Ontario — Ted Glista, prezes Związku Polaków w Kanadzie, adw. Edward Orzeł z Hamiltonu, Hania Fedorowicz, studentka uniwersytetu w Toronto, b. redaktorka pisma młodzieżowego *Echo*, współzałożycielka teatru studenckiego „Arabeska”. Wszyscy troje są urodzeni i wychowani w Kanadzie. Prezes Glista został jednocześnie mia-

nowany przewodniczącym regionalnej Komisji, a więc ontaryjskiej. Z prowincji Quebec wszedł p. Kazimierz Stańczykowski, dyrektor i właściciel wielojęzycznej stacji radiowej, który ostatnio uruchomił pierwszy w Kanadzie program telewizyjny w języku polskim. Dyr. Stańczykowski został również odznaczony Order of Canada. Z Manitoby wszedł do Rady Doradczej adw. Józef Marek, prezes Okręgu KPK, a z Alberty dr Henryk Wójcicki, lekarz-psychiatra. Z polskiej grupy etnicznej weszło zatem do Komisji 6 osób, z tego poza Kanadą urodzili się tylko pp. Stańczykowski i Wójcicki. ■ Teatr studencki „Arabeska” otrzymał ponownie dotację federalną i rozszerzył swoją działalność. Po uzupełnieniu swojego repertuaru (w języku angielskim) drugą sztuką Mrożka „Męczeństwo Piotra Oheja” — zgłosił gotowość występów w każdym środowisku polonijnym w Ontario. Organizacje mają jedynie przygotować odpowiednie sale. ■ Również zespół pisma *Echo* otrzymał znaczną dotację rządową dla przeprowadzenia pewnych badań terenowych. ■ Fundacja im. Reymonta otrzymała powtórnie dotację dla dofinansowania wyjazdu kilkudziesięciu studentów na kursy języka i kultury polskiej w okresie letnim na kilku uczelniach w Polsce, w tym na KUL-u w Lublinie. ■ Biblioteka Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, Oddział w Kanadzie, znajdująca się w Montrealu, pod kierownictwem p. Wandy Stachiewiczowej, otrzymała dotację na oprawę książek, a kilka organizacji polonijnych otrzymało niewysokie dotacje na oznaczone cele. Najwyższą sumę — 10.000 dolarów — przyznano Polsko-Kanadyjskiemu Instytutowi Badawczemu w Toronto. Instytut ten, założony przed 17 laty, zajmuje się problematyką polonijną. Opublikował kilkanaście rozpraw, w tym dwie obszerne prace dr. Wiktora Turka na temat osadnictwa polskiego w Manitobie, prasy w języku polskim oraz obszerną i pierwszą bibliografię „Polonica-Canadiana” itp. We wrześniu br. przypada 10-ta rocznica śmierci założyciela dr. Turka. Następnym dyrektorem był przez 7 lat p. Tadeusz Krychowski, a po jego ustąpieniu został nim Rudolf Kogler, statystyk-demograf. Najbliższą publikacją Instytutu będzie „Tworzywo” Wańkowieza w języku angielskim, przekład Krystyny Cękałskiej. Książka ukaze się w br. ■ Dr Danuta Bienkowska, profesor języka i literatury polskiej na uniwersytecie Toronto, otrzymała dotację w wysokości Dol. 6.500 na przygotowanie antologii literatury polskiej do użytku szkół średnich, w których programie znajduje się język polski. ■ Sekcja Filatelistyczna „Kresowiak”, wchodząca w skład Związku Ziemi Wschodnich R.P. — Koło British Columbia w Vancouverze — wydała w związku z 500-letnią rocznicą urodzin Mikołaja Kopernika kopertę pamiątkową projektu Aleksandra Krymna prezesa Sekcji i Koła British Columbia. Koperty były stemplowane dwójako: 19. 2. 73 w Kanadzie (dzień urodzin Kopernika i 23. 4. 73 w USA (w dniu wydania znaczka pocztowego z Kopernikiem w USA). ■ Rada Oświatowa Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie opracowała i wydała podręcznik pt. „Pierwsza czytanka” dla dzieci które opanowały elementarz. Czytanka na klasy II-gą i III-cią — wydanie 3-cie poprawione, zawiera 72 ilustracje w tym 42 kolorowe. Książka wyszła z druku 25. 8. 73 i kosztuje dol. 1.25. Nabywać ją można w: Education Committee P.N.U. of Canada, 905 Queen St. West, Toronto 3, Ontario, Canada M6J 1G5. ■ 10 czerwca br. ks. prob. Józef Capięga, proboszcz parafii Św. Stanisława w Hamiltonie, Ont., członek Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej, przewodniczący Konferencji Polskich Księży na Wschodnią Kanadę — obchodził 40-lecie kapłaństwa. ■ W tymże dniu 10 czerwca br. obchodzili jubileusz 40-lecia kapłaństwa ogólnie znany i ceniony w Toronto ks. prob. parafii Św. Kazimierza, Feliks Kwiatkowski oraz ks. Wnuk, proboszcz parafii Św. Trójcy w Windson. ■ Polski Instytut Naukowy w Kanadzie ufundował ze składek w 1971 roku przy technicznej pomocy Uniwersytetu McGill, stypendium naukowe w wysokości dol. 1.600,00 dla młodego naukowca pracującego w

dziedzinie historii Polski. Stypendium ufundowano dla uczczenia pamięci gen. Kazimierza Sosnkowskiego, zmarłego w 1969 r. Specjalna Komisja Stypendialna jednogłośnie przyznała w br. stypendium Michałowi Żurowskiemu, który w 1969 uzyskał dyplom B.A., zaś w 1971 — na uniwersytecie Windsor — magisterium z nauk politycznych na podstawie rozprawy pt. „Polish-German non-Agression Pact of 1934”. M. Żurowski pracuje obecnie nad tezą doktorską w London School of Economics and Political Science na temat „The Polish-Soviet Border Question in Anglo-Polish Relations 1939-1945.”

■ W kościele Sw. Kazimierza w Toronto odbyła się w maju uroczystość odsłonięcia pomnika bł. o. Maksymiliana Kolberga. Pomnik wykonał Edward Koniuszy. ■ Kanada wycofała się całkowicie z Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie. Amb. Michael Gauvin oświadczył po powrocie do Ottawy, że z powodu stanowiska Polski i Węgier Komisja nie była zdolna do żadnej efektywnej pracy. Jego zdaniem miejsce Kanady nie zostanie obsadzone, a Komisja zostanie niebawem formalnie zlikwidowana.

■ Sekretarzem Generalnym Kongresu Polonii Kanadyjskiej został jednogłośnie wybrany inż. Zbigniew Szpikowski. ■ W Winnipeg zmarł 30-go czerwca br., w wieku lat 70, bp Wasyl Wieliczkowski, wieloletni więzień sowiecki, zwolniony zaledwie przed kilkunastoma miesiącami. Spędził on 10 lat w kopalniach na Workucie, 3 lata w więzieniach w Donbasie.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Robotnicy Szczecina wystąpili z żądaniem zbudowania nowego kościoła i przeniesienia festiwalu piosenki z Opola do Szczecina. KC wyraziło zgodę na budowę kościoła i na festiwal — nie wiadomo jednak, czy będzie to impreza równoległa do Opola czy po prostu festiwal opolski zostanie istotnie przeniesiony do Szczecina. ■ W ciągu ostatnich tygodni flota bałtycka ZSSR na Bałtyku została wzmocniona o 2 niszczyciele rakietowe, 5 niszczycieli okrętów podwodnych, osiem pościgowców rakietowych, 13 łodzi podwodnych i 22 statki desantowe. Szczególny niepokój budzi wymiana starszych jednostek na nowoczesne korwety typu „Nanuszka” z 4 rampami startowymi. Podstawę sowieckiej floty bałtyckiej stanowi 12 niszczycieli rakietowych, 75 łodzi podwodnych i 4 krążowniki. Do tego dochodzi flota polska i NRD-owska. ■ Na konferencji szefów kinematografii krajów socjalistycznych w marcu br. w Moskwie, wiceminister kultury Wiśniewski storpedował wniosek delegata NRD o wspólny zakup filmów zachodnich dla wszystkich krajów demokracji. Przedstawiciel NRD oskarżył Wiśniewskiego o zorganizowanie „imperialistycznej dekady filmów amerykańskich”, nie uzyskał jednak poparcia delegata moskiewskiego. ■ Wiesław Bek usunięty został ze stanowiska w KC, mianowany szefem wydawnictwa Książka i Wiedza, a następnie wicedyrektorem połączonego przedsiębiorstwa Prasa-KiW-Ruch, gdyż odważył się protestować przeciw obchodzeniu go w dezyjach i puścić w telewizji reportaż krytyczny o Lipcach Reymontowskich. ■ Ze sztabu jugosłowiańskiego usunięto trzech generałów i kilku wyższych oficerów, którzy dążyli do zaostrzenia kursu wobec Zachodu i zbliżenia z Moskwą. W kilka dni po burzliwym zebraniu partyjnym, na którym w końcu czerwca usunięty został doradca Tity do spraw bezpieczeństwa, gen. Ivan Miskovic, zdjęci zostali ze stanowisk: wiceminister Obrony generał Ivan Dolnicar oraz generalny Inspektor Armii, gen. Dusan Korac. Grupa ta — kierowana przez Miskovica — głosiła hasło zaostrzenia walki z imperializmem, dowodząc, iż zachodnie wywiady szykują zamach stanu w Jugosławii; ponadto wykorzystując napiętą sytuację wewnętrzną kraju, chciała rozszerzyć zakres kompetencji aparatu wywiadu wojskowego, czemu przeciwstawiły się instancje partyjne (cywilne) pod przewodnictwem sekretarza

partii Stane Dolanc'a, który zaczął rozpuszczać wieści, iż usunięci generałowie fałszywie informują Tity i — podobnie jak kiedyś Rankovic — próbują zagarnąć władzę w Jugosławii. Po ostrej rozgrywce wewnętrznej, w której sam Tito nie zajął żadnego stanowiska, grupa Miskovica poniosła klęskę.

■ Według informacji z Warszawy, Breżniew miał wysłać ostatnio swoich pełnomocników do Pragi, którzy podjęli rozmowy z byłymi reformatorami z okresu Praskiej Wiosny, omawiając z nimi sprawę rehabilitacji i ponownego włączenia do życia partyjnego i państwowego. Nie rozmawiano tylko z Dubczkiem. ■ W Moskwie zakończono opracowanie studium — prowadzonego od ponad roku przez grupę specjalnie wyselekcjonowanych wojskowych i techników na zlecenie Breżniewa — na temat „uderzenia atomowego” przeciw Chinom. Ze studium tego ma wynikać, że ZSSR czuje się coraz bardziej zagrożony zbrojeniami Chin: Pekin dysponuje obecnie rakietami atomowymi, których zasięg obejmuje całe terytorium ZSSR i — zdaniem ekspertów moskiewskich — w ciągu trzech lat będzie w stanie zadąć „śmiertelny cios” Związkowi Sowieckiemu. Z tego powodu autorzy studium opowiadają się za „uderzeniem prewencyjnym”. ■ Dn. 17 sierpnia 1973 Władysław Żeleński, bratanek Tadeusza Boya-Żeleńskiego, do wojny wiceprokurator Sądu Apelacyjnego w Warszawie, wystosował z Paryża list do prokuratorów Niemieckiej Republiki Federalnej w Hamburgu i w Dortmundzie z zapytaniem o postępy i stan dochodzenia przeciw sprawcom egzekucji Boya-Żeleńskiego i 21 innych profesorów lwowskich oraz ich rodzin i domowników, rozstrzelanych przez organy III Rzeszy w dn. 4 lipca 1941 we Lwowie. Powołując się na zeznania, złożone w charakterze świadka przez dr Karłę Lanckorońską przed sądem niemieckim w Münster/Westf. w dniu 28 kwietnia 1967 roku w czasie procesu przeciw Hansowi Krügerowi, oskarżonemu o wymordowanie w czasie wojny 120.000 Żydów w Stanisławowie (i skazanemu za tę zbrodnię na dożywotnie więzienie), Wł. Żeleński zapytuje, jakie czynności przedsięwzięto w sprawie lwowskiej przeciw temuż Krügerowi, który w roku 1942 oświadczył był dr Lanckorońskiej, aresztowanej w Stanisławowie przez gestapo, że „zamordowanie profesorów lwowskich — to jego dzieło”, oraz przeciw Walterowi Kutschmannowi, komisarzowi gestapo, który przyznał dr Lanckorońskiej w czasie przesłuchania, że „był przy wspomnianej egzekucji obecny”.

Listy do Redakcji

Washington, D.C., 21 lipca 1973.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Kilka godzin temu otrzymałem wiadomość o nagłej śmierci w Genewie mego długoletniego przyjaciela prof. dr. Mariana Piotrowskiego. Odszedł znowu jeden z rzetelnych i światłych Polaków. Stanowczo i wiernie, z narażeniem własnych doraźnych korzyści — długofalowo jednak złudnych — przeciwdziałał wszelkim formom demagogii, dyktatury czy ciemnogrodztwa.

Dwadzieścia lat przyjaźni, część z nich spędzonych razem w redakcji Radia Wolna Europa kiedy Marian Piotrowski kierował Dziennikiem Radiowym, a następnie — krótko — był zastępcą dyrektora sekcji polskiej RWE utwierdza mnie w przekonaniu, że każdy grosz na rzecz *Kultury* i pracy ludzi grupujących się wokół tego wydawnictwa jest najlepszym przyczynkiem do zachowania w pamięci i w czynach politycznej cywilizacji, o którą dbał śp. Marian Piotrowski.

Proszę więc przyjąć na Fundusz *Kultury* załączony czek. Mam nadzieję, że wielu bliskich Zmarłego uzna moją intencję za godną pamięci o zmarłym Przyjacielu.

Łączę wyrazy uszanowania i pozdrowienia,

W. H. BNIŃSKI

Montreal, 15 czerwca 1973.

Panie Redaktorze,

W numerze kwietniowym redagowanej przez Pana *Kultury* ukazał się paszkwil S. L. Lewickiego zatytułowany „Jaś i Małgosia”, nie przyjęty poprzednio do druku przez londyńskie *Wiadomości*.

Fikcyjne opowiadki wolno każdemu drukować, nawet jeżeli nie mają wartości literackich i są w niewybrednym stylu. Zaszkodzić mogą jedynie reputacji pisma, które je zamieszcza. Inaczej wygląda sprawa jeżeli autor „opowiadania” operuje nazwiskami konkretnych osób i próbuje je obrzucać błotem przy pomocy zmyślonych „faktów”.

Chodzi mi o osobę Adama Niebieszczańskiego, którego znam i z którym

się przyjaźnię od około 45 lat. Chodziliśmy do tego samego gimnazjum im. św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Potem Wydział Prawno-Ekonomiczny Uniwersytetu Poznańskiego. Po studiach Adam wyjechał do Katowic gdzie po złożeniu egzaminów praktykował jako adwokat. W czasie wojny spotkaliśmy się znowu w Brygadzie Spadochronowej, ja już podporucznik artylerii, a Adam skromny starszy strzelec łączności. W 1950 roku znów spotkaliśmy się już na Kontynencie Amerykańskim, on rezydent przedmieścia, bardzo skromnego, New Yorku, ja montrealczyk. Od tego czasu spotykamy się często i jesteśmy w bliskim kontakcie. Przytaczam te fakty, żeby uzasadnić dlaczego ten list piszę, z przykrością, i stwierdzić, że znam życie Adama Niebieszczańskiego dostatecznie dobrze, żeby móc autorytatywnie oszczerstwa S. L. Lewickiego sprostować. Chcę jeszcze zaznaczyć, że Niebieszczański nie wie o tym, że mam zamiar list do Pana napisać. Nie wspomniałbym mu o tym, bo by wyperswadował, żeby tego nie robić. Jednak nie chodzi tu tylko o Adama Niebieszczańskiego. Chodzi mi o to, żeby osoby w Pańskiej pozycji, Panie Redaktorze, zastanowiły się trochę głębiej nad tym co do druku puszczają, by zapobiec rzucaniu kalumnii na niewinnych ludzi, którym trudno się bronić. Gdybyśmy byli w swoim kraju, praworządnie rządzonym, możliwości poskromienia zniesławiających osobników byłyby proste.

Przechodzę teraz do sedna sprawy, sprostowania fałszów S. L. Lewickiego:

Adam Nienieszczański „tłuściutki, okrągłutki, elegancki itd.”. Adam był i jest atleta. W Poznaniu był mistrzem gimnazjalnym w rzucie kulą, świetnym pływakiem, tenisistą, narciarzem. Poza lekko-atletyką wszystkie te sporty nadal uprawia i niejednego dwudziestolatka mimo przekroczonej sześćdziesiątki prześcignie. Nigdy tłuściutki nie był, ale za to muskularny. Elegancki — też niebardzo. Żona mu zawsze wymawia, że powinien się lepiej ubierać i nie nosić tego samego płaszcza 15 lat. Futra w Ameryce na pewno nigdy nie miał. Co to więc za tendencja Lewickiego, żeby rysować sylwetkę burżuazji z karykatury sowieckiej.

„Adam ożenił się bogato (jakżeby inaczej?) z Amerykanką, porusza się limuzyną, mieszka na Long Island koło Rockefellera, jest multiprezesem, ma kontakty. Właśnie organizuje się Radio 'Rozwolnionej Europy'. Najważniejszy tubylec w tej imprezie — kuzyn jego małżonki”. Ani słowa w tym wszystkim prawdy. Joyce Niebieszczańska, żona Adama, pochodzi z pięknego angielskiego miasta York, gdzie mieszka cała jej rodzina. W Stanach Zjednoczonych żadnych krewnych nie ma i nie miała. Nie jestem upoważniony do przedstawiania stanu finansowego Joyce. Mogę Pana Redaktora zapewnić, że nie jest i nie była bogata.

To mieszkanie „koło Rockefellera” było więcej niż skromne, o dwa bloki od wielkiej gazonni. Było bardzo wonne. Dobrze sobie to przypominam, bo nieraz tam na kanapce w mieszkalnym pokoju nocowałem. A z tą limuzyną to było tak. Wszyscy wydziwiali się jak można żyć w Stanach bez samochodu, jak Niebieszczańscy. W końcu, w roku 1956 Adam kupił sobie używanego Chevroleta za kilkuset dolarów. Po dwudziestu kilku latach w Stanach jakoś nie dorobił się jeszcze limuzyny, ani też futra.

Robi się więc potwora z niewinnego człowieka, obrzuca stekiem kłamstw i insynuacji, by zbabrać go w opinii publicznej. Dziwny to musi być człowiek, który zawisać w sobie nosi przez dwadzieścia lat za to, że ktoś mu nie dał posady w Free Europe, na co Adam Niebieszczański mógł mieć minimalny wpływ. Pan, Panie Redaktorze, na pewno dobrze się orientuje w tym gdzie był i jest ośrodek dyspozycyjny, jeżeli chodzi o personalia Free Europe. Dobrze Panu wiadomo jak można by było przytoczone przez Lewickiego „fakty” sprawdzić. Byłaby to kwestia jednego listu.

Niestety zamieszczając opowiadanie Lewickiego, a właściwie bajkę, ustawił Pan swoje pismo w jednym szeregu z osławionym londyńskim *News of the World*. Wyrządził Pan krzywdę nie tylko Niebieszczańskiemu, który to

przeboleje, ale największą krzywdę wyrządził Pan dobremu imieniu dziennikarza polskiego. Myślę, że postara się Pan to naprawić.

Z poważaniem,

Zygmunt CELICHOWSKI

Am Brunnen, 20 lipca 1973.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pani Alicja Zawadzka-Wetz w swoim artykule „Spełnione marzenia?” przypomina mi całą plejadę zachodnio-niemieckich dziennikarzy, którzy po jednej podróży po PRL pasują się zaraz na Polonologów, produkując — czasem na koszt INTERPRESSU — nawet obszerne książki o wojażu po krainie Gierka. Po oglądnięciu jednej audycji telewizyjnej autora — który zna problematykę autochtonów tak, jak ja znam Afrykę, Pani Zawadzka-Wetz włącza się w chór publicystyki peerelowskiej: że autochtonom w NRF dzieje się krzywda, że są rdzennymi Polakami, po co więc tych biedaków wypuszczać, itd., itd....

Ze NRF robi wszystko, by tę grupę społeczną integrować, to tylko częściowa prawda. Prawdą jest, iż są tutaj też wyjątki, według niepisanego prawa: im wyższe jest wykształcenie i wyspecjalizowanie, tym trudniejsza jest integracja. Najbardziej cierpią pod tym względem naukowcy, artyści, no i nauczyciele wszelkiego kalibru. Ale, że tutaj każdego przybyśza z PRL obdarzają epitetem „Polska świnia” — to wręcz gruba przesada. Ja mieszkam w NRF od 14 lat i w domu mówimy jak akurat popadnie, to raz po niemiecku, to znów po polsku, miewamy wielu gości mówiących po polsku, chodzimy na zakupy i mówimy w sklepach także po polsku, mieszkamy w otoczeniu wszystkich warstw społecznych z wyjątkiem szumowiny, i ani razu nikt z nas nie spotkał się z obelgą „Polska świnia”. Ale nawet gdyby istniały sporadyczne wypadki, to jeszcze nie dowód, iż w NRF powszechnie uważa się autochtonów za Polaków, jeszcze w dodatku pochodzenia zwierzęcego. W Polsce były też antagonizmy prowincjonalne przeciwko „Pyrom poznańskim”, a „Szwabem” i w najgorszym wypadku „Hanysem”, nie był tylko ten, który nim naprawdę był. Zresztą: skarżył mi się niedawno niemiecki Polus i wychowanek pewnego polskiego internatu na Zachodzie, iż każdy wychowanek tegoż internatu, który przyjechał z NRF, automatycznie był „Nazi” — co prawda tylko dla współwychowanków, ale był i, to do końca.

Oczywiście, marzenia przybyśzów z Polski — nieraz wygórowane — nie zawsze zostały spełnione. Nikt na świecie nie czeka na obcych, nawet nie na własnych z otwartymi rękami. „Cud gospodarczy” zmienił Niemców i to zarówno negatywnie jak i pozytywnie. Przybyśze z PRL mają inną mentalność. Ale znów tak tragicznie, jak to opisuje Pani Zawadzka-Wetz nie jest: jeżeli 90 % Polaków służących w US-Army albo w Rhine-Army w NRF ożeniło się z Niemkami, jeżeli większość działaczy polonijnych w NRF także ma Niemki za żony, jeżeli według statystyki PRL wśród amatorów na polską żonę dominują NRF-owcy, a skoro przybyśze z PRL żwawo zawierają śluby z tutejszą młodzieżą, to chyba tak źle być nie może!

I jeszcze jedna dygresja: to nie dzięki *Ostpolitik* laureata Nagrody Pokoju ludzie wyjeżdżają, bo zanim został kanclerzem, o wiele więcej aniżeli dziś wyjechało. (W roku 1959 — i to za śp. Adenauera — było ich 100.000, w roku 1971 — 34.000, rok później tylko 24.000). Dziś już nikt nie wyjeżdża, nie licząc wyjątków — a podać jest jeszcze ponad 200.000. Pan — nie tylko na Górnym Śląsku — Gierek na razie nie jest zainteresowany

wyjazdami. A tutejsze koła tzw. autochtoniczne podejrzewają, iż rząd NRF także nie. Tym bardziej, że zarówno autochtoni jak i biedacy w PRL, a także ci już w NRF, nie bardzo gustują w obecnej *Ostpolitik*, gdzie wymagany jest *keep smiling* do wszystkiego co pachnie Kremlem. Jakoś nie mogą znieść popularnego obecnie nad Renem wazeliniarstwa w kierunku Wschodu. Ponieważ większość przybyśzów to katolicy nie typu Casaroliego, lub protestanci nie lewicujący, dlatego nie bardzo lubią socjalizm, obojętnie jakiej maści. Jednym słowem są potencjałem wyborczym Chadeków, choć już nie Barzla.

Łączę wyrazy szacunku,

Mgr Joachim G. GÖRLICH

28 czerwca 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem garść uwag Józefa Mackiewicza pt. „Literatura contra fakty” poświęconych mojemu fragmentowi prozy w numerze majowym *Kultury*. No cóż, ich autor ma tę wyższość nade mną, że w Katyniu był, ja zaś nie. Ja swój wątek katyński w powieści „Zasypie wszystko, zawieje” oparłem jedynie na relacji kobiety, która tak, jak moi bohaterowie, wystarała się od władz niemieckich o przepustkę i pojechała tam w nadziei przywiezienia ciała męża do rodzinnego grobu. Józef Mackiewicz ma także i tę wyższość nade mną, że swoją książkę pisał na Zachodzie, korzystając z pełnej swobody pisarskiej i własną wiedzę o przedmiocie mógł w każdej chwili uzupełniać dostępnymi łatwo dokumentami, ja zaś powieść swoją pisałem w Kraju, gdzie samo słowo Katyń jest tabu i gdzie dokumenty o popełnionej w tamtej miejscowości zbrodni nie są nawet dostępne w bibliotece głównej Związku Literatów Polskich, która ze względu na swój specyficznie zawodowy, elitarny i zamknięty ścisłe charakter dysponuje poza tym prawie kompletem wydawnictw emigracyjnych. I tak z pierwszym dokumentem na temat Katynia zetknąłem się dopiero w rok po napisaniu swej powieści, w czasie swego pobytu w Paryżu, kiedy kupiłem książkę „Zbrodnia katyńska” z przedmową gen. Andersa i śpiesznie przeczytałem ją w hotelu. Dopiero wtedy po powrocie do kraju mogłem zweryfikować odpowiednie fragmenty swej prozy. Ale Józef Mackiewicz może oczywiście nie zdawać sobie sprawy z tego, w jakich warunkach pracuje się w Kraju, wkraczając piórem w tak zwaną „strefę milczenia”.

Z większością uwag Józefa Mackiewicza się zgadzam. Część błędów popełnionych w wątku katyńskim usunąłem już wcześniej z manuskryptu powieści, który ma być skierowany do drukarni, nie znając jeszcze wypowiedzi „Literatura contra fakty” Józefa Mackiewicza. I tak usunąłem w ogóle nieszczęśny numer, który — gdybym kiedyś dysponował chociażby listą katyńską — mógłby być numerem niezidentyfikowanych zwłok i sprawa byłaby bezdyskusyjna. W ostatecznej wersji jednak swojej powieści usunąłem szczegół ten za zupełnie zbyteczny. Zmieniłem także różne szczegóły topograficzne, pozwalając sobie jednak na swobodę na jaką zezwala forma powieściowa. Poszedłem nawet w swych poprawkach dalej, niż życzyłby tego sobie Józef Mackiewicz, bo usunąłem całą historię z otrzymaniem przez mego bohatera papierosnicy po bracie, znalezionej przy zwłokach. Zresztą nie dlatego, że Niemcy w zasadzie nie wydawali rodzinom niczego ze znalezionych przedmiotów — gdyż w powieści wszystko jest możliwe — ale dlatego, że uznałem ją za tanią. Pragnę także uspokoić Józefa Mackiewicza, jak i ewentualnych przyszłych czytelników mojej powieści, że jej czas nie jest ściśle określony. Zaczyna się ona mniej więcej gdzieś pod koniec pierwszej

połowy 1943 roku, a kończy w styczniu, lutym 1944 roku. Tak więc podróż do Katynia w początku tego czasookresu się mieści. W wersji ostatecznej powieści zresztą lato sugerować mogą jedynie panujące upały, a upały zdają się przecież nie tylko w lipcu, czy wcześniej w czerwcu, ale nawet i w końcu maja. Być może jednak sprawie tej przyjrzyć się jeszcze raz uważniej dokonując korekty wydawniczej. Jeden błąd, którego dotychczas sam nie spostrzegłem — rzeczywiście duży lapsus — to owe dwa lata u mnie, których winny być trzy. Za jego odkrycie jestem Józefowi Mackiewiczowi bardzo wdzięczny.

I na tym właściwie można by skończyć, gdyby nie to, że w uwagach Józefa Mackiewicza — z którymi, jak zaznaczyłem na wstępie, prawie w całości się zgadzam — zaskoczyło mnie parę rzeczy. Mianowicie: a) Nie wiem dlaczego Józef Mackiewicz przy okazji słusznego wytykania mi błędów rzeczowych załatwia swoje porachunki z krytykami i czytelnikami w sprawach zupełnie mi obcych i o których nie mam pojęcia, jako przebywający za granicą od przeciwieństwa niedawna; b) Wydaje mi się, że wyraźnie sugeruje, iż splagiowałem jakiś fragment z jego książki o Katyniu. Ja osobiście nie widzę zbieżności swego tekstu z tym tekstem, który cytuję Józef Mackiewicz poza zbieżnością (i to odległą) wynikłą z sytuacji. Każdy gdzieś przybywający do ludzi w określonym celu, podchodzący do nich, zaczyna zazwyczaj rozmowę, o coś pyta, prosi, lub coś oświadcza itd. Nie wydaje mi się, żeby Józef Mackiewicz posiadał patent na tego rodzaju opis naturalnego postępowania ludzkiego. Poza „Kontrą” nic nie czytałem Mackiewicza, a że pisał o Katyniu i że tam nawet osobiście jeździł, dowiedziałem się dopiero przed paroma miesiącami, choć mnie samego to nawet trochę dziwi, gdyż byłem zaprzyjaźniony z jego bratem Catem i dalej w przyjaźni pozostając z innymi bliskimi mu ludźmi w kraju; c) Nie podoba mi się porównanie mnie do „rewelatora, który miesza łyżką sensacji” itd. Jest to argument „tamtej strony” i spotykałem się z nim niejednokrotnie ze strony swych politycznych lektorów i cenzorów. Jest to argument — najtańszej mówiąc — wyraźnie nie *fair*. Mnie nie przychodzi na przykład do głowy pomawiać Józefa Mackiewicza w odpowiedzi, że gwoli szukania sensacji dał się Niemcom do Katynia zawieźć. Być może na emigracji, skoro jest książka o Katyniu Józefa Mackiewicza, nie ma potrzeby mnożenia publikacji o tej sprawie, ja jednak pisałem swoją powieść (w której Katyn jest drobnym tylko fragmentem) w Kraju, licząc na to, że w końcu władze zmienią w tej sprawie swe dotychczasowe stanowisko i że właśnie w Kraju będę mógł ją opublikować, a więc tam, gdzie potrzeba takiej książki ciągle istnieje; d) Zagadnienie formy — razi mnie niezyczliwość wypowiedzi Józefa Mackiewicza, jej ton, jak gdyby pretensja, że ktoś, kto tam nie był (a więc nie oczywiście nie wie) do czegoś takiego się zabrał. Może zresztą w tym ostatnim punkcie się mylę, może jestem zbyt przeczulony, ale w Kraju też o to do mnie miano pretensje i dlatego książkę drukować jestem zmuszony na Zachodzie.

Będę bardzo Panu Redaktorowi zobowiązany za opublikowanie tego listu.

Łączę wyrazy poważania,

Włodzimierz ODOJEWSKI

23 lipca 1973.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Udało mi się przeczytać świeżo wydaną w Warszawie książkę R. Torzeckiego „Kwestia Ukrainka w polityce III Rzeszy”.

Ogólnie, pod względem politycznym, omówił książkę p. Knysz w *Ukrainskim Słowie* w Nr. 1638 (Paryż).

Proszę uprzejmie o umieszczenie w *Kulturze* kilku słów sprostowania, dotyczących mojej osoby.

Str. 332: — Autor pisze: „Ofensywa radziecka miała na celu wyzwolenie Zachodniej Ukrainy” — twierdzenie oparte na konieczności, gdyż chodziło o ujarzmienie Zachodniej Ukrainy.

Str. 340: — „naraził się Niemcom opuszczeniem 'Rolanda'...” — „rzeczywiście wymagał od Niemców” — nie tylko że nie należałem do żądanych „Rolandów” lecz dopiero w Berlinie, dokąd zostałem wezwany przez Prezydenta A. Lewickiego (za pośrednictwem dra F. Arlta) celem objęcia Prezesury Ukraińskiego Komitetu Narodowego, dowiedziałem się o istnieniu tych dobrowolnych formacji „Nachtigal” i „Roland”. Miały one przejść pod moją komendę, jak wszystkie formacje ukraińskie znajdujące się w wojsku niemieckim, celem zapoczątkowania formowania 3. Dyw. Ukraińskiej, lecz zostały rozformowane przez Niemców.

Z głębokim szacunkiem,

P. SZANDRUK

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Leszek Moczulski, Warszawa. — Listu do redakcji z 30 lipca br. nie zamieścimy. Tego rodzaju polemika nie jest u nas przyjęta. Co innego jest krytyka — nawet najbardziej ostra — a co innego nieudokumentowane oszczerstwa.

GRAŻYNA NOWAK NADAL WZBUDZA NAMIEŃNOŚCI

Grażyna Nowak nadal wzbudza namieñnoñci.

— Dr J. Szygowski, Chicago, nie przyjął do wiadomości wyjañeñ Redakcji na nadesłany list, podtrzymuje swoje zarzuty i koñczy nowy list: „proszę przyjąć wyrazy poważania z mrugnięciem oka”.

— P. Stefan Borowski z Liège (Belgia) solidaryzuje się z zarzutami, wysuwany mi w stosunku do G. Nowak, stawiając jej artykuł na równi z artykułem K. Brodzińskiego (nie BRZEZIŃSKIEGO — przyp. Red.) „autora słynnego cyklu opowiadañ” ex cathedra humorystycznych „Lenin za gumę do żucia” i na znak protestu wymawia prenumeratę. (Przypominamy, że Konrad Brodziński opisując w *Kulturze* swoje wrażenia z ZSSR miał 15 lat!).

— P. Z. K. Dąbrowski, Maraisburg (Afr. Poł.) — zbija wszystkie obserwacje G. Nowak i uważa, że „ten 'List z Londynu' czyni raczej ujmę autorzytetowi jakim cieszy się *Kultura*”. Koñczy swój list przypuszczeniem, że życie G. Nowak „też nie mogło być łatwe”.

Nie wszyscy jednak mają stosunek tak negatywny do „Listów z Londynu”. Tak np. w *Dzienniku Związkowym* w Chicago w nrze z 15 lipca br., ukazał się artykuł redakcyjny pt.: „W Londynie prawie jak u nas, ale niezupełnie”, zestawiający obserwacje G. Nowak ze stosunkami w Chicago, które nie są lepsze.

Paryż, 11 lipca 1973

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałem już zesłać razem przesać na Pana ręce wy.azy zachwyty dla treści, stylu i przedniego humoru „Listów z Londynu” pióra Pani Grażyny Nowak. Tym skwapliwiej czynię to teraz, po przeczytaniu „Odpowiedzi Redakcji” na „protesty” niektórych — mam nadzieję niezbyt licznych — czytelników *Kultury*.

Zawsze twierdziłem — i coraz bardziej jestem o tym przekonany — że gdyby większość ludzi była obdarzoną poczuciem humoru, nie byłoby może wojen, a już na pewno nienawiści i pogardy człowieka dla człowieka.

Z poważaniem,

Szymon LAKS

Chislehurst, W. Brytania, 8 sierpnia 1973.

W. Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę serdecznie pogratulować *Kulturze* zdobycia nowego, świetnego pióra którym — w moim przekonaniu — jest pani Grażyna Nowak. Jej dalekie od urzędowego ponuractwa, pisane lekkim piórem „Listy z Londynu” nie tylko ożywiły pismo, ale przyczynią się — jestem tego pewny — do pozyskania na tutejszym londyńskim graj-dołku wielu nowych czytelników, godzących się z jej — jak na mój gust — za pobłażliwym humorem. Nie miejsce tu, w tym krótkim liście na wyjaśnienie mojego własnego punktu widzenia na te sprawy. W ciągu długiej pracy pisarskiej wielu krytyków oceniali i moje pióro jako „lekkie”. Obawiam się, że gdybym chciał się dzielić obserwacjami z tutejszego partykularza to — mówiąc dialektem warszawskim, którego nauczyłem się we wczesnej młodości — wielu tutejszych snobów, hanałów i grafomanów, zapłakałoby „rzewnymy łzamy”. O ile będą dokuczali świetnej pani Grażynie NOWAK TO SIĘ TEGO DOCZEKAJĄ. Radzę przygotować chustki... Gratulując raz jeszcze nowego doskonałego pióra pozostaję z głębokim szacunkiem.

Henryk PRZYBOROWSKI

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1973.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 219 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rue Guira 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 6,00	DM. 35,00	DM. 65,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalkskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70 ..	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 1002 Fanshaw St., Philadelphia, Pa. 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik. 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 229 — SERIA „DOKUMENTY”
ZESZYT 40-ty

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI W PRL

zawiera: L. Czuma: *Do Rady Państwa PRL — Apel z poparciem prymasa Wyszyńskiego i kardynała Wojtyły.* — *Ostatnie słowo Leona Zawadzkiego.* — Stanisław Reymann: *List Otwarty do Angeli Davis.* — *Opinię biegłego* — Tadeusza Zaręby. — *Postanowienie prokuratora Wiesławy Bardonowej.*

Str. 64.

Cena F. 7 (dol. 1,60; £. 0,70)

TOM 230 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY CZWARTY

zawiera m.in.: *Spór o wydarzenia marcowe*; P. Korca: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (IV)*; A. Litwina: *O Radach Robotniczych*; St. Stempowskiego: *Z pamiętnika (dok.)*; *Protokoły KC — 1945*; W. Babińskiego: *Wymiana depezb między Nacz. Wodzem a D-cą Armii Krajowej (II)*; Z. S. Siemaszki: *Misja kuriera politycznego Mostwina* oraz RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 4,50; £. 1,70)

TOM 231 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Nowa forma impresji literacko-politycznych.

Str. 192.

Cena F. 22 (dol. 5,50)

TOM 232 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYTY DWUDZIESTY PIĄTY

zawiera m.in.: Wł. Żeleńskiego: *Zabójstwo ministra Pierackiego*; Z. S. Siemaszki: *Rozmowy z kpt. Szabunią*; R. Buczka: *Tragedia Ryszarda Świętochowskiego*; Pawła Korca: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (V)* (dokończenie); Wł. Babińskiego: *Wymiana depezb między Naczelnym Wodzem a D-cą Armii Krajowej 1943-1944 (Cz. III)*.

Zeszyt 25 ukaże się zgodnie z zapowiedzią w sierpniu br.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)

Cena 9 F